

Janusz L. Sobolewski

Misja "Papieskiej Róży"

(thriller polityczny)



Od Autora:

Przez kilkanaście lat trwały przygotowania do pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Chin. Brały w nich udział polskie służby specjalne. Pielgrzymka niosła nadzieję na demokratyzację Chin, obudziła też demony przeszłości.

Książka oparta jest na autentycznych wydarzeniach.

Rozdział I

Wiosna męczyła upałem. Górecka zdjęła zakiet, przerzuciła go przez rękę i zamknęła drzwiczki kremowego clio. Z pewną premedytacją zahaczyła biodrem o lusterko sąsiedniego peugeota. Zasyczała: - Niech ma!

- Dzień dobry pani. Ładny dzień na spacer - odezwał się portier w drzwiach.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej. - Ładny? Pieprzę pogodę.

Nazywano ją oschle: "redaktor Danuta". Rzeczywiście, nie patyczkowała się. Była ostra za komuny i potem, kiedy pozbyła się z działu zagranicznego dwóch młodzieńców z "Solidarnością" w gębie, a nie angielskim. Dzięki niej francuski koncern prasowy Hersanta skumał się z rządowym likwidatorem gazety. Potrafiła uwić wianek kombatantstwa na głowie naczelnego redaktora. A że naczelny jedynie ukrywał się chwilę przed internowaniem w stanie wojennym? Nieważne. W czerwcu 1992 roku nikogo to już nie obchodziło.

- Szef pytał o panią - przywitała ją obojętnie sekretarka.

- Tak? Jest sam?

- Z rana pojechał na Miodową, powinien być z powrotem lada moment.

- Tylko dupę wozi w tę i we w tę.

Dni na "nie" zdarzały się coraz częściej. Nie podobało się jej nic i koniec. Wyklócała się o byle co, chodziła jak struta i nie ukrywała depresji. Kończyła właśnie trzydzieści pięć lat! Co kobieta w tym wieku może zobaczyć w lustrze? Kim jest? Czego dokonała, skoro postanowiła rozliczać siebie co pięć lat? Jakżeż czuła się niespełniona, niedowartościowana.

Nad ranem śnił się jej rodzinny Rybnik i koleżanki, które marzyły o chłopaku z kopalni, świętym ślubie, rodzeniu dzieci, pieniądzech na stole. A ona, ku zaskoczeniu rodziców, zdała egzamin na studia w Krakowie. Odkryła żyłkę do dziennikarstwa. Zaczęła pisywać w tygodniku studenckim "Politechnik". A potem zniknęła znajomym z oczu.

Odnalazła się w Warszawie z dyplomem, z pracą ryczałtową w ważnym dzienniku, z wynajętym mieszkaniem, z nieślubnym dzieckiem, które przyszło na świat w stanie wojennym. Fama niesła, że pracowała na rzecz "Solidarności". Nie potwierdziła tego nigdy. W chwilach słabości, po większym drinku, mówiła miękko o synku Marcuszu, wychowywanym przez babcię, i o tym, że tak naprawdę pragnęła w życiu dwóch rzeczy: pochwalić się zadbanymi dłońmi i facetem, kupującym dla nich krem.

- Redaktor Danuta proszona do szefa - prześwidrował ściany głos sekretarki.

- Co?

- Szef wrócił.

- Przecież idę. Idę! Nie trzeba się drzeć.

W gabinecie naczelnego zastała mężczyznę, którego nie знаła. - Pozwól, Danusiu, pan Zenon Borek z MSZ.

- Górecka - nastąpiła prezentacja.

- Znam, znam...

- Co pan zna? - zareagowała nerwowo, zabierając dłoń sprzed ust gościa.

- Pani artykuły - uśmiechnął się Borek niczym nie speszony. - I panią na parkingu, przedstawiającą lusterko w samochodzie pryncypała.

- Szefie, co to, donos? Niech szef nie wierzy temu panu.

- Mam dossier z pani fotografią - kontynuował gość, markując ruch dłoni ku wewnętrznej kieszeni marynarki. - Piękny dorobek zawodowy.

Na wieść o zdjęciu westchnęła, jakby zabrakło jej powietrza do dalszej sprzeczki. Nie biegła do fotografa przy byle okazji. Jej oblicze kruczoczarne nie zaszczyciło nawet kadrowej kartoteki w redakcji.

Niedbale przysiadła na kanapie. - No, słucham.

- Widzisz, Danusiu, pan ma dla ciebie niespodziankę - okrzyknął wyraźnie uradowany redaktor naczelny.

Po kawie, którą sekretarka podała z pełnym ceremoniałem, Borek powiedział: - Pani wie, współpracujemy z waszą gazetą. To dla was ważne. Pierwsi otrzymujecie od nas informacje. Nie mówię, że za nic. My też korzystamy. Wie pani, o czym mówię. Coś tam zagramy dyplomatycznie, coś wrzucimy na łamy... Teraz spodziewamy się wizyty delegacji z Chin i to dość znaczącego szczebla. Chcemy przygotować tak zwany grunt. Tam, u nich, wiele się dzieje. Proszę pani, prasę zagraniczną stać na trzymanie korespondentów w Pekinie. My musimy działać z doskoku, za to najlepszymi siłami. Powiem krótko: proponujemy pani wycieczkę za Wielki Mur. Zbierze pani materiały, a potem napisze kilka artykułów. Żółtkom zrobi się cieplej pod sercem, tam gdzie trzymają portfele, kiedy zobaczą, że interesujemy się nimi, że piszemy obiektywnie, że rozumiemy ich problemy i nastroje. Poza tym Jan Paweł II zamierza pielgrzymować do tego państwa.

- Państwa Środka - wtrącił trzy grosze redaktor naczelny. - Ho, ho, co za wydarzenie!

- Szefie, luzu. Posłuchajmy pana dalej.

- Z mojej strony to wszystko - rozłożył ręce Borek.

- Pojedziesz tam, Danusiu, bo cenimy ciebie. Rozumiesz, to wyróżnienie. Nie zawieź nadziei.

- Jeśli się nie mylę, to nikt nie zapytał, czy mi się chce gdzieś ruszać?

- Tak jakby - przytaknął Borek skwapliwie.

- Hm. Dobra. Podoba mi się. Kiedy miałyby to być?

- Dziś wieczorem. Zarezerwowaliśmy miejsce w samolocie.

- Co?!... Sru! A materiały, kontakty, majtki na zmianę?

- Coś pani dam. Niech pani biegnie się spakować. Niestety, bezpośrednie loty do Pekinu odbywają się raz w tygodniu.

- Hotel, giejty?

- Na miejscu może pani oczekiwać powitania.

Boeing 767 uniósł ciężko dziób do góry ku krwawiącemu słońcu. - Pani pierwszy raz na trasie? - zagadał blondyn w skórzanej marynarce w łaty, z równoległego rzędu foteli.

- Nie - skłamała Górecka.

- Bo, pani, tu od niedawna jest wygodnie. Kiedyś to trzeba było się przesiadać raz, a nawet dwa razy. Teraz nie. Postęp, co? A dzięki komu? Dzięki nam: mnie, pani, pasażerom. Bo dużo nas lata. Ja latam na tej trasie co czwarty, piąty tydzień.

- O, to pana tu znają.

- Wszyscy się tu znamy. Widzi pani tamtą kobitkę w trzecim rzędzie, jaka znudzona? Nie to, co pani cała w nerwach. Przepraszam. Tamta pani robi w jedwabiu. W różne fajne rzeczy zaopatruje butiki w Warszawie.

- A pan w czym robi?

- Perły, kamienie półszlachetne. Lubię to.

- I opłaca się?

- Czy się opłaca? Przecież pani widzi, że samolot pełny. Rachunek musi się zgadzać: na jednym rejsie kapitał razy dwa. Statystycznie. Raz lepiej, raz gorzej, wie pani, jak to jest.

- Dawno nie byłam w Chinach. Parę lat temu biznesiki można było przyplacić zdrowiem. Mam taki obrazek w oczach: Chińczyk w krawacie, ale bez prawej dłoni. Dłoń obcięto mu za lewy biznesik. Ale świat się zmienia. Wie pan, jestem dziennikarką. Lecę

opisywać te zmiany.

- No tak, są zmiany - przyznał blondyn i umilkł, wciskając plecy w oparcie fotela.

Dzień, który właśnie mijał, był dla Góreckiej jak wybawienie. Zapomniała o depresjach. Zgarnęła z redakcyjnego biurka kilka zabazgranych kartek, krzyknęła do sekretarki: - No to sru! - i pognęła swoim nowiutkim clio na Mokotów. Przy ulicy Fałata, u babci, mieszkał Mareczek. Całowała i przytulała go chyba z pięć minut, aż chłopak dostał wypieków: - Mamo, już dość.

- Tak? A to czemu?

- Jeszcze ktoś zobaczy.

- Tu?

- A babcia?

Po słowie "babcia" podniosła głowę starsza kobieta, siedząca cicho w kącie pokoju, cierpliwie dziergająca coś na drutach, i orzekła: - Babcia nie widzi.

- Lepiej posłuchajcie nowin, z którymi przyjechałam.

- Znowu gdzieś jedziesz. Tym razem na jak długo? - zawyrokował smutno chłopak.

- Masz rację, zgadłeś. Problem w tym, że nie wiem, na jak długo. To wyjątkowa podróż.

Wnuczek z babcią popatrzyli na siebie i postanowili nie pytać o nic. Milczeli. Po chwili Górecka nie wytrzymała: - To nie obchodzi was, gdzie lecę?

- Skoro lecisz, to lecisz. Dobrze, powiedz nam, gdzie tak lecisz? - zapytała starsza kobieta z dobrotliwym uśmiechem.

- Do Chin, babciu.

Starsza kobieta była matką Gwidona, ojca Marka. Górecka знаła Gwidona z lat szkolnych, potem spotkali się na studiach. Romans bez planów. Koniec historii. Facet krążył tajemniczo gdzieś między Śląskiem a Warszawą, dla syna znajdował jedną niedzielę w miesiącu i rad był niezmiernie, że zajmuje się nim babcia.

Górecka oderwała oczy od gwieździstej poświaty. Z torby podróżnej wyjęła pękata teczkę. Pasażer od pereł i kamieni półszlachetnych podchrapywał, mogła więc spokojnie połknąć wiedzę, jaką przygotowali dla niej fundatorzy wycieczki. Na początek przewróciła stronę broszurki Sinologa, jednego z pierwszych polskich ekspertów od historii, kultury i obyczajów Chińczyków, wydanej w 1901 roku. "Chiny to kraj - czytała "na podstawie najnowszych materiałów oraz informacji ze źródeł chińskich" - w którym różnie bez woni się rodzą, kobiety spódnice nie noszą, robotnicy poniedziałków nie święcą, urzędnicy o obowiązkach i poczuciu honoru wyobrażenia nawet nie mają; gdzie na drogach publicznych wozów nie zobaczysz, a okręty bez tramów robią; gdzie igła magnesowa ku południu się zwraca, a ludzie w chwili zakłopotania nie w głowę, lecz po nogach się drapią; gdzie lewa strona jest zaszczytna, a rozum w żołądku funkcjonuje; gdzie zdjęcie kapelusza ubliżającym jest ruchem, a kolor biały żałobą; gdzie mężczyźni warkocze noszą, a ćwierćłokciowe paznokcie piękniejszą od brylantów ozdobę stanowią, gdzie częścią ciała ludzkiego, specjalnie do odbierania kar przeznaczoną jest pięta, a narzędziem kary - kij bambusowy i do wielkich nawet świata tego stosowany; gdzie rewolucje nie burzą starej budowy, lecz ją z nowego tynku oczyszczają; gdzie naród żadnych nie zna stanów, a do wielkich godności otwiera drogę nie krew błękitna lub protekcja, lecz uczoność; gdzie całe życie idącego po szczeblach hierarchji państwowej dostojnika jest jednym pasmem... egzaminów; gdzie najmniej poetyczny naród w świecie jest największym poezji czcicielem; gdzie literatura istnieje bez abecadła, a język bez deklinacji i konjugacji; gdzie poematy odznaczają się niesłychanym gadulstwem i rozwlekłością, przyczem najprostszy temat zostaje rozwałkowany do nieskończoności".

Rozśmieszyła ją ta "literatura bez abecadła", za to najzupełniej poważnie podkreśliła ołówkiem: "Rewolucje nie burzą starej budowy".

W starannie spiętym pliku kartek, z nadrukiem "Materiały MSZ. Tajne", wyszperała

informacje co ciekawsze. Może nie było tego dużo, więcej entuzjazmu niż kalkulacji, przecież nie oczekiwała cudów od świeżych, zupełnie młodych analityków resortu. Donosili oni, że sześćdziesięcioletni Bao Tong, szef Biura do Spraw Reformy Struktury Politycznej w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Chin, został skazany na dziewięć lat więzienia za zdradę tajemnic państwowych i podżeganie do kontrrewolucji, a faktycznie za udzielanie poparcia manifestacjom, stłumionym brutalnie przez wojsko na placu Tienanmen 4 czerwca 1989 roku. Bao siedział pod strażą ponad trzy lata bez procesu, mimo koneksji z Zhao Ziyangiem, byłym przewodniczącym partii. Analitycy MSZ sugerowali, że skazanie Bao to reżyserski majstersztyk samego Deng Xiaopinga, przywódcy Chin. "Dlaczego? Nie chcą wizyty Papieża? Dośpiewaj sobie sama" - przeczytała na marginesie. - Skądś znam ten charakterek pisma - mruknęła wkurzona, bo żadna ciekawsza myśl nie pchała się jej do głowy. - Palanci, nie sądzą chyba, że przeniknę do więzienia i zapytam o to Bao? A może oczekują wywiadu z samym Dengiem? Zapytam gościa, czy jest dobrym reżyserem i czemu służy to przedstawienie? Zapaczkowaliby mnie natychmiast z byle powodu albo kazali płynąć wpływ do Japońców.

Potrafiła kojarzyć fakty. Koledzy z redakcji żartowali z niej, że powinna pracować w wywiadzie. Przyznawała im rację. Kim był zatem Zhao Ziyang i Deng Xiaoping? Obu polityków postrzegano jako reformatorów starego, komunistycznego porządku. Obu polityków zwalczała frakcja tradycjonalistów i konserwatystów pod przywództwem Chen Yuna i Wang Zhena. Zhao, choć usunięty ze stanowiska, napiętnowany przez Denga za rzekome sprzyjanie przemianom demokratycznym, zachowywał wciąż spore wpływy w aparacie władzy. Deng słabł. Ciężył mu cień Tienanmen, który nie pozwalał odwołać się do reformatorskich elit społecznych i młodego aparatu w partii.

Rozmarzyła się, przymykając na chwilę oczy. Logika podpowiadała, że Deng powinien zaniechać oskarżenia Zhao Ziyanga o wspieranie kontrrewolucjonistów i doprowadzenie do rozłamu w partii. Tylko jak tego dokonać, nie podkopując własnej, niezbyt stabilnej pozycji?

- Trzeba zapomnieć o wydarzeniach 1989 roku i Tienanmen - powiedział cień w granatowym uniformie. - Wizyta papieża z Rzymu jedynie odświeży tę pamięć.

- Nie czas na nią, nie czas. Ale jak osłabić czujność Yuna, kogo Zhenowi rzucić na pożarcie?

- Twego sekretarza Bao Tonga, radykała, co chciał ograniczyć władzę partii.

Do nozdrzy Góreckiej doleciał zapach smażonego mięsa. Ostatni raz jadła w południe. Postanowiła zapytać sąsiada od pereł, co to za zapachy, ale ten nie zareagował na jej dotknięcie. Świtało. Dokładnie od sześciu godzin znajdowała się w powietrzu. Obejrzała się przez ramię. Część pasażerów zajadała w najlepsze. Uczyniła gest w kierunku stewardesy. Po chwili i ona wciniała chrupiącą skórkę kurczaka, ze szczypiorkiem, z majerankiem, zagryzając pulchną kromą białego chleba, posmarowaną zimnym masłem.

Boeingiem zaczęło szarpać, obniżał lot. Odkręciła kurek z chłodnym powietrzem. Bao to był temat wart wysiłku. A może Bao nie siedział pod kluczem? Może nie będzie trudne zadać mu kilka pytań?

Spojrzała na zegarek. Głowa sąsiada od pereł odwróciła się w jej kierunku. Powiedziała: - Niebawem lądujemy. Długo pan spał. - Mężczyzna nie odpowiedział. Popatrzyła na niego i wrzasnęła: - Proszę państwa, ten człowiek nie żyje!

Płytę lotniska w Pekinie zatarasowały samochody terenowe i dwie karetki pogotowia. Zwłoki pechowego pasażera wyniesiono ukradkiem, osobnym wyjściem. Mimo to karetki odjeżdżały w błyskach fleszów fotoreporterów popołudniówek i "Guanming Ribao", zajmującego pozycję dziennika rządowego.

Zaczęła schodzić ostrożnie po schodkach na ziemię. Zauważyła kilka znajomych twarzy wśród tłumu z identyfikatorami "Press". Dwie dziennikarki z "Newsweeka" ze stanu Connecticut, z którymi poznała się na kongresie w Nowym Jorku, pomachały jej ręką.

Młodzik z Frankfurtu, o którym wiedziała, że jest zdolny, robi karierę i ma na imię oczywiście Hans, wyszczerzył zęby, następnie błysnął flesztym w jej stronę. Niechęć Góreckiej do fotografowania się była znana nawet tutaj.

- Dana?! Halo, Dana - przecisnął się do niej wysoki, wysportowany blondyn w nienagannie wyprasowanej marynarce. Identyfikator ze zdjęciem i z wydrukowanym przez komputer nazwiskiem: Stephen Langton zawiesił sobie fantazyjnie na łańcuszku. W butonierce zółciła się mu róża. - Ty sie ma? - zapytał z pełną kurtuazją.

- Ja sie ma - odpowiedziała i zarzuciła mu ręce na szyję. Była szczerze rada, nawet szczęśliwa z tego spotkania. Langton pochodził z Australii, przysyłał korespondencje do "Dayle News" w Melbourne. Prezentował klasę w światku międzynarodowej reporterki. Uchodził za lorda, hrabiego z Coventry albo innego maharadzę z brytyjskiego Empire i Commonwealthu. Miał czterdziestkę na karku i mniej więcej od dwudziestu lat brylował w aureoli potomka słynnego rodu angielskiego, który przysłużył się wolności obywatelskim w Anglii w XIII wieku. Znał chyba z dziesięć języków. Umiał trochę po polsku. Pół roku pracował w Warszawie w charakterze korespondenta prasy australijskiej. Z tymi "sie ma" oczywiście żartował.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że tu jesteś. Ciągnę za sobą pecha i mam wszystkiego dość.

- Jasne! Byłaś tam. Opowiedz mi ze szczegółami. Będę mieć najlepszą korespondencję z Pekinu tego dnia. Jesteś taka dokładna.

- Więc tak, facet umarł, wzdychając do kochanki z Szanghaju. Był warszawiakiem i przemycał perły dla swej chińskiej miłości. Tutejsi lekarze stwierdzili zgon w wyniku zawału serca, ale pasażerowie nie widzieli ataku. Człowiek ten został może otruty przez mafię jubilerską albo potraktowany narkotykiem szczególnej jakości? O.K.? Stephen, wystarczy?

- Fantastyczna historia: "Śmierć przemytnika. Pasażerowie sugerują morderstwo". Jesteś taka cudowna. Kocham cię. Biegnę z tekstem. Gdzie się zatrzymujesz?

- W "Xi Juan Hotel".

- Świetnie. Spotkamy się wieczorem. Stawiam kolację!

W holu odpraw pasażerów czekał niewysoki człowieczek, z wyraźnymi zaczątkami łysiny, jedyny przedstawiciel polskiego konsulatu handlowego, jaki ostał się w tym miliardowym kraju. W wyniku decyzji rządu RP, skleconego z antykomunistycznych koalicji, odwołano konsula w Chinach i postanowiono robić interesy z "czerwonymi żółtkami" poprzez Hongkong. Tylko że Hongkong był zamknięty dla chińskich przedsiębiorców i bez specjalnego zezwolenia, na które czekało się długo, nie mogli oni tam handlować.

- Jestem Kolski - przedstawił się. - Artur.

- Dzień dobry. Spodziewałam się kogoś na lotnisku.

- Jak podróż?

- Dziękuję.

- W czasie pani lotu nastąpił zgon...

- Pan też o tym? - ucieła.

- Nad ranem umarł Li Xiannian. Komunikat podało dopiero co radio pekińskie. Obawiam się, że wydarzenia z samolotu zejną na dalszy plan - uśmiechnął się pobłaźliwie Kolski.

- Li Xiannian? Jeden z "nieśmiertelnych" - Górecka wykazała się wiedzą.

- Widać bujda z tą nieśmiertelnością - Kolski wpadł w dobry nastrój. - Może pani nie wie, ale byłem tu po śmierci Mao w 1976 roku, kiedy Li zaczął kierować gospodarką. Ani kroku do przodu. To był jeden z najbardziej konserwatywnych weteranów chińskiego "długiego marszu". Marszu ku szczęśliwemu komunizmowi, oczywiście.

Kolski wrzucił bagaże do białego mercedesa, a Górecka wtuliła się w tylne zagłówek. Radio pekińskie nadawało muzykę żalobną, przerywaną komunikatami, które Kolski przekładał na polski w miarę zgrabnie: "W nekrologu, zredagowanym przez najwyższe

kierownictwo partyjno - państwowe, czytamy o Li Xiannianie jako o wielkim rewolucjonście proletariackim, mężu stanu, strategu, solidnym marksiście i wybitnym przywódcy partyjnym i państwowym".

- Nieźle - powiedziała z uznaniem.

- Pozory, pozory. Więcej domyślałam się niż rozumiem. Po co pani przyjechała? - zapytał zniechęcony.

- Zrobić wywiad z Bao Tongiem - wypaliła.

- Cha, cha - roześmiał się szczerze. - Z Bao? Toć on w więzieniu.

- Dziewięć lat dostał.

- Siedem. Sąd zmniejszył mu wyrok, od ręki. No, no, byłaby ciekawa taka rozmowa.

Do miasta mieli trzydzieści kilometrów. W tyle, na północy, w odległości sześćdziesięciu kilometrów, zostawiali wysoki łańcuch Pachnących Gór z Wielkim Murem, jednym z siedmiu cudów świata. Do centrum Pekinu, czytanego w alfabecie fonetycznym pinyin jako Beijing, ważna stolica na północy, prowadziła szeroka aleja, ocieniona szpalerem wysokich topoli. Oddychało się im jednak z trudem. Za wielkomiejski smog odpowiadały lokalne ciepłownie i fabryczki, przestarzałe samochody ciężarowe, a przede wszystkim tysiące, a raczej setki tysięcy ulicznych kuchenek węglowych, służących do pitraszenia posiłków. Gotowało się na ulicy, jadło się na ulicy, gorzej z oddychaniem.

- Chiński kolos, wielki bastion światowego komunizmu. Kraj pogrążony w marazmie pod czerwonym dyktatem. Tak to pani widzi? - zapytał Kolski. - Bo jeśli tak, to czeka tu na panią wiele niespodzianek.

Minęli osiedla mieszkaniowe, niczym kopie warszawskiego Ursynowa, przejechali obok nowych budów i wieżowców z iglicami, by ujrzeć nagle Zakazane Miasto, plac Tienanmen z mauzoleum Mao pośrodku, patrolowany przez wojsko i policję. Górecka prychnęła: - Co za kontrasty. Tu jest ciekawie.

Kolski wjechał jeszcze w kilka ulic z eleganckimi domami towarowymi, pokazał wejście do ZOO, po czym zaparkował przed dwudziestopięciopiętrowym drapaczem chmur. Budynek lśnił szkłem i aluminium, a od wejścia marmurem. - Jesteśmy na miejscu. To "Xi Juan", pani hotel - powiedział. Podał swą wizytówkę z telefonem, wskazał walizki bagażowym, pocałował Górecką w rękę i nim zdążyła podziękować, odjechał.

Hostessa przekręciła klucz w zamku, a boy opuścił pakunki na środek dywanu i wyszedł. Klimatyzowany pokój lśnił czystością. Górecka wyprostowała się, odprężona. Włosy odrzuciła do tyłu. Głowę przechyliła lekko na bok. Przez kilka minut koncentrowała się. Wreszcie ruszyła. Dłoń zacisnęła w pięść i uniosła ku oczom. Drugą rękę schowała głęboko za plecami. Lewą nogę zgięła w kolanie, dźwigając na niej ciężar ciała. I nim można było pojąć, co robi, wywinęła w powietrzu piorunujące salto w przód. Jej dłonie furkotały jak łopatki wiatraka, nogi zaś tańczyły figury Kung Fu. Uderzała w przestrzeń z siłą, zdolną do rozbicia zarówno dykty, jak i głowy. - Haha, haha! - pokrzykiwała pełną pierśią według nauk mistrza Chana z Tybetu, pobieranych w szkole walki wręcz w Warszawie.

Zmęczona, marzyła teraz o śnie. Nie zwlekając, zrzuciła z siebie bieliznę i wskoczyła pod prysznic. Silny strumień wody, raz zimny, raz gorący, rzeźbił jej figurę. Była kobietą krępa, ale zgrabną, z głową osadzoną mocno na szyi, z silnymi udami bez grama zbytecznego tłuszczu, niczym lekkoatletka po biegu. Z ręcznikiem na głowie wypila łyk wody mineralizowanej, włączyła telewizor i nie przyglądając się ekranowi, padła naga na łóżko.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

- To ja, Stephen. Jesteś tam?

- Która godzina? - zapytała na wpółśpiąco.

- Bój się Boga, Dana, wieczór. Prześpisz nasze rendez-vous.

- O nie, o nigdy - odpowiedziała wesoło. Wskoczyła w szlafrok hotelowy i wpuściła Langtona do środka.

Na ostatnim piętrze "Xi Juan" mieściła się restauracja. Pojechali tam jedną z sześciu

wind szybkobieżnych, które kończyły bieg na piętrze z cyferką "XIX". Na dziewiętnastej kondygnacji trzeba było przesiadać się do dwóch lichych klatek, które musiały się sporo napracować, by pasażerów z wind szybkobieżnych dźwignąć na szczyt. - Popieprzenie - oznajmiła autorytatywnie Górecka, mimo iż, o dziwo, nie było jej ciasno.

- To właśnie w tobie lubię - Langton promieniał.

- Co?

- To. Tę bojowość.

- Chrzanisz. Mężczyźni wolą blondynki - wzięła Langtona pod włos.

- Słowo honoru potomka angielskich arystokratów!

- Jakie słowo, że co?

- Że cię kocham.

- Ot mi nowina - uśmiechnęła się ciepło i serdecznie.

Usiedli przy stoliku na skraju, przy samej ścianie ze szkła, za którą rozpościerała się panorama miasta. Z dwudziestego piątego piętra Beijing skrzył się drobnymi iskierkami życia. Iskierki te, oglądane z niższej wysokości, przybierały postać neonów, by na poziomie ulicy buchać płomykami kuchni i palenisk.

- Zaaklimatyzowałaś się?

- Chyba tak. Czuję sięomalże jak w domu.

- Bo jesteś ze mną.

- Oczywiście.

Poprosili o gulasz po węgiersku i piwo. W hotelu, w którym za nocleg płaciło się sto dolarów amerykańskich, potrawy z mięsa wołu czy świni należały o dziwo do egzotycznych. Co innego kaczka po pekińsku, a raczej to wszystko, z czego powstawała... Uwagę Góreckiej pochłonał widok za szybą. - Czy nie wydaje ci się, że te wieżowce ruszają się?

- To restauracja obraca się wokół osi, a my razem z nią. Nie ma takich platform obrotowych w Warszawie?

- Pałac Kultury się nie kręci. Nie wiedziałeś?

- Wiem tylko, że mi dobrze z tobą.

Na oko nie pasowali do siebie: ona raczej niska, z twardymi rysami twarzy, ubierająca się na sportowo, on - przystojny, z blond wąsem, w garniturze Pierre Cardin z paryskiej Haute-Couture. A mimo to czuli się sobie bliscy i potrzebni. Jemu brakowało jej przebojowości i siły, dającej pewność siebie w każdej sytuacji, jej - jego stateczności, umiaru, tolerancji, kultury osobistej, delikatności i wielu innych walorów, które umiałyby wymieniać długo. W jego towarzystwie czuła się grzeczna jak pisklę i niewinna.

- Umarł Li Xiannian, słyszałeś? Był o cztery lata młodszy od Denga.

- Słyszałem. Tyle że za późno. Zauroczyłaś mnie. Z twego powodu zapomniałem o świecie. Zamiast o zgonie Li, napisałem historię lichego przemytnika z twego samolotu. W redakcji nakrzyczeli na mnie, że zajmowałem się bzdurami, a oni musieli posiłkować się tekstami Reutersa. Ja naprawdę nie słuchałem radia, nie wiedziałem, że umarł Li.

- Straszna baba ze mnie, co?

- Straciłem twarz. Siedzę tu kamieniem i przeocząm wydarzenie roku u żółtków.

- Coś na to poradzimy, nie martw się. Masz coś do pisania?

Langton wyjął posłusznie notes.

- Pisz. W latach osiemdziesiątych Deng zapalił zielone światło dla liberalnej gospodarki. Reformy Denga miały w partii komunistycznej potężnych oponentów. Zmarły Li był jednym z tych "nieśmiertelnych" oponentów. I uważaj: od kolejności umierania "nieśmiertelnych" weteranów partii zależy przyszłość Chin. Kto kogo przeżyje: czy "nieśmiertelni" dogmatycy przeżyją "nieśmiertelnych" reformatorów, czy odwrotnie? Śmierć Li była korzystna dla reform, bo po odejściu Li w zaświaty, żyjący jeszcze "nieśmiertelni" dogmatycy pozostali w mniejszości w stosunku do "nieśmiertelnych" reformatorów. Śmierć Li to cios dla konserwy chińskiej. A co to oznacza? Demokryzację. Może Chiny odwiedzi

teraz nawet Papież! - zakończyła wypowiedź wykrzyknikiem Górecka.

- O, jej, jak ty dużo wiesz - Langton nie mógł wyjść z podziwu. - Jesteś taka dogłębna w sprawie "nieśmiertelnych" reformatorów, może dogmatyków?, pomyliło mi się. - Zamknął notatki. - Możesz pisać reportaże o Chinach z Warszawy.

Dokończyli kolację. Dali kelnerowi po juanie napiwku i wrócili do swoich pokoi. Langton zabrał się natychmiast do pracy, aby nie uronić ani słowa z wywodu przyjaciółki. Górecka wyszła na balkon odetchnąć nocą.

Ranek zaczynał się w Pekinie wcześnie. Uliczni straganiarze gardłowali zawzięcie, ustalając ceny towarów na ten dzień, stukali kontenerami i skrzynkami drucianymi, ciężkimi od dziesiątków kilogramów suszonych ryb, owoców i oliwy. Trzykołowe riksze, napędzane hałaśliwymi silniczkami, stawiały czoła rurom wydechowym półciężarówek. Do tego ten telefon. Górecka przewróciła się niechętnie na drugi bok i zdjęła słuchawkę z widełek. Mruknęła coś pod nosem. Po kwadransie zamykała za sobą drzwi pokoju hotelowego.

Na dole czekała na nią Dai. Była to kobieta wysoka nawet w europejskim wymiarze, z wąskimi ustami i słusznymi przy kości, w lekkiej powiewnej sukience z jedwabiu w jaskrawe kwiaty. W dziale stosunków międzynarodowych "Guanming Ribao", czytanego przez ponad milion Chińczyków w całym kraju, zastępowała swego szefa. Szef Luo Yiqing wyjechał na dwa tygodnie do Japonii i cały dział zawisł na jej głowie. W drodze wielkiego wyróżnienia powierzono jej opiekę nad gościem z Polski, więc starała się nie zawieść zaufania. Ukłoniła się nisko, zanim jeszcze stopy Góreckiej znalazły się na puszystym dywanie hotelowej poczekalni.

- Guza sobie nabijesz na czole z tego schylania - Górecka warknęła po polsku zła, że musi ulegać wymogom procedury.

- Pragnę przeprosić, że nie rozmawiam w języku polskim - ponowiła ukłon Dai. - W imieniu pana Luo mam zaszczyt powitać panią w naszym kraju - jej angielski nie budził zastrzeżeń. - Rozumiem, że po dalekiej podróży mogłam przeszkodzić w wypoczynku. Przepraszam - Dai ukłoniła się jeszcze raz, mimo iż tradycja ketou: trzykrotnego klękania i dziesięciokrotnej czołobitności przeszła dawno do lamusa.

- Okay, okay - Górecka nie uległa czułościom. Zostawiając Dai w ukłonie, ruszyła ku wyjściu. Za szklanymi drzwiami czekał na nie popielaty daihatsu.

Objazdzenie samochodem centrum miasta trwało mniej więcej tyle, ile zajęłyby spacer do gmachu chińskiej gazety. Dai kiwała głową i przeproszała, że szefowie zalecili jej jazdę autem. Następnie kiwała głową i przeproszała, że ta jazda trwa tak długo i że nie wszystko da się dostrzec przez szybę. Przeproszała, że ona to wszystko rozumie. Że znana reporterka z Polski wolałaby nie oglądać Chin z oddali, lecz je dotknąć, poczuć, usłyszeć. Pewnie Polka chciałaby porozmawiać z ludźmi na ulicy, ale ona, Dai, otrzymała szczegółowe instrukcje w tej mierze i przeprosza, że nic więcej zrobić nie może.

Górecka patrzyła na nią jak na głupią, ale kiedy zaczęła przeproszać za swoje nieudolności i za to, że to jej, tak niedoświadczonej, powierzono opiekę nad wybitną Polką, nie wytrzymała: - Zamknij się, durna - fuknęła. - Znam protokół. Tak ma być i cześć. Świetnie wywiązujesz się ze swego zadania.

- Dziękuję, dziękuję - Dai schylała głowę jak mogła najniżej i Górecka nie była pewna, czy robi, czy też nie robi się z niej kretynkę.

W sali konferencyjnej "Guanming Ribao" witano ją jak turystkę z Marsa. O Polsce wiedziano mniej niż o Ukrainie, nie mówiąc już o Kazachstanie, traktowanym jak drzwi do Europy. Nie zważając na jej obecność, dziennikarze dyskutowali zażarcie, czy nowo otwarta linia kolejowa z prowincji Xinjiang ze stacją w Urumqi do Ałma-Aty faktycznie zakończy się w Amsterdamie. Pierwszy pociąg przebył tysiąc trzysta pięćdziesiąt kilometrów w trzydzieści trzy godziny!

- Witamy koleżankę z Polski - zagaił wreszcie otyły mężczyzna, siedzący za centralnym stolikiem. Góreckiej było wszystko jedno, kto to, pomyślała tylko, że w komunie nieźle karmi się lojalnych dziennikarzy. Opowiedziała, jak to nad piękną rzeką Wisłą buduje się nową Polskę. Chińczycy słuchali grzecznie, a ożywili się dopiero wtedy, kiedy skończyła. To oni chcieli mówić. Byli wstrząśnięci wieścią, że na południu ich kraju, w prowincji Guangdong nad Morzem Południowochińskim, a szczególnie w Shenzhen, pełniącym rolę specjalnej strefy ekonomicznej, graniczącej z Hongkongiem, socjalizmu nie ma. W zakładach pracy zanikają organizacje partyjne. W Guangzhou, czyli Kantonie, można oglądać telewizję z Hongkongu i czytać prasę z Tajwanu. Bank Światowy decyduje o inwestycjach i uzależnia państwo od świata.

- Trochę przesadzacie, prawda?

- Pani nie zdaje sobie sprawy, co się u nas dzieje. To koniec socjalizmu. Bardzo wielu Chińczyków sądzi, że na Chinach spoczywa obowiązek bronięcia komunizmu w świecie. Wielu będzie bronić dorobku chińskiego socjalizmu.

- Co to znaczy bronić? Czego bronić? To zamykanie się przed światem, budowanie drugiego Wielkiego Muru - Górecka zaczęła się denerwować.

- Nie pozwolimy, by bezczeszczono nasze uczucia, opluwano tradycje jak w Rosji, burzono pomniki jak u was. My nie zdradzimy Chin - zawyrokował dyskutant w niebieskim uniformie, za to we włoskich pantoflach Armando Pollini.

- Rozgniatajcie więc ludzi czołgami na Tienanmen! - Górecka nie wytrzymała.

W przestronnej auli ze szkła i aluminium zapanowała cisza. Wykrzywane "Tienanmen" sparaliżowało obecnych. Niedawni polemici powbijali wzrok w podłogę z wykładziną, udającą marmur. Tylko pod grubasem za centralnym stolikiem skrzypnęło krzesło. - Iiii - powiedział - nie hałasujmy. My tutaj, w Chinach, patrzymy na wydarzenia z 1989 roku niejednoznacznie. Zachodowi wiele brakuje do zrozumienia Chin i Chińczyków.

Górecka wystrzeliła z zebrania jak z procy. Była zła na siebie, omal nie gryzła pięści. Po co jej to było, choć raz nie mogła powstrzymać się od kłótni? Drugi raz nie zaproszą nikogo z polskiej gazety. Biegła jakimiś korytarzami, potem schodami w dół, omijając windę, byle jak najprędzej znaleźć się na ulicy. Zauważyła, że goni ją Dai, więc przyśpieszyła jeszcze bardziej. Wypadła z budynku, wciągnęła powietrze, omalże parząc płuca. Żarliwe słońce wisiało wysoko. Chciała podbiec kilka kroków ku grupce ludzi, czekających przy przejściu dla pieszych, gdy ktoś twardo przytrzymał jej ramię. Był to Langton.

- Stephen? - nie wierzyła oczom. - Co ty tutaj robisz?

Langton uśmiechnął się: - I co, uciekasz od aparatczyków z epoki kamiennej Mao?

- Skąd wiesz? Znasz ich?

- A jakże. Niejedną wódeczkę "Maotai" przepiliśmy. Oni lubią nas, białasów, jak kukiełki z McDonald'sa.

- Mylą się co do nas.

Przewodniczący partyjny Wang Hao, taki grubasek, nie myli się. Dzwonił do mnie z rana z prośbą, byś nie drażniła ciemniaków wspomnieniami sprzed lat. Przecież oni po Tienanmen pieni peany na cześć partii.

- Nie uprzedziłeś mnie.

- Dzwoniłem, ale ciebie nie było. Pośpieszyłaś się z wyjściem.

- To przez Dai... - roześmiała się i rozejrzała. Ale opiekuńcza Chinka nie pojawiła się w zasięgu wzroku.

Poszli ulicą Wangfujing Dajie, zapominając o świecie. Wzięła go pod rękę i przytuliła. Langton odwzajemnił tę bliskość i ciepło, bratające dusze. Czuła się wspaniale przy tym przystojnym dżentelmenie z Australii. Łapała tę myśl coraz częściej, że dobrze jej z nim.

- A to dla ciebie - Langton wyjął zza pleców bukiet róż, przepleciony makami wschodnioazjatyckimi.

- Stephen..., skąd to wzięłeś? - zapytała cicho, do ucha, nie pamiętając o mijanej kwiaciarce. - Pachną. I po co to wszystko, po co - mówiła bez przekonania.

Langton wyjął z kieszeni pognieciony zwitek papieru. Rozprostował kartkę. - Przeczytaj - powiedział. Była to odbitka ksero telefonogramu, przesłanego do hotelu: "Melbourne - "Dayle News" - do Mr. Langtona. Korespondencję drukujemy, pochwalamy komentarz o Li. Jednak cię na coś stać! Fundusze bez zmian. Oby tak dalej. Moll pozdrawia. Rozejrzyj się za następną sprawą. Uściski. B. Paterson - szef - nie zapominaj".

Kiedy przeczytała, Langton uściskał ją może nawet zbyt mocno. - Wszystko zgodnie z instrukcją - wytłumaczył się wesoło i naiwnie. - Taką okazję będę mieć dopiero przy następnej sprawie, prawda?

- Cieszę się, że ci się powiodło - podtrzymywała dobry nastrój, ale jej głos nie szczebiotał między straganami tak radośnie jak poprzednio. - Kto to jest, kurde, ta Moll? - zapytała najspokojniej jak tylko umiała. Pomyślała, że Langton nie powinien po niej poznać, że ją to obchodzi.

- Moll? - przystojny Australijczyk udawał, że nie rozumie pytania. - Dana, tej odmiany kreszu nie widziałem na antypodach. Może kupimy? Spójrz na te materiały.

- Nie wygłupiaj się, zdradź. Kto to jest Moll?

- Córnka szefa.

- Moll Paterson?

- Nie, Mary Langton. Moja była żona. Ojciec mówi do niej Moll. Rozwidliśmy się dawno, bez bólu. Mamy siedmioletnią córkę Betty. Chyba nie powiesz, że to takie interesujące.

- Ależ skąd. Tylko pytam.

- Mary działa społecznie. Robi coś na rzecz ruchu praw uchodźców w Sydney. Mówi, że sposób traktowania uchodźców azjatyckich przez Australię jest plamą na honorze tego kraju. Mary umie przejaskrawić.

- Do niedawna Polacy szukali po świecie lepszego losu - powiedziała smutno Górecka. - I co, co? Zamyśliłam się. Mówisz, że nie kochasz już Mary?

- Nie pamiętam. Ciebie Kocham. Jesteś taka rozmarzona.

Nie wiedząc kiedy przeszli spacerkiem do placu targowego, który wyłonił im się nagle za węglem. Rozmawiało się im znakomicie. Choć wyrosli z innej gliny, wrażliwi każde na swój sposób, czuli i rozumieli świat podobnie. - Chodźmy na plac - poprosiła Górecka i uśmiechnęła się przekornie - może wypatrzymy coś atrakcyjnego na prezenty dla naszych rodzin.

Niespodzianie dla nich znaleźli się w ludzkim mrowisku, przedzielonym co kilkanaście metrów szpalerem rowerów. Zewsząd otoczyli ich mężczyźni, zachwalający hałaśliwie swój towar. Ostry zapach potu ludzkiego i zwierzęcego mieszał się z dymem podręcznych palenisk, skwierczących mięsem ryb. Górecka lubiła ryby, takie wyjęte wprost z rzeki i jeziora, i usmażone. Ten smak i zapach kojarzył się jej z latami młodości, z beztruskimi wakacjami na Mazurach, a potem z urlopami z Marczykiem. - Stephen, kupmy coś naszym dzieciom na pamiątkę. Mój Marek i twoja Betty: ciekawe, czy spotkają się kiedyś. Słuchaj, a co powiedziałyby na to Mary?

- Mary ma na głowie obóz azylancki w Villawood. Widzisz tamte kramy z rupieciami? Przypomnij, ile lat ma Marek?

- Dziesięć.

- W rupieciami znaleźć można prawdziwe skarby dla dziesięcioletnich chłopców. Chodź.

Przeciskali się przez kłębowisko ciał i straganów. Ich nozdrza wychwytywały niepowtarzalny aromat wysuszonej herbaty - prawdziwy zapach Chin. Przy każdym straganie zwisały metalowe puszki, wypełnione liśćmi zielonej herbaty. Dwa, trzy takie listki wkładano do słoików i zalewano wrzątkiem. Dawały one właściwy aromat dopiero po drugim parzeniu,

więc na skrzynkach albo wprost na ziemi stały setkami słoiki z herbacianym naparem, a kupcy sięgali po nie co jakiś czas, odkręcali metalowe lub plastikowe nakrętki i siorbając, popijali ów tajemny napój, niekiedy aromatyzowany suchymi kwiatami jaśminu.

Uwagę Góreckiej zwrócił stragan z bajkowymi czajniczkami. Były one wykonane z brązowej glinki, a kształtami udawały smocze straszysła, arbuzy, pnąca winogron, najprzeróżniejsze jarzyny i zwierzęta. Niektóre, te najbardziej pękate, upodabniały się do koszyków z bambusa albo graniastych, wielkich imbryków. Jedne były lekkie i płaskie, drugie ciężkie i grube jak sagany z zsiadłym kozim mlekiem.

- Oglądasz naczynia z wioski Dingshan w prowincji Jiangsu. Pisałem stamtąd korespondencję - pochwalił się Langton.

- Piękne.

- Mam takie w swoich bagażach. Dostałem w prezencie od mieszkańców wioski za reklamę.

- To sprytne.

- Wcale nie. Z serca dawali za tytuł w gazecie: "Stolica chińskich czajników".

Przerwali rozmowę, albowiem przez środek placu przedzierał się dwaj starcy w łachmanach. Wydawali piskliwe okrzyki, jakby jeden drugiego obdzierał ze skóry. Pierwszy, ten uciekający, nurkował pomiędzy nogami, straganami i rowerami z przerażeniem w oczach. Drugi, goniący, wymachiwał maczugą z żelaznym końcem. Wykrzykiwał przy tym coś przeraźliwego.

Obaj łachmaniarze skupili na sobie uwagę bazaru. Także Góreckiej, która zwróciła się w ich stronę. Langton, na wpółobrócony, obmacujący jeszcze wielki, malowany w smoki sagan, chciał pójść w jej ślady, gdy dostrzegł dwóch krępych młodzieńców za plecami. "Wyrośli tu nagle, jakby spadli z nieba" - przemknęło mu przez głowę. W tej samej chwili jeden z młodzieńców zamachnął się na Górecką grubym kijem. Langton, w naturalnym odruchu, rzucił saganem w kierunku napastnika. Nie zobaczył nic więcej, gdyż otrzymał cios w kark i osunął się na ziemię nieprzytomny.

Kij trafił w dzban. Potłuczone skorupy z wymalowanymi oczami smoków patrzyły teraz z ziemi na Górecką. Powietrze zafurkotało ponownie. Ale ona uchyliła się przed kijem kitajskim prawie niedostrzegalnym ugięciem tułowia. Bukiet róż, otrzymany od Langtona, odrzuciła na bok i zamiast uciekać, wysunęła stopę do przodu. Nim gapie zdążyli zgromadzić się wkoło, wyprostowała prawą rękę z prędkością strzały. Dosięgnęła napastnika i Chińczyk zawył z bólu. Chwycił się oburącz za lewe oko, a spod palców wyłynęła mu strużka krwi. Drugi młodzian rzucił się z wrzaskiem, wymachując rękami. Uspokoila go ciosem w brzuch. Poprawiła natychmiast twardym kopnięciem w krocze. Młodzian klęknął, zwijając się z bólu.

Rozejrzała się za innymi przeciwnikami. Tymczasem napastnik z zakrwawionym okiem wyjął zza rękawa krótki kordzik. Ruszył z nim naprzód, ale zabrakło mu czasu na zamach. Z półobrotu kopnęła go w przegub dłoni tak precyzyjnie, że wytracone ostrze pofrunęło jak strzała i wbiło się w stragan. Drugie kopnięcie w grdykę, wyprowadzone klasycznie z biodra, tak jak uczył ją mistrz Chan z Tybetu, powaliło przeciwnika na ziemię. Zamroczony, zakrwawiony nie miał on szans na opór. Górecka przygniotła jego twarz kolanem. Z włosów wyjęła szpilkę z bursztynową główką i wbiła mu ją do połowy w szyję.

- O co chodzi? Kto? - zasyzczała. - Kto? - powtórzyła pytanie. Chińczyk płakał. - Kto? - dociskała z lekka szpilkę. - Więc? - zapytała jeszcze raz, nie będąc pewna, czy ją rozumie.

- Nie wiem, nic nie wiem - charczał młodzian. Okrągłe oczy patrzyły z przerażeniem i bólem. - Fuk Ching, Fuk Ching. Nie wiem, nie wiem więcej - wykrztusił wreszcie.

Wyjęła szpilkę, wytarła ją z krwi o jego czoło i spokojnie wsunęła z powrotem we włosy. Wskazała ręką towarzysza, leżącego na ziemi, potem jakiś punkt w oddali i rzekła po polsku: - Sru!

Zrozumieli, nie musiała powtarzać dwa razy. Dźwignęli się pośpiesznie, acz z trudem, i wspierając ramionami, zniknęli z oczu jak niepyszni. Okazało się, że z targowiska ulotnili

się także starcy w łachmanach. Oczy chińskich handlarzy zwrócone były więc teraz na Langtona. Ten, odzyskując świadomość, próbował podźwignąć się z ziemi, lecz kark bolał go niewymownie. Górecka podtrzymała go i stanął na nogi. - Uratowałeś mi życie - powiedziała bardzo ciepło.

- A co się stało? Ach, tak. Gdzie oni?

- Zabrali nogi za pas. Wiesz, rozbiłeś głowę jednemu z nich swoim dzbanem.

- Ale co się stało? Czego chcieli? Pieniędzy? I mówisz, że uciekli? - Langton gotowy był bronić Góreckiej dalej.

- Uciekli. Sprawileś się bohatersko.

Wpółobjęci pokuśtykali ku najbliższej ulicy. Nie czekali długo na taksówkę. - Co za przygoda, co za dzień - Górecka musnęła go w policzek. - Odezwę się wieczorem - powiedziała.

Pokój zastała wysprzątany. W kryształowym wazonie, sięgającym niemal do pasa, stały w wodzie świeże róże. Przyszło jej do głowy kilka budujących myśli o obsłudze hotelowej. Przedzwoniła do kuchni, aby przyniesiono jej coś do zjedzenia. Koniecznie zupę. Po każdym większym stresie miała apetyt anakondy.

Postanowiła zebrać myśli. Buszowała po Pekinie wystarczająco długo, by redakcja nie upomniała się o pierwsze artykuły. Czy dowiedziała się czegoś, czy przeżyła coś takiego, co nadawałoby się do przelania na papier? Chwyciła za długopis. Zapisała w notesie o spotkaniu w "Guanming Ribao". Zanotowała temat zgonów chińskich przywódców. Ponadto... wrażenia z chińskiej ulicy. Skonstatowała z zadowoleniem, że liczba tematów rosła. Miała o czym pisać do kraju. Przypomniała sobie jeszcze o uroczych czajniczkach z Dingshan, które zaciekać mogłyby kolorowe magazyny rodzinne, gdy usłyszała pukanie do drzwi. - Idzie mój obiadek - pisnęła łakomie.

Do pokoju wjechał wózek ze srebrną zastawą i białą wazą z parującą zupą wiśniową. Wózek pchał młody kuchcik, którego znała, ale razem z nim weszło do pokoju dwóch mężczyzn. To nie byli goście, których kobieta chciałaby widywać wieczorami. Gruby Chińczyk, mniej więcej sześćdziesięcioletni, w eleganckim beżowym garniturze, spojrzał na kuchcika. Chłopak uklonił się grzecznie i wyszedł z pokoju. Drugi mężczyzna, z bliznami na twarzy, oparł się o drzwi potężnymi plecami. Jego rola wydawała się oczywista.

Górecka poruszyła nieznacznie ramionami, próbując rozluźnić mięśnie. Twarz starego Chińczyka drgnęła. - Jestem Ma Min - powiedział spokojnie.

Milczała.

- Przychodzę jako przyjaciel. Pragnę wyrazić swoje uznanie dla pani. Pani jest dzielną kobietą. Mężną. Inteligentną. Czy pozwoli pani mnie i Bo - tu wskazał na swego towarzysza - usiąść na krótką chwilę?

Skinęła dłonią w dół na znak przyzwolenia.

- Proszę przyjąć słowa wszelkiego, należnego szacunku - powtórzył gość, sadowiac się na kanapie. Bo usiadł na krześle, blisko drzwi. - To wielki zaszczyt dla nas, móc z panią rozmawiać.

- Słucham - w jej głosie nie było nutki agresji.

Ma Min cmoknął z zadowolenia. - Zanim wyjawię powód mego najścia, muszę przyznać się do niewiedzy. Nie doniesiono mi, że w Polsce znana jest tak dobrze chińska sztuka walki.

- Czy jest ona chińska? W Polsce mamy mistrza w kickboxingu, Polki zdobywają puchary w Kung Fu, a w starogreckich zapasach próbują się przedszkolaki. Waszym młodzieńcom brakuje zapału do pracy?

- Brawo, brawo. Rozumiemy się. Jestem tutaj, aby pani nie była u mnie. By pani nie szukała Fuk Ching. O Fuk Ching nieopatrznie opowiedział Song. Song to mój krewny: młody, głupi jeszcze. W imieniu Fuk Ching składam przeprosiny za zachowanie Songa. Fuk Ching prowadzi biznes w szerokim zakresie i w żadnym przypadku nie pragnie kolizji z

panią.

- A cóż to za biznes napadać na dziennikarki?

- Przepraszam, przepraszam jeszcze raz. Wynajęto Songa do tej pracy. Zapłacono mu szczerze. I za co? Aby panią przestraszył. Zależało komuś, by pani wracała do swego kraju, by pani opuściła Chiny i nie chciała tu pracować. Nie wiem, dlaczego, nie moja sprawa, nie chcę wiedzieć. Song powiedział mi, że wynajęli go bogaci ludzie. Znamy ich. Bardzo znaczni. My nie chcemy mieć nic wspólnego z tak znacznymi ludźmi. Oni działają w polityce. Nasz biznes to nie polityka. Złe języki nazywają Fuk Ching bandą, oskarżają nas o sutenerstwo, przemyt, hazard. Niech tam, to rozumiem. Ale nie o terroryzm! Nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. Nie chcemy mieć na głowie agentów wywiadów, CIA, Jamesów Bondów, Ruskich. To by nie pomogło naszym interesom. Dlatego przepraszamy. To pomyłka. Przepraszamy panią i pani przyjaciół. Proszę wybaczyć nam naszą głupotę. Skarciliśmy Songa za pazerność. Bylibyśmy radzi, gdyby zechciała pani w ramach zgody przyjąć od nas drobną rekompensatę za niedogodności...

- Dość! - zareagowała ostro Górecka. - Dość tych gadek. Chcecie zapłacić, za co? Chyba nie sądzicie, że pieniądze załatwią wszystko.

- Proszę o wysłuchanie.

- Nie wiem, za kogo pan mnie bierze i o jakich przyjaciółach mówi. Z redakcji? Nie miałam zamiaru pisać czegokolwiek o Fuk Ching. Niczego, ani złego, ani niczego.

- Niech pani się nie gniewa.

- Proszę powiedzieć lepiej, jak czuje się Song.

- Jest pod dobrą opieką. Lekarz powiedział, że oko da się uratować. Song cierpi. Cierpi i podziwia pani sztukę walki. Cierpi i przeprasza. Zapewnia, że nie stanie pani na drodze.

- To miłe.

- Pani zrozumie. Jestem Chińczykiem. Oczekuję podpowiedzi, w jaki sposób mógłbym zrekompensować... To warunek przyjaźni.

- Hm, jeśli tak... O jakim terroryzmie pan mówił?

- Nie wiem. Albo wiem bardzo niewiele. Song twierdzi, że ludzi, którzy zlecieli mu pracę, widział w ochronie najwyższych naszych przywódców. To niebezpieczna sprawa. To przekracza nasze możliwości. Komuś pani przeszkadza.

- A skąd Song wie tak dużo?

- Podśluchał rozmowę tamtych ludzi. Mówili też o Polsce. Jakiś papież jest z Polski i ma przyjechać do nas, to prawda? I że trzeba kogoś zabić.

- W sprawie naszej przyjaźni: może Song wskaże mi ludzi, którzy go wynajęli?

- To się da zrobić.

- Pewnie. I niech uważa na siebie, i omija z daleka kobiety - zażartowała.

Ma Min cmoknął znowu, rad z rozmowy. Podniósł się z kanapy ociężale. Jego goryl Bo otworzył drzwi. Na korytarzu czekał cierpliwie hotelowy kuchcik. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy goście zniknęli za zakrętem korytarza: - Zupa ostygła. Przyniosę ciepłej.

- Nie trzeba, dziękuję. Lubię chłódnik z wiśni. Coś czuję, że w Chinach będzie mi smakować wszystko.

Langton czekał z prowansalskim szampanem. Podał Góreckiej rękę i razem podeszli do przygotowanego stolika. Otworzył butelkę i rozlał do kieliszków pianę z bąbelkami. - Za wieczór - wyrecytował. Patrzył na nią urzeczony. Wiedziała o tym. Poprawiła mu więc czule śnieżnobiały kołnierzyk.

Wspólne przeżycia, zagrożenie i ta jedna jedyna na tysiąc miłosnych lat iskierka w oczach zbliżyła ich do siebie. Ujął rękę Góreckiej i pogładził. Nie broniła. Odgarnęła mu włosy z czoła i dotknęła policzka. - Nie boli? - zapytała. Przygarnął ją ramieniem i pocałował. Pobiegli do pokoju. Rozbierali się w pośpiechu. Nadzy, wyzwoleni, namiętni tulili i pieścili włosy, usta, piersi. Opadli na zimne, białe posłanie.

Rano obudziła się w jego ramionach. Czuła się odprężona, szczęśliwa. Była inną kobietą. Nie mogła przypomnieć sobie, jakie to egzystencjalne depresje przeżywała nie tak dawno w Warszawie.

Rozdział II

Dziedziniec polano wodą. Błyszczał więc w ostrym słońcu, rażąc oczy wartowników. Niebieski ford, który zatrzymał się na nim, był piątym lub szóstym wozem w ostatnim kwadransie, absorbującym uwagę ochrony i odbierającym honory mimo braku widocznych oznak ważności.

- Witam pana ministra. Zapraszam - powiedział na dzień dobry dystyngowany majordomus i poprowadził pasażera forda korytarzem do owalnej sali.

- A, cześć, dobrze, że jesteś. Właśnie rozmawialiśmy.

- Odrywacie mnie od roboty. Czy stało się coś? Oskarżono kogoś znowu o współpracę z KGB?

- Harcowników dziś, panie, pod dostatkiem - odezwał się mężczyzna w popielatym garniturze.

- Pułkownik Brzeski... Pan minister Majewski nie przyjechał tu żartować - uciął generał Milewski. - Pana ministra interesują napięcia w kraju. Poinformuję panów, że pan Prezydent, który w tej chwili składa wizytę księdzu Prymasowi, przystał na propozycję wymiany premiera.

- Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Pułkownik Brzeski...

- A, nic.

- Panie ministrze? Proszę, pułkownik Brzeski, teraz oddaję panu głos.

- Tak, panowie. Zatem Chińczyków mamy na patelni. Wiadomo, panie, kto przyjedzie - Brzeski wytarł rękawem pot z czoła. - Ma to być, panie, szef Sztabu Generalnego Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, generał Chi Haotian. Ja, panie, zaklepałem spotkania w Ministerstwie Obrony i w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Tylko że pan Formel z ambasady USA zapytał, czy to prawda, że Chińczycy zamierzają kupić naszą broń.

- I co pan powiedział?

- No, panie, uśmiełem się. Polska broń dla chińskiej armii, cha cha! Jakby Chińczycy nie mieli lepszej. Ale, panie, nie przekonałem Formela.

- Trzeba wydać komunikat - odezwał się Drobell, szpakowaty oficer w randze majora, wyedukowany przez doktryny leninowskie - że celem wizyty chińskich gości są rozmowy polityczne i dyplomatyczne.

- Ale co to da? Granatniki przeciwpancerne RPG-7, "Strieła", nasza broń strzelecka, panie, amunicja, panie, czołgi plus "Sokoły", panie, to wciąż poziom światowy. My produkujemy kaliber 5.45 milimetra, szczególnie interesujący Chińczyków, a NATO standard 9 milimetrów parabellum na pistolet i automat, 5.56 milimetra na karabinek. Panie ministrze, pan wie, jak sprawy stoją.

- Ja będę musiał poinformować prasę o trwających konsultacjach polsko - chińskich - przyznał minister Majewski. - Rozmawiałem w tej sprawie z Tian Zengpei, wiceministrem spraw zagranicznych Chin. Ustaliliśmy wspólne stanowisko dla prasy, z którego wynika, że Chiny są zainteresowane współpracą z Polską we wszystkich dziedzinach, odwiedza nas rocznie sto kilkadziesiąt delegacji gospodarczych z Chin, otwarto chińskie przedstawicielstwa handlowe, powstał chiński ośrodek handlu i dystrybucji dla promocji chińskich wyrobów w naszym regionie Europy, poza tym...

- Kurwa - wyrwało się komuś za plecami ministra.
- Co proszę?
- Kapitan Rzymek chce coś powiedzieć - generał Milewski ukrył twarz w dłoniach.
- Ach, tak, to proszę.
- Kapitan Rzymek zajmuje się u nas najtrudniejszymi zagadnieniami.
- Tak, tak, słuchamy.

Niski mężczyzna wstał z krzesła i skinął służbiście głową. - Jestem Gwidon Rzymek. Nasze służby i wywiad MON, poinstruowane przez CIA, ostrzegają przed kontaktami z Chinami. W Chinach trwa rozgrywka o przywództwo. Ta przepychanka niebezpiecznie ewoluuje w kierunku siłowych struktur władzy, opowiadających się za zajęciem przez Chiny pozycji mocarstwowej w świecie, opuszczonej przez ZSRR.

- Konkretnie, co się stało?

W niewyjaśnionych okolicznościach zmarł nasz agent, który zajmował się tymi sprawami. Leciał do Pekinu. Możliwe, że to przypadek. W związku z tym mamy teraz w Pekinie tylko jednego agenta, "D-12", z ważną misją, uzgodnioną z Watykanem. Chodzi o pielgrzymkę Papieża do Chin: czy będzie ona bezpieczna i czego można się spodziewać po starym aparacie władzy. Nie muszę wyjaśniać, że to dla nas zadanie priorytetowe. I jeszcze jedno: obserwujemy poczynania chińskich biznesmenów w Polsce. Nie wszystkie ich ruchy są czyste. Niektórzy szukali kontaktów z ludźmi, których podejrzewamy o stare kontakty ze Stasi. Papież interesuje się Chinami, podejrzane żółte typy motają coś w Polsce. O coś tu może chodzić.

- Pan, panie kapitanie, jest chyba nazbyt podejrzliwy - major Drobell mrugnął okiem porozumiewawczo.

- Oby.

Kapitan Rzymek nie lubił oficerów typu Drobell. Irytowali go, gdyż zapomnieli z dnia na dzień, skąd się wzięli. Szlify zdobywali w komunie, a potem udawali, że byli Wallenrodami w PRL-u. Rzymek od chłopaka marzył o pracy w wywiadzie. Pasjonowały go łamigłówki kryminalne, rozpracowywanie obcych agentów. Konsekwentnie dopiął celu. Od dobrych paru lat nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

Nie o wszystkim meldował przełożonym. Z ręką na sercu nie zameldował o dwóch udanych "rozpracowaniach". W 1982 roku przymknął oko na działalność podziemnej "Solidarności" w rodzinnym Rybniku, bo nie szalała z żądaniami. Po drugie nie doniósł o pewnym agencie Stasi... Nazywał się Lipko. Ten Lipko działał na dwa fronty: pieniądze brał z obu stron żelaznej kurtyny, także z Monachium. Rzymek nie chciał w to wnikać, nie był pewien, czy warto, czy powinien... W ogóle nie był pewien niczego do końca. Najbardziej nie był pewien tego, czy nie skrzywdził najbliższych. Miał syna, a wybrał życie samotne.

- Co za bucek, no buc! - warczał, siedząc za kierownicą poloneza. - Ten Drobell to buc. Ja mu mówię o trupie, a on o podejrzliwości. - Nacisnął gaz. Na wieczór miał wrócić do Katowic.

Na dziedzińcu, polanym wodą, wysiadł jeszcze jeden gość. Był nim John Formel, rezydent CIA w Warszawie. Przywitał się z kilkoma osobami. Przywiózł dla nich świeże wieści zza Wielkiego Muru, które nieprędko miały dotrzeć do gazet. Media spekulowały przecież w najlepsze nad kandydaturami do urzędu premiera. Tylko jedno z pism napomykało czujnie o sprzeciwie Pekinu wobec planów Papieża odwiedzenia Chin. Czyniło to najdrobniejszym drukiem i w najodleglejszej części numeru, jakby obawiając się zrobić komuś przykrość. Gazeta ta drukowała własną korespondencję, zatytułowaną "Żółty kapitalizm w kolebce". Autorka tekstu Danuta Górecka dowodziła, że poród kapitalizmu w Chinach nastąpił.

Przed kamienicę z czerwonej cegły, mieszczącą Komendę Rejonową Policji w

Mysłowicach, zajechał mały, zielonkawy garbus. Wysiadł z niego barczysty mężczyzna w jasnej koszuli z krótkim rękawem. Przeciągnął się jak po długiej podróży. Poprawił spodnie, wyjął z bagażnika niewielką skórkową walizkę i upewnił się, czy nie stanął przypadkiem na zakazie parkowania. W dobrym nastroju pomaszzerował ku wejściu. - Komisarz Kotecki. Proszę zameldować szefowi - powiedział do młodego policjanta w dyżurce.

Po chwili wchodził po schodach na pierwsze piętro. Sekretarka szefa, Ania, stanęła na baczność. - Dzień dobry. Oczekiwaliśmy pana, panie komisarzu.

Komendant Wilhelm Białko, w mundurze zapinającym się z trudnością na tęgim brzuchu, stanął w progu gabinetu z wyciągniętą dłonią. - Dobrze, że pan już jest. Wczoraj znowu rzucono w miasto amfetaminę. Mniejsza nasza, sami nie damy rady.

- Dlatego przyjechałem - Kotecki podał rękę.

- Aniu, dla gościa kawę, a mnie herbatkę.

Uderzał głos Koteckiego: chrapliwy, szorstki i silny. Na jego twarzy dostrzec można było ślady po ospie. Oczy: jasnoniebieskie, przezroczyste jak jezioro, patrzyły prosto na rozmówców. Tym wydawało się jednak, że nie są dostrzegani.

- Proszę zdomowić się, odpocząć, rozejrzeć się, a od jutra do pracy.

- Otrzymał pan moje papiery?

- Tak. Komendant wojewódzki w Przemyślu, zresztą mój znajomy od lat, pisze o panu same dobre rzeczy. Pan, mniejsza nasza, pochodzi z naszego terenu?

- Spod Opola. Moi rodzice osiedli tam po wojnie.

- Rozbił pan rosyjską siatkę paserską w Jarosławiu. I w tym rzecz. Ukraińsko-rosyjska mafia zaczęła opanowywać Śląsk. Boga się nie boją. Potrzebny mi ktoś taki do pomocy.

Kotecki przyglądał dłonią jasne włosy, ścięte krótko na jeża.

- Uprzedzano mnie, że działa pan nie zawsze zgodnie z regulaminem, za to skutecznie. Panie komisarzu, bez przesady, mniejsza nasza. Nie chcę tu wojny gangów na ulicach. Od czego zamierza pan zacząć?

- Powiadomię pana, kiedy rozejrzę się w terenie.

- Proszę meldować! I niech panu nie wydaje się, że zasypujemy gruszki w popiele. Przed miesiącem przyskrzyniliśmy dwóch pośredników. Zarekwirowaliśmy kilkanaście kanistrów kompotu narkotykowego. Facetów musieliśmy puścić, bo nie handlowali towarem.

Kotecki pił kawę małymi łyżkami. Komendantowi Białce z gwiazdką i trzema belkami na pagonach wydało się, że dojrzał ironię w spojrzeniu gościa.

- Nie mamy dość ludzi - zaczął wyjaśniać nie proszony. - Nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się zorganizowanym bandom. Moi chłopcy otrzymują pogroźki i boją się zwyczajnie. Nie byli szkoleni do takich zadań, nie mają sprzętu. Ćwiczą w strzelnicy raz na miesiąc.

- Nie przyjechałem tu, aby narażać pańskich ludzi.

- Wiem, wiem. To młode chłopaki. W gruncie rzeczy rwą się do tej roboty, a ja powstrzymuję ich przed głupotą. - Białko podniósł słuchawkę: - Aniu, daj mi tu Pałkę. Zaraz!

- Świetny chłopak, dopiero po szkole. To on chwycił trop za gangiem. Chyba dlatego zdemolowali mu mieszkanie. Miał szczęście, że go nie zastali. Ale nie pękł. Następnego dnia przyprowadził do komisariatu brudnego typka w obrączkach. Gagatek wyglądał tak, jakby potłukł się o latarnię. Po jakimś czasie wyszło szydło z worka, że nasz Andrzejek, mniejsza nasza, zdrowo go obił, a potem wlał mu w gardło ćwiarteczkę wódki i wyciągnął kilka adresów. Trochę nieregulaminowo, co?

- Podobają mi się. Skąd jest?

- Był na stażu w województwie, a tutaj sprawdza się na ulicy. Dziadka zastrzelił mu po wojnie Wehrwolf. Ojca... Znałem jego ojca. Boję się o Andrzeja. Ktoś podrzucił mu kota z poderżniętym gardłem, ale on zlekceważył pogroźki. To nie żarty.

Do pokoju wszedł wysoki policjant z twarzą dziecka. Zameldował się regulaminowo i usiadł na wskazanym krześle.

- Nie wiem, czy to, co o tobie opowiedziałem panu komisarzowi, spodobało mu się. Komisarz Kotecki weźmie cię pod swoje skrzydła. Po kilku tygodniach zobaczymy, czy dobrze się wam pracuje - Białko patrzył na młodego Pałkę jak na syna.

- Tak? To świetnie. A ja trafiłem na pewien ślad...

Ślad Pałki prowadził do willi mecenasa Woylera. Dom, wybudowany dopiero przed trzema laty, stał na starej hałdzie przykopalnianej. Teren ten oddano pod zabudowę w nadziei, że jego nabywcy przywrócą życie ziemi. Nie było to jednak takie proste. Wokół kilku domów, które tu wzniesiono, pięły się ku zadymionemu słońcu chore krzewy. Tylko u Woylera wyglądało inaczej. Mecenas wysadził wokół ogrodzenia nie standardowy żywopłot, lecz setkę albo nawet dwie setki aronii. Trafił w dziesiątkę. Jego krzaki poradziły sobie z jałową glebą. Jesienią liście brunatniały, tworząc wokół willi barwny zawój, poza tym owoce, zamienione przez gosposię w powidła, obniżały mecenasowi ciśnienie.

Skarżył się on na nerwy nie bez powodu. Od dawna nie prowadził żadnej sprawy. Ludzie szeptali, że mecenasa zawieszono w prawach wykonywania zawodu, ale nikt nie był tego pewien. Człowiek żył jak dawniej, przyjmował petentów i nie brakowało mu pieniędzy. Pałka sprawdził plotki. Rzeczywiście, przeciwko Woylerowi prowadzono dochodzenie w sprawie wykorzystywania nieletnich do praktyk homoseksualnych. Do czasu zakończenia sprawy nie mógł praktykować jako adwokat. Wokół domu "za aroniami" kręciło się wielu podejrzanych osobników. Dzielnicowy wymienił nazwisko Witka Grony, którego Pałka dowlókl w kajdankach do komisariatu z torebką amfetaminy w kieszeni.

Pałka obmyślił zasadzkę. Z grubsza miała ona wyglądać tak: do willi weszłoby kilku ludzi, wyglądających na narkomanów, mecenas sprzedałby im narkotyki, policjanci sforsowaliby drzwi i przyłapali wszystkich na gorącym uczynku. Zapalony, oczekiwał akceptacji Koteckiego.

- Ilu policjantów wzięłoby udział w akcji?

- Trzech nas jest. Drugi radiowóz oczekiwałby w pogotowiu.

- W ciemności?

- Tak, gnojki schodzą się w nocy.

- A w dzień?

- W dzień to tam jest tylko gosposia.

- Będą mieć broń.

- My też - Pałka klepnął w kaburę.

Kotecki spojrział oczami bez wyrazu: - A psy?

- Woyler nie trzyma psa.

- To ciekawe.

- Widać nie boi się złodziei.

- Może się nie boi, a może nie lubi psów, a może psy nie lubią jego. Wybacz, bracie, ale zrobimy tę akcję bez żadnego "może".

Było dobrze po dziesiątej wieczorem, kiedy drzwi willi Woylera otworzyły się, wypuszczając snop światła. W ukrytym między drzewami maluchu, zaparkowanym sto metrów od granicy domostwa, Kotecki szturchnął młodszego kolegę: - Andrzejek, nie zasypiaj.

Lekko przygarbiona sylwetka, która ukazała się w drzwiach willi, przyświecała sobie drogę latarką. - Panie komisarzu...

- Ciii.

- Czego on szuka w tych krzakach?

- W środku czeka na niego dwóch facetów.

- Dwóch. Nie widzieliśmy, by wchodziło ich więcej.

- Właśnie. Czekają na towar.

Kotecki wsunął Pałce do ręki aparacik wielkości automatycznej Koniki.

- Co to?

- Popatrz sobie, bracie. KFX-4. Kamera. Popatrz.
 - O jej.
 - Filmuje w nocy jak w dzień. Cacko, co? Popatrz przez "ta szybka". Dobrze widać?
 - Fantastyczne - Pałka nie wychodził z podziwu. - Skąd pan ma taki sprzęt?
 - A kto mówił "ta szybka"?
 - Nie wiem.
 - Och, to młode pokolenie, niczego nie widziało, nic nie pamięta. Wciśnij czerwony guzik.

- Grzebie coś pod krzakami.
 - Filmuj, filmuj.
 - Coś wyciąga. Jakiś pakunek. Wierci się. Teraz udeptuje ziemię. Niesamowite. Czyżby towar trzymał w aroniach?

- A, widzisz.
 - Podczas rewizji nie zajrzelibyśmy tam. Co robimy?
 - Czekamy.
 - Wraca do domu.

Snop światła z willi padł ponownie na trawnik i zgasł. Woyler zamknął za sobą drzwi. Kotecki podniósł mikrofon do ust: - Uwaga wozy: "czwórka" i "dwójka". Zbliżyć się na wygaszonych światłach. "Dwójka" zajmuje pozycję. Przygotować broń do strzału. Odbiór.

W głośniku zadudniło: - Jesteśmy. Czekamy na rozkaz. Odbiór.

- Malak! Jesteś tam?
 - Jestem.
 - No to wskakuj, bracie.

Czarna sylwetka szeregowego Malaka spuściła się po linie z dachu i zniknęła w środku domostwa. Kotecki włączył silnik malucha. Nie śpiesząc się, podjechał pod bramę w ten sposób, by ustawić wóz na wprost. Z willi dobiegał głośny kaszel. Słychać było coraz wyraźniej, że ludzie kaszlą i za moment pękną im krtań.

- Wchodzimy! - zakomenderował Kotecki przez mikrofon.

Kilku funkcjonariuszy z bronią gotową do strzału przeskoczyło ogrodzenie. Kotecki włączył światła w samochodzie w chwili, gdy wytoczył się z willi mecenas Woyler i dwóch jego gości. Kaszląc, przyklękli na trawniku.

- Ręce do góry, bo strzelamy! - wykrzyknęli policjanci z całej mocy. - Do góry, do góry! Bo przylutuję - Pałka napawał się zwycięstwem.

Łapiąc oddech na nowo, przestępcy podnieśli się z ziemi. Ryżo wyrostek z tatuażem na szyi odrzucił od siebie jakiś pakunek. Pałka zauważył to. - Po co ci to było? - zapytał i uderzył ryżego w twarz. Podniósł z trawnika woreczek z białym proszkiem i przystawił go wyrostkowi do oczu. - To twoje?

- Nie.

Rąbnął zatrzymanego w brzuch, tak że ten upadł zgięty na ziemię. - Jeszcze porozmawiamy.

Kotecki podszedł do Malaka, zdejmującego maskę PG-7. - Dobra robota - poklepał go po ramieniu.

Zwycięstwo było pełne. Przyłapano Woylera na handlu narkotykami, czego dowodził film operacyjny z akcji. Pobity przez Pałkę wyrostek okazał się Bolesławem Wende, "Ryżym", poszukiwanym listem gończym za rozbój. "Ryżego" podejrzewano od pewnego czasu o przewożenie jednej z szajek narkotykowych w Mysłowicach. - Po "Ryżym" dostaniemy następnych - zamarzył nadkomisarz Białko, nazajutrz gratulując Koteckiemu sukcesu.

Komisarz zabrał się ostro do roboty. Nie zaprzętał głowy Białko swoimi sprawami, dając mu jedynie sygnał co kilka dni, że działania zmierzają we właściwym kierunku. Męty wieczorne skryły się głębiej w czeluściach bram, a cena zwykłej działki proszku skoczyła w

górze o parę złotych. Znaczyło to, że o towar trudniej, że jego dostawcy doliczają strach do rachunku i prawdopodobieństwo wpadki. Po mieście poszła fama o dwóch gliniarzach "Rambo", walących na odlew, prawych i przebiegłych. Jednego z nich nazwano "Kot", wywodząc przydomek nie tyle z nazwiska, co z kocich oczu Koteckiego. O drugim mówiono "Cherub" w związku z cherubinkową buzią Pałki. W ciągu tygodnia Kotecki z Pałką spenetrowali pięć oaz "dobroczyńnych", rozbili dwie instalacje do pędzenia bimbru, znaleźli nagan, niewiadomego pochodzenia, wsadzili kilku frajerów na czterdzieści osiem godzin. Niestety, nie udało się wydobyć z nich zeznań. Akcja u mecenasa Woylera stanowiła w dalszym ciągu największy sukces operacyjny. "Ryży" siedział w areszcie śledczym, Woyler, zasłaniający się stanem zdrowia, oczekiwał w domu na sankcje prokuratora.

- Jak Pałka? - zapytał Koteckiego nadkomisarz Białko.

- W porządku. Chłopak się nada.

- Wiedziałem. Ale niech go pan studzi. Bo Bóg widzi wszystko. Za to pobicie "Ryżego" zapowiedziałem naganę.

Areszt śledczy w Mysłowicach sąsiedował z budynkiem policji. Za metalową siatką przebywało w tym czasie trzech dżentelmenów. Żebrak, z którym nie wiadomo doprawdy co zrobić, mający areszt za hotel. Sklepiak z wielkim mankiem i z trzyletnim wyrokiem, czekający na transport do Potulic. Trzecim był "Ryży".

- Witamy pana, panie Wende - Kotecki z Pałką weszli do celi. - Przyszliśmy pogadać. Nie przeszkadzamy?

"Ryży" popatrzył z iskierką w oku. Wstał z taboretu i uczynił gest gospodarza. - Kawa, herbata? - zapytał. - Dwie kawy, a dla mnie herbatka - krzyknął głośno przez kraty. Strażnik drgnął, ale potem odwrócił się na pięcie i wrócił na swoje miejsce.

- Widzicie panowie, jaka tu obsługa. Może w województwie będzie lepsza.

- A więc wiesz?

- Powieście mnie do Katowic, prawda? A jak Ania, jak się sprawuje narzeczona? - zaczął Pałkę szelmowsko.

Młody policjant zarumienił się. - Nie opuszcza cię dobry humor, "Ryży" - Kotecki mówił spokojnie - przytępiamy ci go, nie bój się.

- A jak mam nie mieć humoru, kiedy patrzę na tego tu.

- Że ci przylał? Chowasz urazy do policjantów?

- Żeby tak przy ludziach, bez potrzeby?

- No, dobra, do rzeczy. Pogadamy. Słuchaj, "Ryży", zrobimy tak. Opuścimy ci na pół roku. W zamian, z kumplami, pomożesz nam oczyścić teren z Ruskich, żółtków i innych Murzynów. Nikt obcy nie będzie się nam mieszał. Taki układ. Porządek i interes. Żadnego straszenia, żadnej krwi.

"Ryży" słuchał.

- Dasz nogę z transportu.

- To tak?

- Inaczej się nie da. Nie miałbyś miru u swoich. Musiałbyś odsiedzieć swoje, a nie mamy czasu.

- A co potem?

- Kontakt u Pałki. Wiesz, gdzie mieszka. Dziesiąta wieczór. Niedziela i czwartek. Andrzej, w porządku?

- Co? Tak - zająknął się Pałka całkowicie zaskoczony.

Wyszli na ulicę. - Słuchaj, bracie - Kotecki zwrócił się do Pałki, oszołomionego rozmową w celi. - To jedyny sposób, chociaż wbrew prawu. Potem dostaniemy i "Ryżego", obiecuję ci. Ale ty nie musisz brać w tym udziału. Rozważ to. Wiedz, że jeśli raz zaczniesz grać nieczysto, to amen, tak zostanie. Nie ma odwrotu przez całe życie. I zadecyduj do jutra, czy robimy tę robotę razem, czy nie. Nie musisz w to wchodzić.

- Wchodzę.

- Masz czas...
 - Wchodzę i już!
 - Tak myślałem. I pamiętaj, ani słowa staremu. Dla jego dobra. Bo wiesz, co byłoby w razie niepowodzenia? Białko musi mieć czyste ręce i emeryturę, to jasne. Chyba rozumiesz.
 - Rozumiem.
 - Uff, dobra. To powiedz mi, jaka jest ta Ania?
- Pałka zarumienił się po uszy. - Poznał ją pan komisarz. Pracuje w naszym sekretariacie.
- A... O, to poważna sprawa.
 - Za dwa tygodnie, w wigilię świętej Anny, bierzemy ślub.
 - Gratulacje! Białko wie?
 - Domyśla się. Ania papie i papie. Dowie się oficjalnie, kiedy dostanie zaproszenie. Pana też zapraszam.

- Dziękuję.

Gazeta lokalna "Echo Mysłowickie" doniosła z rana o następnym rozboju w mieście, w spełnie "Roma", a kolorowa "Panorama", redagowana w Katowicach, zamieściła reportaż o stanie bezpieczeństwa obywateli na Śląsku. Nie wyglądało to wszystko dobrze. Prasa chłostała policję, a policja prasę. Rzeczniczka prokuratury rejonowej wypowiedziała się nawet, że mass media podburzają nastroje społeczne, pokazując niemoc organów porządku publicznego. - Widzisz, znów o nas piszą. Tego nie da się wytrzymać na dłuższą metę - dzwonił do komendanta Białki jego szef z Katowic, podinspektor Rybarczyk. - A ty, słyszałem, trzymasz jakiegoś bandytę i cicho. Prasie nie mówisz, nie chwalisz się. A to świetna akcja. Trzeba ją rzucić prasie, niech ją pożrą.

- Słuchaj, inspektorze. Jutro przejmiesz podejrzanego, sprawę i zrobisz wszystko sam mniejsza nasza najlepiej.

- A pewnie, a jasne. Zwołałem konferencję prasową.

Było przed piątą rano, kiedy zakutego w kajdanki Bolesława Wende wpakowano do niebiesko-białej nyski. Obok niego usiedli Malak i Pałka. Samochód ruszył. Słońce budziło się dopiero nad horyzontem, toteż Pałka ziewał przeciągle, a Malak zatykał nos, by nie zarazić się tym ziewaniem. "Ryży" drzemał. Dopiero koło Stawisk otworzył oczy i popatrzył na Pałkę. Kiwnął głową, a potem w ułamku sekundy znalazł się przy Malaku. Przystawił brzytwę do jego szyi. Brzytwa była prawdziwa w wolnych od kajdanek rękach "Ryżego". - Nie ruszaj się! - Sprawnym ruchem wyjął pistolet z kabury Malaka i wycelował w Pałkę. Ten znieruchomiał. - A teraz ty zdejmij pas i stajemy. - Pałka wykonał polecenie. Odrzucił pas z bronią i zastukał do kierowcy. Wóz stanął. - Bez numerów! - ostrzegł "Ryży" na pożegnanie i kopnął drzwi. Przeskoczył do białej łady z przysłoniętymi tablicami rejestracyjnymi, która z piskiem opon zahamowała opodal.

Podinspektor Rybarczyk wyznaczył konferencję prasową na jedenastą. Od samego rana dziennikarze, parający się tematyką policyjną, przeczuwali pismo nosem i rezerwowali "czołówki" na bombowe wydarzenie. Grubo przed jedenastą zgromadzili się w dusznej salce Komendy Wojewódzkiej w Katowicach i czekali. Minęła tymczasem jedenasta, a konferencja nie zaczęła się. Coś takiego zdarzyło się na tej sali po raz pierwszy.

Minął kwadrans, drugi. Wreszcie pojawił się podinspektor Rybarczyk. Był wściekły. Z trudem zachowywał spokój, miętosząc kartki, trzymane w rękach. Wciągnął głęboko powietrze i przemówił: - Proszę państwa. Przepraszam za półgodzinne spóźnienie. Ale winne temu te kartki, które trzymam w dłoni. Powielamy je dla państwa, powielamy i tak długo to trwa. Otrzymacie państwo podstawowe informacje oraz fotografię groźnego przestępcy, który uciekł dziś z aresztu śledczego. Bandyta jest uzbrojony. Prosimy społeczeństwo o pomoc w schwytaniu tego... luja. Śledztwo trwa. Nie mogę podać więcej szczegółów. Proszę o nie zadawanie pytań! - podinspektor wykrzyknął na ostatnim wydechu i wyszedł. - Ale tę konferencję zwołał pan jeszcze wczoraj. Po co? - dogoniło go pytanie.

Ktoś cicho zastukał do okna. Pałka poderwał się z krzesła. - Spokojnie, bracie - odezwał się siedzący przy stole Kotecki. - Otwórz. Mamy gościa. I zgaś górne światło.

Do przyciemnionego pokoju wszedł Bolesław Wende, poszukiwany listem gończym przez policję w całym kraju. Sprawiał wrażenie rozluźnionego. - Nie za ciemno panom? - spróbował zażartować. - Rozumiem, rozumiem. Zapewniam, że nikt mnie nie widział.

Kotecki nie spuszczał z niego wzroku.

- To ma być to gniazdko miłosne naszego przodownika? Pokój z kuchnią. I kanapa. Czy panna Anna była tu, hm... A może gdzie indziej? A może panna Anna to jeszcze dziewczica?

Pałka oddychał głęboko, nie dając się sprowokować.

- Ja przecież nic nie mówię. Ale baby trza różnąć! No nie, panie komisarzu?

- Nie błaznuj, siadaj - polecił Kotecki.

- Moment. Zrewidujemy barek przodownika. Nie ma przodowników z pustym barkiem. Tak, miałem rację, coś tu widzę. Bimberek własny? Nielegalny? Czy przodownik napije się z nami? - "Ryży" postawił na stole butelkę i trzy kieliszki. Przysiadł się do nich i nalał. Nie zwlekając, wypił sam. Znów nalał. Wypił. - Panowie, nie krępujcie się.

- Znalazłeś przystań?

- Mam gdzie głowę złożyć.

- Dobierają się nam do dupy za twoją ucieczkę z konwoju. Wiesz, wszczęli śledztwo. Z centrali mają przyjechać jakieś palanty. Nie jest lekko. Po co zabierałeś broń?

- Zapomniałem wyrzucić.

- Czepiąją się tej broni - Kotecki wychylił swój kieliszek - tak jakby broń była problem. Nie możesz podrzucić gdzieś tej spluwy?

- Po co?

- Będzie postęp w śledztwie. Przestaną szaleć.

- Pomyślę.

- Pomyśl. A teraz mów.

- Za wcześniej na coś. Dopiero rozglądam się. Pańskiego człowieka, Miedziaka, przyjąłem do grupy. Nada się. Zrobię go moim zastępcą. Kilku moich kumpli gra z Ruskimi w karty. Raz wygrali od nich AKM-74. Wszystko pan dostanie, czego tylko pan chce. Chce pan karabinki maszynowe, Brauninga 12.7 milimetra albo Colta 41 Magnum? Proszę bardzo. Wielkie uczucie nacisnąć spust potężnego Brauninga!

- A prochy?

- W sprawie narkotyków cisza. Nie wiem nic.

- To się dowiedz.

- Wolnego - "Ryży" wyjął papierosa i zapalił.

- Nie mamy czasu. Namierz tych Ruskich od dołu do góry, a my ich zdejmujemy pokazowo. Pamiętaj o swoim tyłku i że ten biznes będzie twój, jasne?

- O niczym innym nie rozmyślałem.

- To spływaj.

- Ten tu przodownik nie zapłacił za swoje.

- O co ci chodzi?

- Dał mi w twarz przy ludziach, a ja nie wybaczam takich rzeczy.

"Ryży" wypił jeszcze jeden kieliszek, zgasił papierosa w kryształowej popielniczce i machnął ręką na pożegnanie.

- Pierwszy zabiję skurwysyna! - wycedził Pałka, gdy za "Ryżym" zamknęły się drzwi.

- Daj se luzu. Czasem trzeba spuścić z tonu.

- Wiem. Wszedłem w to, ale nie podoba mi się ten układ. Nalać?

- Nalej.

Wypili.

- Należę jeszcze. Pan też wypije?
- Należ. Przecież jesteśmy po służbie.
- Po służbie! - Pałka przechylił kieliszek.

Powtórzyli kolejkę jeszcze dwa razy i butelka zrobiła się pusta. - Skoczę po coś. Tu niedaleko jest... melina.

- Oczy ci się, bracie, szklą. Co by na to powiedział nadkomisarz Białko? Przegnałby mnie na trzy wiatry.

- Czemu na trzy?
- To na cztery.

- Nic by nie powiedział. Białko jak ojciec dla mnie. Nie przegnałby. Szanuje pana i podziwia. Że pan taki twardy. Powiedział mi to. Naprawdę. Uważa, że nauczę się czegoś przy panu. Pan tego nie pokazuje, pan niby taki kulturalny, ale mnie pan nie oszuka. Pan nie raz lał w mordę, no nie? Nie myślę się, co? Umie się pan zakamuflować, żeby tego nie było widać. A ja nie wytrzymuję. Gdy najdzie na mnie złość, to muszę przylać. Co zrobić, by nie lać, a myśleć?

- Uczyć się.
- Uczę. Skoczyć po...
- Siedź. Tu zamieszkaś z żoną?

- A gdzie? Ania siedzi przy rodzicach, a ja... Matki nie pamiętam. Zmarła, kiedy mnie urodziła. Ojca... A, pokażę panu, co wymyśliliśmy. Zaplanowaliśmy z Anią nową kuchnię. Ta stara na śmietnik musowo. W łazience wymienimy wannę, flizy. W pokoju i w kuchni zawiesimy nowe zasłony. Ania ma hople na punkcie zasłon. Poza tym wywalimy stary tapczan, kiedy przyjdzie czas na łóżeczko. Rozumie pan, o czym mówię.

- Jest w ciąży?
- Dopiero się dowiedziała. Bardzo się cieszymy. Skoczyć? Skoczę...
- Siedź.

- Przecież siedzę. Gdy tak pomyślę o Ani i dziecku, hm, jestem szczęśliwy. Pan się śmieje? Pan się śmieje, że trochę podpiłem. Prawda. Ale tak czuję, jak mówię. Szczerze jak szczerzy Bóg. To znaczy, jak mówię, tak... A, nieważne. Wie pan, o co chodzi. Coś panu pokażę - Pałka schylił się do szuflady i zaczął grzebać. Znalazł i przysunął się do Koteckiego.

- Proszę. To album rodzinny - przewrócił stronę ze zdjęciami. - Dziadek. Ten w kapeluszu - pokazał. - W sześćdziesiątym drugim roku zabili go Ślązacy, ale Niemcy.

Odkrył następną stronę. - Ojciec. Ojciec wstąpił do milicji chyba tylko po to, by znaleźć zabójców dziadka. I wie pan co? Znalazł. Wsadzili ich i dostali wysokie wyroki. Jednemu dali czapę. I wykonano.

Przeczesał włosy palcami. Przetarł powieki, nadmiernie utrudzony wieczorem.

- Twój ojciec nie żyje? - zapytał Kotecki.

- Nie żyje - Pałka zamyślił się. Nagle otrząsnął się z zadumy. - Panu jednemu opowiem swoją tajemnicę - rzekł. - Nie wie o tym nawet Białko. On nic nie wie. O ciąży Ani nie wie. Miałem powiedzieć? On dla mnie jak ojciec. Za miękki. Pan mnie zrozumie. A w tej sprawie zarządziłby śledztwo, rutynowe dochodzenie i w malinach. A tu trzeba wsadzić do dupy "Regulamin policjanta". Panu nie muszę tłumaczyć. Pan słucha teraz. Powiem. Memu ojcu zaprzysiężono zemstę. I to zaraz potem, kiedy mordercy dziadka znaleźli się za kratkami. Zaczęły przychodzić pierwsze anonimy, na drzwiach naszego domu wymalowano krzyż. Pamiętam. Czerwony. Zdzieraliśmy go długo, a ręce śmierdziały przez tydzień od rozpuszczalnika. Ojciec wyrzucał anonimy do kosza, udawał, że nic się nie dzieje, ale ja czułem, że się boi. Któregoś wieczoru miał trochę czasu, siedzieliśmy za tym stołem i rozmawialiśmy. Zaczął tak jakoś dookoła, ale zrozumiałem, że przygotowywał mnie na najgorsze. "Taka robota, taka robota" - powtarzał. I jak w "Trylogii" Wołodyjowski: "nic to". Kazał mi przysiąc, że gdyby coś mu się stało, to nie będę szukał zemsty. Przyrzekłem. Pan

zrozumie, że nie dochowałem słowa. Boże, jak bym się napił...

Ojciec zginął w listopadzie osiemdziesiątego roku. Miałem wtedy dziesięć lat. Gdyby nie Białko, który mnie przygarnął... Białko powtarzał przez te wszystkie lata, że dopisało mu szczęście: wybronił mnie przed domem dziecka, a ponadto uratował prawdę o ojcu. Szczęście, bo w niebie zostanie mu to policzone. SB chciała wykorzystać śmierć ojca i wmanipulować w nią "Solidarność". Ale Białko uparł się, nie odpuścił śledztwa, nie przystał na prowokację. I wie pan co, co się okazało? Wie pan? W zamordowanie ojca zamieszane było Stasi. Nikt nie chciał słuchać o tym, bano się. Raporty ze śledztwa schowano do szuflady i cisza. Przyschło. Skoro nie zabiła ojca "Solidarność", to sza. Morda w kubeł. Nie ma tematu. I służbista Białko się zgodził. Ale ja nie. Kiedy Białko był zajęty, szperałem po papierzykach. Prowadziłem własne śledztwo. Potem, po zjednoczeniu Niemiec, gdy zaczęto palić agentów Stasi, wiedziałem wszystko. Wierzy pan w sny? Każdy wierzy. To, co mi się przyśniło, stało się naprawdę. Przyjechała do mnie pewna dziewczyna. Niemka. Z rodziny, na którą zarzuciłem sieci. Sumienie ją ruszyło, ale pewnie chodziło jej o brata, który siedział w więzieniu za Stasi. Chciała go wyciągnąć stamtąd. Powiedziała mi, że jej brat niczemu nie jest winien, nikogo nie zabił, że ma zdjęcie człowieka, którego szukam.

Tego dnia zobaczyłem mordercę ojca. Na fotografii stał w towarzystwie dwóch koleżków ze Stasi. Wszyscy bardzo młodzi, w bluzach takich paramilitarnych. Kabury pistoletów, w pochwach noże. Szpan. Jeden z nich był bratem dziewczyny. Ale mnie interesowała jedna twarz. Twarz mordercy ojca! Tutaj mam to zdjęcie - Pałka schylił się do szuflady, gmerał chwilę między teczkami i z szarą kopertą w rękę usiadł znów przy stole.

Wyjął fotografię. - Tego zdjęcia nie pokazywałem nikomu, nawet Białce - powiedział z dumą. - Ten tu zabił mi ojca - wskazał. - Nazywa się Renz, pseudo "Hiena". Ten z boku to brat dziewczyny, "Flak". A ten nazywa się "Katze", też agent... - Pałka zbladł. Ze zdjęcia patrzyła na niego młoda twarz...

- Pokaż. No, faktycznie. Coś takiego. Ależ podobny do mnie. Zapewniam cię, że nie mam brata bliźniaka. Ale zdarzają się takie sobowtóry. Idziesz na ulicy i ktoś się kłania, bo pomylił cię z jakimś znajomym.

- To prawda. Ma pan rację. Coś takiego i mnie się przytrafiło. Kiedyś...

- Innym razem opowiesz. A teraz czas na mnie. Pamiętaj, że gramy w jednej drużynie. Trzymaj się. I uważaj na tego "Ryżego", bo facet jest cięty na ciebie. Do jutra - Kotecki wstał i wyszedł, zostawiając Pałkę ze zdjęciem w rękę.

Po kilkunastu minutach ktoś zapukał. Pałka otworzył drzwi. Nie zdążył... Cios młotkiem został zadany nagle. Ścianę za wieszakiem zbluzgała krew.

Wszystko wyglądało po staremu. Za oknem zasypiała noc. Tylko morderca ścierał ślady zbrodni. Kiedy to zrobił, przyklęknął z brzytwą przy ofierze. Mimo iż Pałka nie dawał znaków życia, poderżnął mu gardło jednym cięciem.

Z powodu gorąca nikomu nie było śpieszno do pracy. Kotecki szedł wolno chodnikiem, przystając co chwilę przy wystawach sklepowych. Na rogu ulicy Krakowskiej i Wolskiej obudził pijaczka na ławce i kazał mu iść do domu. Uśmiechnął się, gdy ładna panienka na rowerze powiedziała mu "dzień dobry". Komisariat zobaczył z daleka. Parkowało przed nim kilka służbowych wozów. Pchnął drzwi. Dyżurny przyjął postawę służbową. Kotecki przyjrzał się mu uważnie. - Co ci jest? Płaczesz? Coś się stało?

- To pan komisarz nie wie? Zamordowali Andrzejkę Pałkę!

- Nie może być! - Kotecki wykrzyknął.

- Pół godziny temu dowiedzieliśmy się. Kolega podjechał po Andrzejka jak co dzień rano i zobaczył... - strażnik rozbeczał się na dobre.

W sekretariacie, za biurkiem, siedziała Ania. Opierała się plecami o ścianę. Była biała jak prześcieradło i nie dostrzegła nikogo. Kotecki zbliżył się i delikatnie położył rękę na jej

ramieniu. - Wiem - szepnął.

Uniosła wzrok. Miała niebieskie oczy. - Powiedzieli? Wszystko? - rozpląkała się bezgłośnie. Ogarnął ją ramieniem. - Musisz być teraz dzielna. Twarda. Tego życzyłby sobie Andrzej. Poderwała się z krzesła i zaczęła bić pięściami w jego piersi: - Nie mogę, nie mogę! - Przytulił ją, tłumiąc jej spazmy, szlochy. Wybuch trwał krótko i po kilku chwilach uspokoiła się. Poglaskała Koteckiego po ramieniu i wysunęła się z jego objęcia. - Dziękuję za wszystko, za współczucie. Niech mi pan obieca, na pamięć Andrzeja, który pana tak szanował i cenił, że znajdzie pan i zabije mordercę - zażądała ostro.

- Obiecuję - odpowiedział, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Komendant Białko nie zauważył komisarza. Z głową, opartą o kant ciężkiej szafy, ze wzrokiem, utkwionym na suficie, przypominał mumię woskową. Obecny w gabinecie posterunkowy Domański, wstał na widok przełożonego. - Mów! - Kotecki skinął głową.

- Andrzej nie wyszedł przed dom jak zwykle, więc pomyślałem, że zasnął. Wszedłem, bo drzwi były otwarte, nawet nie pukałem. Andrzej leżał na podłodze, we krwi. Sprawdziłem puls. Nie żył. Miał... poderżnięte gardło.

- Kto tak zabija? Na miły Bóg! - wykrzyknął Białko, jakby rozstrzygnięcie tej kwestii było najważniejsze. - Kotecki, kto tak zabija? Chłopak miał przed sobą życie. I ta dziewczyna... Czemu nie padło na mnie? Czemu mnie, starego, Bóg nie skazał na zarżnięcie? Ja winny, przeklęty, to ja wystawiłem dziecko na śmierć.

- Komendancie...

- To mnie jego ojciec zaufał. I ja w taki sposób zaopiekowałem się synem przyjaciela? Mniejsza nasza, Kotecki... - Białko płakał. Ogromne łzy spływały mu po brodzie. W jednej chwili przestał być komendantem, a stał się starcem, któremu nagle przybyło jeszcze sto lat.

- Dostanę go, komendancie - wycedził Kotecki przez zaciśnięte zęby. - Gdzieś przecież musi siedzieć jak szczur.

- A dostań! Ja go załatwię. Nic mi już nie zrobią.

Młody Domański poruszył się zdenerwowany: - To panowie, komendanci, wiecie, kto zamordował Andrzeja?

- A kto mu groził? Komu się naraził? - krzyczał Białko.

Domański pokiwał głową: - To Wende? "Ryży"!

Pierwsze wyniki ekspertyzy nadeszły piorunem. Krótko przed wieczorem laboratorium Instytutu Medycyny Sądowej w Katowicach dało znać, że odciski palców, zdjęte z kieliszka w mieszkaniu denata, należą do poszukiwanego listem gończym Bolesława Wende. Śledczy nie mieli wątpliwości, kto zabił. Nie wiedziano tylko, jakim cudem "Ryży" znalazł się w domu Pałki. Czy Pałka wpuścił go, by napić się z nim wódki?

"Echo Mysłowickie", które ukazało się następnego dnia, donosiło z czołówki: "Zabójstwo policjanta". Drukowało portret przestępcy, podejrzanego o popełnienie zbrodni. W "Słowie od redakcji" redaktor, podpisujący się literkami "aa", przypominał PT Czytelnikom o okolicznościach aresztowania "Ryżego", o jego groźbach, adresowanych do zamordowanego, brawurowej ucieczce z transportu, konwojowanego przez Pałkę. Pozwolił sobie nawet na dygresję, nazywając ją "surrealistyczną", o istnieniu związku pomiędzy groźbami "Ryżego" a jego ucieczką spod opieki Pałki. Oczywiście "aa" zastrzegął, że nie sugeruje wniosków, a tym bardziej zmywy pomiędzy krewkim policjantem a pobitym bandytą, i nie przypuszcza, by za śmiercią Pałki nie stała zemsta.

Komendant Białko nie rozumiał nic z tego artykułu. Zapytał jedynie: - Co to znaczy "PT Czytelnikom"? - A kiedy nie usłyszał odpowiedzi, odgrodził się od wszystkich murem medytacji. Nie wyrwały go z apatii nawet artykuły w prasie katowickiej, wymagające od policji ostrzejszych metod postępowania z przestępcami. Uśmiechnął się tylko raz, gdy przeczytał w "Gazecie Śląskiej" odważny postulat: "Komisarzu Kotecki! Do dzieła. Nadszedł Twój czas!". Gazeta przypominała sukcesy komisarza w Jarosławiu, jego zmagania z podziemiem przestępczym i życzyła mu powodzenia. - Nadkomisarzu Białko, czas na

emeryturę - szepnął Białko.

A Kotecki szalał. Zmobilizował do działania ostatnie rezerwy policji, wysłał patrole na ulice miasta, wypatrujące przestępców z bronią gotową do użycia. Rozeszła się pogłoska o brygadzie antyterrorystycznej, mającej wzmocnić siły Koteckiego. Na pytania dziennikarzy: "Czy to prawda?", on sam odpowiadał wymijająco. Podkreślał, że nie zabraknie mu determinacji, środków, a także ludzi. Stwierdzał, że to wystarczy, by spokojni i uczciwi mieszkańcy miasta poczuli się bezpieczni. Nie wiedział, kto puścił plotkę o brygadzie antyterrorystycznej. Przypuszczał jedynie, że zbliżający się dzień pogrzebu policjanta Andrzeja Pałki, organizowanego przez Komendę Wojewódzką Policji i Radę Miasta, może wywoływać najprzeróżniejsze wymysły, skojarzenia i emocje.

Pogrzeb zaplanowano na szesnastą, ale od południa gromadziły się przed cmentarzem grupy ludzi. Starsi mężczyźni kiwali głowami, gdy kobiety przekonywały zawzięcie, że boją się wypuszczać dzieci na ulicę. Koło piętnastej zaczęły podjeżdżać służbowe samochody. Wysiedli z nich oficjele w mundurach gala. Z piskiem opon zahamował spóźniony polonez z telewizji, z którego wyskoczyło dwóch facetów z kamerami. Na końcu ulicy pokazała się orkiestra w górniczych mundurach, wypożyczona z kopalni "Mysłowice", wybijająca talerzami żałobny krok.

Trumnę nieśli koledzy zamordowanego: Malak, Domański, Wertke i Furtok. Za nimi szła Ania w ciemnym kostiumie, podtrzymywana pod rękę przez Białkę. O krok za nimi stapał Kotecki. A potem długi, śpiewający za księdzem tłum.

Nad otwartym grobem przemówił podinspektor Rybarczyk z Katowic. Jego słowa,omalże wykrzywane, dolatywały do najodleglejszych zaułków cmentarza: - Oto przyszło nam dziś żegnać sierotę! Bez matki. Bez ojca. Ojciec, także policjant, zginął na służbie. Żegnamy bohatera bezpardonowej walki z przestępczą siłą. Powiadam: dość tego. Dość śmierci młodych policjantów!

- Chwilę - szepnął facet z telewizji. Wymieniał właśnie kasetę w kamerze. Mówca wyjął chusteczkę i starannie zaczął wycierać pot z czoła.

- Już.

- Powiadam, dość tego. Składam hołd zmarłemu tragicznie przodownikowi Pałce i obiecuję w imię prawa i sprawiedliwości, że sprawca mordu zostanie ujęty i skazany.

Białko kiwał miarowo głową. Ania szlochała. Kotecki stał smutny, poważny.

Po pogrzebie zaczął Koteckiego podinspektor Rybarczyk: - Przejmie pan komendę. Białce przyda się dłuższy wypoczynek. Bardzo przeżył tę śmierć. Pałka był, zdaje się, jego wychowankiem?

Przed bramą cmentarza czekała kamera telewizyjna. - Chcę telewidzów poinformować - mówił Rybarczyk nie pytany do pracującej aparatury - że zacieśniamy pierścień wokół poszukiwanego zabójcy policjanta. Dla dobra śledztwa nie możemy podawać szczegółów. W każdym razie komisarz Kotecki, bezpośrednio dowodzący akcją, nie daje mordercy większych szans na długie ukrywanie się. Prawda, komisarzu?

- Kiedy pan aresztuje "Ryżego"? - zapytał reporter wprost.

- Mam nadzieję, że jak najszybciej - odpowiedział Kotecki.

Tej nocy Białko nie spał. Złożył podanie o urlop i nie za bardzo wiedział, czym się zajmie. Nie spała Ania, wtulona w mokrą poduszkę. Nie spał Kotecki. Zaraz po zmierzchu wyszedł na ulicę, odetchnąć. Ani żywego ducha. Grafiki nocnych patroli policyjnych opracował sam w taki sposób, aby nikt mu nie przeszkodził w dotarciu do domu Pałki.

Przez kwadrans spacerował przy księżycu w pełni. Samotny dom Pałki z zaniedbanym ogródkiem, żwirową ścieżką, ginącą w sośninie, mimo nocy widać było jak na dłoni. Na drzwiach wisiała plomba. Zerwał ją i wszedł do środka. Zrobił po ciemku kilka kroków, by dotrzeć do okna i uchylić zasłonę, gdy usłyszał za plecami: - Stój! Ręce na kark, bo ci łeb roztrzaskam.

Drgnął. Ale wykonał polecenie. - A więc jesteś? Spodziewałem się ciebie nieco

później.

- Po co zerwałeś plombę?
- A co, miałem wdrapywać się po rynnie?
- Pamiętaj, żadnych głupstw. Bo zostaniesz tu sztywny jak twój koleżka.
- Może dasz mi usiąść?

Wende zgodził się. Pchnął krzesło w kierunku Koteckiego. Usiedli obaj. Siedzieli jak dawniej, tylko Pałki nie było z nimi.

- Słuchaj, "Ryży", to koniec. Nie wyjdiesz z tego. Mamy cię w garści za ten mord.
- Słyszałem, tylko że...
- Nie chcę nic słyszeć. Przyszedłem tu, bo mieliśmy układ. A teraz nie ma Pałki i nie ma układu.

- Mam tych Ruskich na widelcu. Wiem wszystko. Wystarczy, żeby ich wypierdolić.
- Chyba że tak.
- Co tak?
- Możemy pogadać na nowo.
- Ale ja nie wiem, co pan komisarz ma na myśli?

- To dla ciebie jedyna szansa. Bekniesz o nas, to policja znajdzie twoje zwłoki w rynsztoku. Jasne? Na razie melinujesz się jak dotąd. Kontakt przez Miedziaka. Robisz, co powiem. Kumpli przygotuj do dużej roboty. Powiedz im, że zobaczą szmal, o jakim im się nie śniło. Co, dziwi cię, że glina chce żyć też jak człowiek?

Wende słuchał z otwartymi oczami. Nie odezwał się słowem.

Następny dzionek przyniósł tylko jedno wydarzenie. Do gabinetu komisarza Koteckiego wszedł krępy mężczyzna w polowym mundurze. Wyjął papiery i położył je na biurku. - To moje pełnomocnictwa - rzekł. - Z upoważnienia resortu przejmuję śledztwo w sprawie śmierci przodownika Andrzeja Pałki. Jestem kapitan Rzymek. Gwidon - przedstawił się i wyciągnął rękę do Koteckiego.

Rozdział III

- Wchodź, wchodź - poznała pukanie Dai Górecka i schowała się w łazience. - Doprowadzę się do porządku i jestem. Nalej sobie czegoś do picia.

Dai weszła, nalała wodę do szklanki, ledwie co przysiadła na sofie, kiedy Górecka pokazała się w przewiewnych białych spodniach i bluzce. - Gotów! A ty...

Chinka ukloniła się. Prezentowała się poważnie w ciemnogranatowym kostiumie i tak też patrzyła na Górecką. Oj, dała jej ona popalić swoimi zachciankami. Spełniając życzenia Polki, głowę miała teraz jak balon nadmuchaną. Była zmuszona rozmawiać z ważnymi osobami Chin, telefonować do sekretariatów najważniejszych instytucji kraju i unieść ciężar zadania o randze międzypaństwowej. Jedno zauważyła na pewno, że w trakcie swej misji zgubiła zaszczepioną uniżoność i przestała przytakiwać każdej tezie, która przychodzi do głowy jej rozmówcom. Co miała robić? Walczyła twardo z oporną materią, by zadowolić dziennikarkę z Warszawy. W duchu skrywała pretensję do Luo Yiqinga, który gdzieś sobie wyjechał i na jej głowie zostawił sprawy "Guanming Ribao". Ileż się nadowiadowała, nawydzwaniała, nauzgadniała, naprosiła, naumawiała, nanarzała na uszczypliwe uwagi o widzimisiach żurnalistki znad Bałtyku, której zachciało się wywiadu z jakimś kryminalistą. Aż z tej złości patrzeć na nią nie chciała.

Ale udało się. Men Ru, sekretarz osobisty szefa propagandy Lu Binga, oddzwonił, że owszem, w porządku, towarzysz Lu spotka się chętnie z polską prasą. Rozmów nigdy za wiele, kwestii chińsko - polskich nie brakowało do omówienia, szczególnie po życzeniu polskiego papieża odwiedzenia Chin.

- Załatwiłam.

- I powiedziałaś wyraźnie, o co mi chodzi? - upewniała się Górecka.

- Przedstawiłam panią. Powiedziałam wszystko, co chodzi, żeby nie było wątpliwości

- Dai, przyciskana do muru, kaleczyła angielszczyznę.

- Czemu taka w mundurek ubrana? - Górecka nie byłaby sobą bez uszczypliwości.

Dai spuściła oczy.

Spotkanie wyznaczono na dziesiątą. Miały pół godziny na pokonanie drogi do gmachu chińskiej partii komunistycznej. Pośpiechu nie było, ale Dai zerknęła na zegarek raz po raz: i przy zamykaniu drzwi w hotelu, i przy oddawaniu klucza na portierni, i w samochodzie. Zdążyły. Przed wahadłowymi drzwiami gmachu partii stanęły punktualnie, z dziesięciominutową rezerwą na pobranie przepustki, wjazd windą na szóste piętro i zameldowanie się w gabinecie towarzysza Lu.

- Zapraszamy, bardzo nam miło - uklonił się sekretarz Men Ru, który pojawił się przed nimi nie wiadomo skąd. - Towarzysz Lu oczekuje.

Weszły w milczeniu. Wnętrze wypełniały dębowe meble, portret wielkiego Deng Xiaopinga i kilka wazonów na czerwonym dywanie. Lu Bing podniósł się zza biurka i uśmiechnął serdecznie.

- Proszę - wskazał gestem miejsca dla Góreckiej i Dai. Men Ru dostawił krzesło dla siebie i też usiadł.

- Co panią do mnie sprowadza?

- Pominę prezentację - Górecka patrzyła na uśmiechniętego, starego Chińczyka, przytakującego głową. - Chciałabym zebrać materiały do artykułów o Chinach jak najrzetelniej, od podszewki poznać problemy, którymi żyją ludzie. Dlatego rozmawiam z

różnymi osobami, różnych zawodów, różnych poglądów, dlatego...

- Właśnie, doskonale. Nasi dziennikarze uczą się dopiero profesjonalnego podejścia do zawodu. To brzemię minionych lat. Ale teraz jesteśmy otwarci, pomocni, nie mamy kwestii, nawet trudnych, które chcielibyśmy zatajać przed prasą. Proszę popatrzeć na nasze dzienniki, choćby "Guanming Ribao" - Lu skinął głową Dai, która z jeszcze większym przejęciem przetłumaczyła jego słowa - tam nie ma miejsca na frazesy. Pokazujemy nasze problemy nieufryzowane, takie, jakie są naprawdę, takie, jakie widzą je ludzie na ulicy. Dotykamy spraw, którymi ludzie żyją, na temat których spierają się przecież, dyskutują. Jakżeż my, partia, moglibyśmy w tej sytuacji stać z boku?

- Cieszę mnie pana słowa. Niech pan mi wierzy, że dobrze rozumiem, o czym pan mówi. Co prawda dzieje naszych państw są nieporównywalne, lecz technika przeobrażeń ustrojowych, budowania czegoś lepszego, jest zawsze taka sama.

- Może panią zaskoczę, ale w historii naszych narodów widzę analogie. Polacy wywodzą się od króla Popiela jak my od cesarza Sia sprzed czterech tysięcy lat. Czy cztery tysiące lat temu harcowały w Polsce myszy? - Lu z wyraźnym zadowoleniem obserwował zakłopotanie Góreckiej.

- Nie wiem. Może nie aż tak dawno - odpowiedziała i próbując nadać swoim słowom jak najłżejszy ton, dodała: - A czy w waszych więzieniach są myszy?

Po dość suchej twarzy Lu przebiegł grymas niesmaku: - Z pewnością nie tylko tam... Z pewnym żalem obserwuję, że prasa światowa wykazuje niezdrowe zainteresowanie naszymi więzieniami, podaje wiele nieprawdziwych informacji o warunkach, w nich panujących. Oczywiście, różnie z tym bywało, ale zapewniam panią, że to się zmienia, że to przeszłość.

- Ma pan opinię reformatora, człowieka otwartego na świat, nie obawiającego się zmian szybkich i głębokich. Moi znajomi poinformowali mnie, że to pan właśnie może pomóc mi porozmawiać z osobą, o której było dość głośno niedawno. Mam na myśli Bao Tonga.

Zaległa ciężka cisza, którą przerwał Lu: - Znajomi?

- Koledzy z agencji. Opowiadali, że przyjaźniliście się.

- Nie mogę pani pomóc - Lu pokręcił głową. - Ma pani błędne informacje. Ów towarzysz, którego pani wymieniła, zdradził Chiny, był sądzony i nic więcej nie wiem. Być może był agentem obcych służb, którym zależy tylko na jednym: aby osłabić nasz kraj gospodarczo, podważyć naszą drogę do socjalizmu, zapoczątkowaną przez towarzysza Denga. To krecia robota. Niech pani rozejrzy się, ile u nas dzieje się ważnego, nowego, wartościowego. To są tematy, interesujące pani czytelników. Proszę pytać o te sprawy.

- Jeszcze niedawno mówił pan...

- Proszę pytać!

Górecka zadała kilka rutynowych pytań, spisała odpowiedzi, wstała, pożegnała się i wyszła. Ostatnie słowa brzęczały jej w uszach: - A w sprawach więziennictwa, które nie wiedzieć czemu interesują zachodnie media, nie mamy nic do ukrycia, to może pani sprawdzić osobiście.

Odezwała się do Dai dopiero w hotelu: - No i co? Po diabła mi była ta rozmowa? Czy wiedziałaś, że odmówi?

- U nas takich rzeczy się nie wie - odpowiedziała Dai spokojnie.

- Tyle zachodu na marne. Co zrobić? Już wyższego szczebla nie osiągnę. Sprawa bez szans? Ot, pogadałam sobie z wiernym przyjacielem Bao - pokpiwała Górecka, chodząc po pokoju.

Dai usiadła w fotelu: - Niech pani spocznie. Coś powiem.

- Co chcesz?

- Proszę usiąść.

Górecka usiadła posłusznie, zaskoczona stanowczym tonem Dai.

- Men Ru, ten sekretarz Lu, to mój dawny kolega ze szkoły. Chyba mnie lubi - Chinka spuściła oczy. - Po wywiadzie dostałam od niego coś, o co prosiłam wcześniej. To pismo, firmowane przez kancelarię towarzysza Lu Binga, z jego podpisem, zwracające się z prośbą do władz więzienia w Huhehaote o pomoc dla pani w zbieraniu informacji. Mają pani opowiedzieć o warunkach, w jakich przebywają więźniowie. Naczelnik więzienia jest człowiekiem Lu, no bo dzięki Lu ma tę posesję. U nas mówi się, że naczelnik Yan ma dobre guanxi dzięki Lu. Więzienie jest nowe, wybudowane wedle nowoczesnych standardów. Pełna pokazówka. Poza tym to tylko trzy godziny jazdy.

- No i co z tego? Po co mi to?

- Co i? Co z..? Niech pani pomyśli.

- Dai, czego ty ode mnie chcesz? Może tam...

- Tam!

Górecka aż podskoczyła z radości. Uściskała Dai i ucałowała w policzek z taką szczerością, że aż ta, nie sarenka przecież, pisnęła z bólu. Potem wyjęła z barku koniak i nalała do dwóch kieliszków. - Mów mi Dana. Wiesz, co to brudzio?

- Dai.

Przeplotły się rękami.

Do bramy więzienia w Huhehaote wiodła alejka, wysadzona krzewami złotlina. Górecka i Dai pokonały ją z duszą na ramieniu. Wyjęły dokumenty, list polecający i nacisnęły gong. Zazgrzytała zasuw. Strażnik zaprowadził je do naczelnika, który na szczęście nie był zaskoczony wizytą.

- Takich gości mamy coraz więcej - powiedział na przywitaniu. - Więzienie nowe, komfortowe jakby, kurort, no nie? - zaśmiał się szczerze. - Cele pojedyncze, każda cela z sanitariatem. Działa radiowęzeł, własna gazetka. Można korzystać z czytelnicy prasy, z biblioteki. Tu praca jest nagrodą dla więźniów.

- Praca? - zainteresowała się Górecka.

- Mamy dwa zakłady: jeden odzieżowy, z modną odzieżą dla kobiet, drugi zabawkarski. Pewnie panie zainteresuje ten pierwszy.

- Nie, nie - szybko zaprzeczyła Dai. - Polacy kupują chińskie zabawki. Redaktorka z Polski chce zobaczyć ich produkcję.

Dozorcy patrolowali teren dyskretnie, wyposażeni w mikrofony. Obywali się bez grubych ścian, potrójnych krat, zgrzytających zasuw, kluczy jak łomy, karabinów maszynowych na wieżyczkach, wycelowanych w podwórzec. - Jesteśmy pod opieką elektroniki - ciągnął opowiadanie naczelnik Yan zgadując, co gościom chodzi po głowie. - Ale zasady, przypominam, obowiązują we wszystkich więzieniach takie same: słuchać poleceń strażników i nie pytać, nie zbliżać się do osadzonych i nie rozmawiać. Sam odpowiem na wszystkie pytania.

W hali produkcyjnej krzątało się z trzydziestu więźniów. Przy długim stole, tam gdzie kończył się proces kontroli jakości, siedział więzień, którego jedyną czynnością było wkładanie i wyjmowanie baterijki z zabawek. Baterijka miała pasować a zabawka działać. Dai szturchnęła Górecką, choć ta z daleka poznała Bao Tonga. Jego twarz obiegnęła prasę wielokrotnie.

W skupieniu zajmował się akurat lokomotywami Royal Yellou - Train Set, które terkotały po torach z wielkimi prędkościami, kiedy tylko dotykał je palcem. - Możemy zobaczyć? - zawołała Dai i pociągnęła naczelnika za sobą na koniec stołu.

- Pozostaje pakowanie i sprzedaż.

- A pan kupuje te zabawki swoim dzieciom, czy otrzymuje je za darmo?

Gdy naczelnik Yan zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią, Dai obróciła go za rękę lekko w bok, kryjąc za plecami Górecką.

- Ja mam duże dzieci - rzekł wymijająco. W tym momencie Górecka pewnym ruchem wsunęła kopertę do kieszeni kombinezonu Bao Tonga.

Wyszły zadowolone. Pospacerowały jeszcze po Huhehaote, zjadły po wysuszonym filecie w McDonald'sie i wróciły do Pekinu.

Stephen Langton, wypoczęty, w nienagannie skrojonym białym garniturze, sięgał akurat po "China Daily", przytwierdzone do potężnego kija ze stalowymi ramkami, kiedy Górecka objęła go od tyłu i zakryła mu rękami oczy. - Kto to? Poznajesz?

- Jesteś. I jak było wczoraj beze mnie? - nadstawił policzek do pocałowania.

- Bosko. A może ty mnie pocałujesz?

- Dana... Nie mogę o niczym innym myśleć.

Wtuliła się w jego ramię i cmoknęła go w policzek. - I nic nie robiłeś?

- Nic. Wywaliłam mnie z roboty, to pewne. Kręcę się, czytam, wydzwaniam. Nic się nie dzieje. Oślepiłem, niczego nie widzę. Tylko ciebie. Redakcja zamawia nowinki, a u mnie tego ani na lekarstwo. Szukam po gazetach i też nic nie dostrzegam. Straciłem wzrok, węch, instynkt. Zyskałem ciebie. Kocham. Jesteś taka... widoczna. A może rzeczywiście nie ma o czym pisać?

- Nie powiedziałabym. Bao Tong, były sekretarz Zhao Ziyanga, udzielił wywiadu w więzieniu.

- Co? Mówiłem. Gdzie?! - Langton rzucił się do segregatora z gazetami. - Przecież przeglądałem tytuły. Dana, gdzie to widziałaś?

- Nie tutaj. Chodź - szepnęła mu do ucha.

W parku lekki zefirek głąaskał liście. Dopiero tu pozwoliła mu ochłonąć. - Ale o tym wiem tylko ja i ty.

- Ja i ty?

- Tylko my - wpatrywała się w niego śmiejącymi oczami.

- Dana...

Pocałowała go w usta.

- Dana.

Pocałowała drugi raz.

- Dobra, nic nie mówię.

- Ależ mów! Bo to ja byłam w więzieniu, by zadać Bao kilka pytań. Kiedy tekst ukaże się w druku, będzie o nim głośno. Ale na razie... sza, O.K.?

- O Boże. I ty się nie bałaś, przecież... - jej pocałunki nie pozwoliły mu mówić dłużej. - Jesteś taka przebojowa - wykrztusił w końcu.

Po lunchu, zjedzonym w kameralnym barze "Man", Górecka zapytała: - To co ty właściwie robiłeś przez cały dzień?

- Byłem "u Anglika". Pograłem trochę. Poznałem świetnego faceta, z Australii. Pogawędziliśmy o znajomych kątach w Melbourne.

- Coś ci się tęskni?

- Nie. Ale zawsze to krajan. Umówiłem się z nim na partyjkę dziś wieczorkiem. Może go poznasz? To jakiś biznesmen, zajmujący się podejrzanymi interesami.

- Czemu tak sądzisz?

- Pracuje dla chińskiej firmy farmaceutycznej "999". Słyszałem o tej firmie, czytałem gdzieś, że ma powiązania z wojskiem. Zapytałem go o to, to się tylko roześmiał. Pomyślałem sobie od razu o tobie, że ty takie rzeczy lubisz, że taki facet cię zacieka.

- Naprawdę?

Kompleks sportowo - rekreacyjny "u Anglika" z kortami tenisowymi, otwartym basenem, sauną, fontannami, zapleczem gastronomiczno - rozrywkowym prowadził Anglik, tyle że urodzony w Chinach. Nikt nie znał jego nazwiska i nikt go o nie nie pytał. Wystarczyło, że dbał o gości jak mało kto, a dwa korty trawiaste i dwa ceglane utrzymywał w należytym stanie. Langton zarezerwował na wieczór oczywiście trawę, jako nawierzchnię najodpowiedniejszą dla dżentelmena.

Było po pierwszym secie, kiedy "u Anglika" pokazała się Górecka. Pomachała

Langtonowi ręką. Jego partner spojrział w jej stronę. Był to Murzyn, z widoczną domieszką białej krwi, niższy od Langtona, ale świetnie zbudowany, o atletycznej muskulaturze, kocich ruchach i czarnych wąsach pod orlim nosem. Przyznała rację przyjacielowi. Biznesmen z taką klątą nie mógł prowadzić czystych interesów.

- As! - krzyknął Langton po swoim serwisie tak głośno, aby Górecka usłyszała. Murzyn uśmiechnął się. Mimo sportowej sylwetki prezentował się gorzej na korcie niż Langton. Biegał szybko, serwował mocno, padał na ziemię, gdy trzeba było walczyć o piłkę, lecz jego technika gry odbiegała od ideału. Górecka oceniła bez trudu, że naukę tenisa rozpoczął w wieku dojrzałym, podczas gdy Langton wyssał tenis z mlekiem matki.

- Mecz! Dziękuję. Zaraz do ciebie dołączymy - usłyszała. - Weź drinka i dla nas.

Podeszli odświeżeni, uśmiechnięci. - Dana, to jest John.

- John O'Brien. Miło mi - przedstawił się partner Langtona.

- Miło i mnie. Kto wygrał?

- Nie o wygraną szło. Graliśmy ot tak, rekreacyjnie, prawda, Stephen?

- Przegrałem, dobra. Ale w pierwszym secie miałem tie -breaka! - zaperzył się Langton. - Z Johna to taipan!

- Chiński tai-pan, wszechpotężny władca? - zaciekała się Górecka.

- Niestety, australijski. W języku australijskich plemion taipany to bardzo jadowite zmije.

Roześmieli się. A kiedy kelnerka podała do stolika drinki, O'Brien puścił do niej oko.

- Niezła Chinczka - zawyrokował.

- Co jeszcze podoba się panu w Chinach? - zagadnęła go Górecka.

- Hę, a musi? - odpowiedział figlarnie.

- Musi.

- Poważnie, to interesy.

- Biznes?

- Pracuję dla "999 Pharmaceutical Co.". Moja firma należy do większych w Chinach. Produkujemy tradycyjne chińskie leki na bazie naturalnych składników roślinnych i zwierzęcych. Sprzedaję je w Australii.

- Na długo przyjechał pan do centrali?

- Nie wiem. Przedstawię analizy handlowe i plany na przyszłość. Pogram ze Stephenem w tenisa...

- Niedaleko portu w Hongkongu jest reklama tej firmy. Trzy dziewiątki na tablicy największej ponoć na świecie.

- W pewnym sensie te dziewiątki to mistyka. Firmę założył profesor Zhao Xinxian i nazwał na cześć pokonania "rewolucji kulturalnej", która intelektualistów, takich jak Zhao, zaliczała do obywateli "śmierdzącej dziewiątej kategorii".

- Ale to firma chińskiej Armii Ludowo - Wyzwoleńczej, a jej zyski idą na wojsko.

- Tak? Nic mi o tym nie wiadomo. Ale może pani wie lepiej. Ja sprzedaję stomate, czyli lek na trawienie "Wei Tai 999". I tyle. Mnie interesują tabletki, zasyпки, maści na bóle głowy, niestrawności czy egzemy, okay?

Górecka kiwnęła głową. Spodobał się jej ten O'Brien. Mówił szybko, pewnie, nie pozostawiając oddechu na wątpliwości. Czowała, że wie więcej niż mówi, a przede wszystkim zna ludzi godnych uwagi.

- To co robimy z tak pięknie rozpoczętym wieczorem? - O'Brien zerknął na Langtona.

- Dobra myśl - Górecka zareagowała pierwsza. - Pogadalibyśmy jeszcze, ale umówiłam się z moją chińską przyjaciółką.

- Ładna chociaż? - O'Brien pokazał w uśmiechu białe zęby.

- To super dziewczyna.

Dai czekała już, kiedy weszli do hollu "Xi Juan". Wyglądała powiewnie, kwiecisto, że Górecka zaczęła przyglądać się jej jak kobiecie. Mogła podobać się mężczyznom! O'Brien

pokazał na jej widok swoje białe zęby.

- Panowie, idźcie do baru na drinka - rozkazała Górecka, a sama z Chinką utonęła w głębokich fotelach.

- Coś nowego?

- W redakcji dowiedzieli się, że byłam z tobą w Huhehaote. Niby nic, czysta sprawa, ale na zebranie partyjne w fabryce kabli, które to ja zawsze dotąd obsługiwałam, wysłano kogo innego. Ponoć mam za wiele spraw na głowie.

- Słuchaj, to może daj ty sobie ze mną spokój. Powiedz, że rezygnujesz, nie chcesz wałęsać się przy mnie, bo masz wątpliwości co do moich zainteresowań dziennikarskich. Bez pretensji z mojej strony. Jesteśmy i będziemy przyjaciółkami. Polubiłam cię.

- Jasne. Ale wiesz, Dana, mnie już nie podniecają zebrania partyjne w fabryce kabli. I w ogóle to całe... Przy tobie robię coś ważnego. Nie pomyśl sobie za wiele, ale czuję, jakbym robiła teraz coś lepszego.

W czwórkę zamówili szampana. Przy dyskretnej muzyce, wydobywającej się gdzieś zza ścian, tańczyli lekkie fokstrociki. Górecka była szczęśliwa, że Langton patrzy na nią, a nie na młodszą Dai. Tańczył dużo lepiej w końcu niż O'Brien.

Dai obudziła Górecką dość wcześnie. Skupiona, kłaniała się uniesieniem, co było u niej oznaką wielkiego zdenerwowania. - Stało się coś? Która godzina?

- Przyszedł ludź, ale nie pytaj, co. Dał Bao Tonga na twoje pytania. Popracowałam na tekście, bo Bao dopisywał myśli po chińsku...

- Mów po ludzku i uspokój się. A, dawaj mi to, kurde, zaraz!

Na pięciu kartkach maszynopisu Bao opowiadał o Chinach wielkich:

"- Jest Pan kozłem ofiarnym przemian?

- Nie widzę tego w ten sposób. Moją rolą jest przyczynić się do wychodzenia Chin z letargu. Ponoć Napoleon powiedział: "Gdy przebudzą się Chiny, zdrzą świat". Świat drżał, gdy na gruzach cesarstwa Qingów powstawała Republika Chińska Sun Yat Sena, potem gdy Mao Zedong tworzył Chiny Ludowe, w końcu gdy Deng Xiaoping zainicjował politykę otwarcia na świat.

- Ale w więzieniu niewiele można zrobić?

- Wszystko można, pytanie tylko kiedy? Chiny są supermocarstwem z potężną bazą przemysłową i militarną. Trwa walka o transformację systemu ekonomicznego, by bardziej efektywnie wykorzystywać ten potencjał. Widać, byłem przeszkodą w tym procesie i moja izolacja polityczna służy pokonywaniu konfliktów i wstrząsów politycznych.

- To samokrytyka?

- Tak.

- Czy Chinom grozi chaos?

- W dużej mierze. Dlatego ważna jest stabilizacja polityczna, zaniechanie walk frakcyjnych, rywalizacji o przywództwo. Deng wytyczył drogę przemian i póki co jest to droga słuszna na wiele lat. Groźne są wszelkie działania, zawracające Chiny z drogi przemian. Siły starego porządku są potężne i gotowe do uderzenia. Będąc blisko przewodniczącego partii Zhao Ziyanga, odbierałem wiele sygnałów o szykowanych działaniach destrukcyjnych, zamachach i sabotażach.

- W jakim celu?

- By podważyć linię przemian, by pokazać, że Chin nie stać na demokrację. Wystarczy zaostrzyć konflikty, pobudzić niezorientowanych do radykalnych wystąpień i cel osiągnięty. Władza jest zła, potrzeba nowej.

- Co zaostrza konflikty?

- Rozgrzebywanie Tienanmen, żądania zlikwidowania Komunistycznej Partii Chin, rozpad kraju na bogate i biedne prowincje, chaos w gospodarce, antykomunistyczne frakcje

fundamentalistyczne i nacjonalistyczne.

- Nie da się wymienić wszystkiego.

- Nie da. Ale obecni przywódcy są świadomi zagrożeń i prowokacji. Niechby zasztyletowano tybetańskiego Dalajlamę albo katolickiego kardynała Chen Li, który nie wiadomo, czy wbrew Watykanowi, wspiera działania, osłabiające wpływy armii w państwie, patronuje prądom dysydenckim. Od razu odezwałyby się głosy, że ta władza jest tak słaba, że aż musi mordować. I trzeba ją zmienić. Ja z tego miejsca mogę tylko ostrzegać, by w porę eliminować zagrożenia".

Górecka przerwała czytanie. - Ledwie poznaję swoje pytania, ale nie szkodzi, nieźle to wykombinowałam.

Dai ukloniła się nisko. Nie spodziewała się przecież większych pochwał od Góreckiej. Patrzyła jednak smutno.

- Co tobie?

- Dana, zmieniłaś moje życie - powiedziała jak wyrocznia.

Po kilku dniach Górecka zadzwoniła do Warszawy. Była ciekawa, jak jej wywiad z Bao został złamany na kolumnie i co powiedziano o nim w redakcji. Czy podchwyciły go zachodnie agencje prasowe? Sekretarka połączyła od razu z redaktorem naczelnym. - Jak go puściłeś? - zapytała na wstępie.

- Cześć! Świetny wywiad. Niesamowity. Poza tym gość mówi sensownie. Jak dostałaś się do faceta?

- To się odbije szerokim echem. Puściłeś ze zdjęciem?

- Poprosiliśmy o zdjęcia w ambasadzie chińskiej, bo w naszym komputerze nic nie mieliśmy. Wiesz, jak to jest. I wynikł pewien problem.

- Problem? Co za problem?

- Chińczycy poprosili MSZ, a MSZ nas, by chwilowo wstrzymać druk wywiadu.

- To dranie. Można się było tego spodziewać. Ale mam nadzieję, że...

- Wiesz, tłumaczyli swoimi powodami. Że wywiad zdobyłaś nielegalnie. Ale, oczywiście, co to nas może obchodzić? Tłumaczyłem przez pół godziny. A oni o naszych stosunkach międzypaństwowych.

- I szefie, i nie wydrukowałaś?!

- Zrozum, chwilowo wstrzymałem...

Górecka trzasnęła słuchawką. Znała dobrze wszystkie redaktorskie chwyt i wykręty. Wciągnęła powietrze w płuca i wrzasnęła przez okno: - Sru!!! - Nie pomogło. Wybiegła z hotelu i wsiadła do wynajętego opla. Szybką jazdą w szpalerze drzew wyzywała przeznaczenie. Z piskiem i zgrzytem stanęła na światłach. - I sru!

Przy wyjeździe z miasta zobaczyła dwóch wyrostków, napastujących starszego mężczyznę. Ten, przerażony, rozglądał się wokół, nie mając gdzie uciec. Górecka zatrzymała wóz. - Ee, tutaj!

Chuligani puścili mężczyznę, który czym prędzej wziął nogi za pas, i podbiegli z nożami. Wyciągnęli ją za rękę z samochodu i wydukali: - Money!

Tego było jej trzeba. Szybką, twardą pięścią walnęła bandytę w ucho, a nim drugi koleżka zamierzył się z ciosem, trafiła go w krocze sprężystym kopnięciem. Miała czas, by przyjąć postawę: pierwszy chuligan zataczał się w poszukiwaniu równowagi, a drugi wcisnął głowę w ziemię jak kret i wył z bólu. Nie bawiła się w odbieranie noży. Raz po raz celnymi kopnięciami odrzucała przeciwników od siebie, miażdżąc im nogi, brzuchy, twarze. Zasapała się.

Po chwili było jej dość. Gówniarze wyli z bólu, próbując odczołgać się od niej jak najdalej. Podniosła za włosy głowy obu napastników i popatrzyła im w oczy. Zobaczyła to, co chciała: zdumienie i przerażenie. - Kształcił mnie mistrz Chan. Po prostu wszystkiego trzeba się nauczyć - poinformowała grzecznie.

Przy wsiadaniu do samochodu, dostrzegła szary mercedes z dwoma facetami. Stał w

bezpiecznej odległości. Nie przejęła się nim specjalnie, ale kiedy ruszyła, wóz pojechał za nią. Po kilku minutach zbliżył się i mrugnął światłami. Zwolniła. W lusterku poznała grubego Ma Mina i młodego Songa. Zjechała na pobocze.

- Za każdym razem widzimy panią w akcji - powiedział Ma Min, kiedy zasiedli pod parasolem przydrożnej knajpki.

- Byłam zła.

- Nie trzeba być złym.

- Wściekłam się w pewnej sprawie. A teraz myślę, że może niesłusznie? Dobra. Co u was w Fuk Ching?

- Spełniamy daną obietnicę. Song, no...

Song z opatrunkiem na oku i szyi wykrztusił: - Człowiek, ten, co mi wtedy zapłacił, nazywa się Wang Shao i był sekretarzem biura towarzysza Chen Yuna.

- Tego Chen Yuna?

Ma Min i Song kiwnęli głowami.

- Ale to nie wszystko. Może pani porozmawiać z Wang Shao. On wszystko opowie. Jest obrażony, bo wyrzucono go z pracy. Chce się zemścić. Powiedziałem, że panią to zainteresuje. Wieczorem będzie czekać na panią w restauracji "Xi'an". Wie pani, gdzie to jest?

Wiedziała.

Wang Shao wyszedł zza kotary. - Powiem, co mam do powiedzenia, bez owijania w bawełnę - Wang był mężczyzną młodym, ufającym we własne możliwości, nie skrywającym ambicji. - To ja zleciłem pobicie pani.

- Co pan zamawia? - Górecka puściła jego słowa między uszami i poprosiła o kawę dla siebie.

- Proszę mnie posłuchać. Mój plan uzyskał akceptację towarzysza Chen Yuna, a w szczegółach jego zastępcy Yang Binga. I po tym wszystkim każą mi się wynosić? Potraktowali mnie jak psa. Popamiętają mnie jeszcze. Niech pani wszystko opublikuje!

- Ale co?

- Dane: nazwiska, daty spotkań, sumy przekazów, notatki z rozmów, prowadzonych w mojej obecności. Skopiowałem na dyskietce kilka dokumentów. Założyliśmy wyeliminowanie wroga numer jeden Chin, kardynała Chen Li, tego, co podjudza przeciwko tradycji, przekupuje Chińczyków pieniędzmi watykańskimi, by zaczęli zachodzić do jego świątyni, otacza luksusem wrogów państwa, takich jak Wei Jingsheng. Zaprasza papieża z Rzymu do Chin. Nic z tego! Społeczeństwo tego nie chce i popiera narodowy program rozwoju.

- Ale czemu rzuciliście się na mnie?

- Pani z Polski, to katoliczka. Nie chcemy katolików, bo szpiegujecie dla Watykanu. Nie chcemy, by się katolicy tu pętali, węszyli, donosili. Żaden katolik nie powinien czuć się u nas bezpiecznie. Przypadkiem wypadło na panią.

- A czemu pana odsunięto od pańskich programów? - Górecka patrzyła ostro w oczy Wangu.

- Nie przekonałem do współpracy Fuk Ching, a z gangiem wiązaliśmy spore nadzieje. Ma Min odmówił, niech się więc strzeże!

Górecka schowała dokumenty i dyskietkę do torebki. Upewniła się, czy Wangowi nie grozi jakieś niebezpieczeństwo za ich opublikowanie. - Niejednego asa trzymam w rękawie - powiedział młodzian na pożegnanie.

Na dokumentach widniał nagłówek: "Biuro towarzysza Chen Yuna". I pieczęć: "Nei bu", czyli "Do użytku wewnętrznego". Dyskietka, którą odtworzyła, zawierała plany spisku na życie kardynała Chen Li. Nie były to jednak dowody sensu stricto, że za "Biurem towarzysza Chen Yuna" stał Chen Yun osobiście. Teksty mogły zostać spreparowane przez współpracowników Chena i to bez jego wiedzy i przyzwolenia.

Inny charakter miały notatki z rozmowy przedstawiciela firmy "Vormund Ltd" z Monachium Hendrika Zoecke z Yang Bingiem, zaufanym towarzysza Chena:

Zoecke: Przez ostatnie dwa lata włożyliśmy tu trzydzieści milionów dolarów. Mieliśmy układ, że możemy liczyć na waszą pomoc w przypadku kłopotów z biurokracją. Chcemy inwestować w rozwój firmy, a nie możemy, bo wasze władze nie dają zgody.

Yang: Proszę się nie denerwować, proszę...

Zoecke: Nie mamy zgody na rozwój, czyli na rozbudowę i uruchomienie nowej działalności, mimo bliskiej współpracy z "999 Pharmaceutical Co."

Yang: Wiem, że nie macie zgody na utylizację odpadków chemicznych w bezpośrednim sąsiedztwie osiedla mieszkaniowego Wan. Czemu nie zmieniliście lokalizacji?

Zoecke: To niemożliwe. Chodzi o ujęcia wody, gotową infrastrukturę energetyczną, transport. Albo tu, albo bankructwo. Stać nas tylko na bankructwo.

Yang: I mieszkańcy Wan was nie chcą?

Zoecke: Głównym oponentem jest kardynał Chen Li. To on buntuje ludzi. Nie chce przenosić kościoła, chociaż zaproponowaliśmy mu wybudowanie nowego.

Yang: Nam się też nie podoba Chen Li...

(Rozmowę przerwano. Wrócono do tematu po dwóch tygodniach).

Zoecke: Konsultowałem nasz problem w kraju. Moglibyśmy usunąć pewne przeszkody. Uczynimy to, jeśli otrzymamy gwarancje koniecznej pomocy.

Yang: A konkretnie?

Zoecke: Ktoś będzie prowadzić śledztwo, ktoś będzie podejmować decyzje gospodarcze. Ważne, by śledztwo nie wstrzymało decyzji o naszej rozbudowie. Trzeba też zrobić tak, by tych dwóch spraw nie łączono.

Yang: Ktoś wyeliminuje kardynała?

Zoecke: To fachowiec, który nie zawodzi. Nazywa się Reinert.

Yang: Dobrze. Daję panu gwarancje. Chińczycy również nie życzą sobie działalności Chen Li".

Górecka z miejsca umówiła się na rozmowę z kardynałem Chen Li. W drzwiach niewielkiego, białego domku przy ulicy Wangfujing przywitali ją ochroniarze. Zaskoczona trochę, dała się zrewidować. Chen Li był niskim, szczupłym mężczyzną z bruzdami na twarzy, świadectwem przeżytych lat, ale z wesołymi oczami. - Miło mi gościć panią, przybywającą z kraju Jana Pawła II.

- Powiem bez ogródek, że trafiłam na ślady przygotowań do zamachu na życie eminencji.

- Nie pani pierwsza. Tego typu sygnały dochodzą do mnie co jakiś czas. Boję się bardziej o moje owieczki. Oficjalnie jest cztery miliony katolików w Chinach, a naprawdę dziesięć.

- Wiem: Kościół katolicki państwowy i Kościół podziemny, nie uznawany przez władze.

- Mój Kościół nie zerwał ze Stolicą Apostolską i nie wyrzekł się papieża jako jego głowy. Wielu księży, w tym ja, zapłaciło za to więzieniami. Oczywiście wielu duchownych i wiernych podziemnego Kościoła przynależy jednocześnie do oficjalnego Kościoła. Tak musi być... Agencja Xinhua wyświetla filmy o przestępczości, narkotykach, mafiach, pornografii, bezrobociu, liberalizmie moralnym między innymi w Polsce, winiąc za to Kościół, który przyczynił się do szczęśliwego obalenia komunizmu w Europie.

Wywiad, oparty na tej rozmowie, Górecka zredagowała niezwłocznie i przekazała do redakcji. Wydał się jej wart grzechu. Zadzwoiła do Dai. - No, co z tobą?

- Okay.

- Może wpadniesz, niewdzięcznico?

Po dwóch godzinach Górecka i Dai uściśnęły się serdecznie i ucałowały, jakby nie widziały się od roku. - Siadaj i opowiadaj.

Dai nalala sobie soku z kartonu, który stał na wierzchu, i uśmiechnęła się smutno.
- Co jest? Jesteś jakoś tajemniczo zamglona. Stało się coś?

Chinka nie wiedziała, od czego zacząć. Jej życie zmieniło się. Jeszcze tak niedawno jeździła beztrudno trolejbusem do matki, na osiedle mrówkowców Sheung Wan, do dwupokojowego mieszkanca, które jej ojciec, kiedy jeszcze żył, otrzymał w formie wyróżnienia za wzorową postawę w pracy i w akcji pomocy wsi. Ojciec był dyżurnym ruchu na kolei, sekretarzem organizacji partyjnej, lubianym kolegą w pracy i w sąsiedztwie. Matka uczyła w szkole podstawowej geografii. Pewnego dnia ojciec zasnął. Zadzwoniono ze szpitala, że zmarł. Matka płakała, ale łzy wyschły w końcu, a miłość, troskę i nadzieję na godną starość przeniosła na jedyną córkę. Więcej dzieci nie miała, partia prosiła o to, a partyjne wytyczne były dla niej najwyższą racją.

Spotykały się regularnie i dały sobie radę bez ojca. Kochana Dai, bogata w rekomendacje ojcowskiej organizacji partyjnej, skończyła z wyróżnieniem studia filologiczne i dostała posadę w "Guanming Ribao". Uczyła się szybko pracy w dziale stosunków międzynarodowych u boku szefa Luo Yiqinga. Chwalono ją za bystrość, rzetelność w przygotowywaniu materiałów do omówień, jak i do druku. Również za pryncypialność polityczną. O czym więcej mogło się marzyć młodej dziewczynie? Szef jej ufał, bowiem nie pozwoliłaby sobie nigdy zwątpić w politykę partii. Po dramacie Tienanmen podnosiła rękę za szefem, kiedy oskarżano burżuazyjnych prowokatorów i nie zastanawiała się specjalnie, co czyni. Matka wspierała ją, utwierdzała w przekonaniu, że dobrze robi, że partia ma rację. Pewnego dnia zaprosiła nawet na kolację Luo w dowód szacunku i podziękii, że zastąpił córcę ojca. Przed Dai kariera stała otworem.

Wtedy poznała Górecką. Przy Góreckiej rozpadł się jej świat. Z początku myślała, że to przewidzenie, iluzja, że uległa technice manipulacji psychologicznej, o stosowanie której miała prawo podejrzewać prowokatorów z tamtej części świata. Towarzysze uczulali ją przeciw na zagrożenia, wynikające z kontaktów z przedstawicielami mediów Zachodu.

Tylko że Górecka była normalna. Baba zwariowana, twardoskóra i kolczasta jak agawa, lecz w środku miękka, wyrozumiała. Dai nie mogła zrozumieć jej na początku, że tak uparcie szuka informacji nieoficjalnych i krząta się za wywiadem z Bao. Po co? To biuletyny partii nie wystarczały? I wtedy coś się stało, coś się zaczęło.

Spotkała Men Ru w sekretariacie towarzysza Lu Binga. Men dojrzał, w niczym nie przypominał kolegi ze szkoły, wodzącego za nią oczami. Powiedział do niej ciepło i zwyczajnie, że już czas. Że czas przejrzeć na oczy, że powinna wesprzeć reformy i działać po stronie nowych Chin. W partii wojuje się o wpływy, frakcje nie przebierają w środkach, mnożą się prowokacje, do więzień trafiają uczciwi ludzie, choćby Bao Tong. Kto zburzy mury dogmatyków, jeśli nie ona, młoda, wykształcona, kontaktująca się ze światem? On, ona, Bao Tong. On pomoże, ona pomoże, ktoś pomoże jeszcze. I uda się. W ten sposób ludzie zmieniają historię. Tak powiedział Ru. I że nie boi się dużych słów. Ona niech też się nie boi. Pozna wielu ludzi, którzy się nie boją.

Poznała nowych kolegów. Pisali artykuły i rozklejali je po ścianach w fabrykach. Byli wspaniali, wolni i radośni. W każdej chwili groziło im aresztowanie, ale nie pokazywali strachu. A ona? Ślęcząc w redakcji nad papierami, przestała patrzeć w oczy Luo Yiqingowi.

Poza tym ten John O'Brien. Ta jego dłoń, jego usta... Mrowił ją kark na wspomnienie jego ramion. Kochała pierwszy raz. John podjechał pod nią wieczorem lamborghini w kolorze jak słońce przed zaśnieciem. Gdy poszli na tańce, to na parkiecie czuła się jak baletnica. Gdy dyskutowali o wystawie sztuki japońskiej, jak erudytką. Gdy robili zakupy w Domu Mody "Quelle", jak królowa. A w łóżku, jak kochanka. Od kilku dni unosiła się niczym chmurka w obłokach, budziła jak skowronek, a cały poranek traciła na zgadywanie, jaką John zrobi jej znów niespodziankę. Zwykle czekał na nią przed domem. Wczoraj czekał, przedwczoraj nie czekał, bo musiał wyjechać w tych swoich australijskich interesach. Dziś czekał. Przywiózł ją pod hotel i powiedział, że się z nią ożeni... I co miała powiedzieć

Góreckiej, która patrzyła na nią z niepokojem, i pytała, czy coś się jej nie stało?

- Hej, stało się coś? Odezwij się, dziewczyno, miła moja.

- Ach, nic, nic. Przedzierzgnęłam się w motyla. U ciebie też wspaniale?

- Yhm - Górecka zerkała podejrzliwie. - A ty nie widziałaś gdzieś Langtona i tego jego przyjaciela, Johna?

Dai splonęła żywcem.

Zeszły na dół. Langton z O'Brienem popijali w najlepsze drinki i dyskutowali: - Co to za kraj, że polityków wyławia się z rzeki. Jeśli do takich form walki politycznej dochodzi, to nie ma co lądzić się, że przyfrunęły jaskółki demokracji - gorączkował się Langton.

- Młody gość - współczuł O'Brien.

- Można wiedzieć, o czym plotkujecie? - włączyła się do rozmowy Górecka.

- Dana, wyobraź sobie, co się stało. Podali w wiadomościach przed chwilą, że wyłowiono z jakiegoś stawu bliskiego współpracownika "nieśmiertelnego" Chen Yuna. I to z kamieniem w ustach. Zamordowano młodego chłopaka. I za co? Pewnie za politykę, skoro towarzysz Chen wydał komunikat, podkreślający pryncypialność zabitego i oddanie sprawom partii i Chin. I że w ogóle odpowiedzialność za śmierć jego współpracownika ponoszą wrogie partii i narodowi chińskiemu siły reakcji wewnętrznej. Co o tym sądzisz, Dana?

- Zapamiętałaś nazwisko tego zabitego?

- Tak, Wang Shao.

Górecka zagryzła wargi, wycodziła coś niezrozumiałego i odwróciła się na pięcie. Wściekłemu wyrazowi jej twarzy przyglądał się z uwagą jedynie O'Brien.

Wieczorem usiedli przy szklankach z piwem. - Ta piana, ten kolor - zachwycił się Langton. Dai popatrzyła na zegarek, a potem pociągnęła Górecką za rękaw. - Mamy z Daną coś do załatwienia. Panowie niech nam wybaczą, poczekają, a wrócimy - powiedziała zalotnie do O'Briena. Górecka nie oponowała.

Wsiadły do starego mercedesa, który czekał na nie. Kierowca mruknął coś na przywitanie i ruszył z kopyta. Mijali jedno osiedle za drugim, skręcając ostro w najmniej spodziewanych miejscach. Górecka zerkała na Dai, ale ta uśmiechała się jedynie: - Spokojnie, wszystkiego dowiesz się na miejscu. - Kilka razy wydawało się, że kierowca objeżdża osiedle dookoła, aby wzorem nieuczciwych taksówkarzy zainkasować najwyższą zapłatę. Tylko pisk opon na zakrętach, kluczenie między domami, powaga Dai świadczyła, że to nie dowcip, nie żarty, lecz gra o dużą stawkę.

- Mam nie wiedzieć, gdzie jądę, czy gubimy ogon? - zareagowała dość ostro Górecka.

- Jedno i drugie - odpowiedział spokojnie kierowca.

Rzeczywiście. Bordowe lamborghini, które próbowało ucześcić się ich jak rzep psiego ogona, po kilkunastu minutach zniknęło z lusterka na dobre. Gdy stanęli, Górecka nie miała pojęcia, gdzie trafiła i czy w ogóle była jeszcze w Pekinie.

Na drugim piętrze domu, bliźniaczo podobnego do innych, Dai zapukała do drzwi. - Hallo! - odpowiedział jej jakiś młodzian w drucianych okularach i w swetrze mimo upału.

Za oparami papierosowego dymu siedziało na podłodze z dwudziestu ludzi. - Poznaj jaskinię kontrewolucji. Ten w drucianych okularach to Ah Long, szef ogólnochińskiego zrzeszenia studentów. Ah Long znaczy Mały Smok - tłumaczyła Dai. - Tu są studenci, wykładowcy z wyższych uczelni, nauczyciele, także robotnicy. Tamta dziewczyna przy oknie pracuje na tokarce i nazywa się Jiang Qing, czyli Zielona Rzeka. Schodzą się co jakiś czas, raz tu, raz tam, aby wymienić poglądy, przedyskutować sytuację polityczną, dokształcić się, zaplanować konkretne akcje. Na spotkania zapraszani są często ludzie z zewnątrz: politolodzy, socjologowie, psychologowie, nie zaangażowani wcale w walkę, ale chcący podzielić się doświadczeniem i wiedzą. Nas też zaproszono.

- Nie spodziewałam się.

- Posłuchamy. Poza tym mamy gościa z twego kraju... - Nim Dai skończyła zdanie, do pokoju wszedł redaktor Adam Michnik z "Gazety Wyborczej". Górecka podskoczyła z

radości na jego widok. Przywitali się "na niedźwiadka".

Michnik nie miał wiele czasu. Tego samego dnia odlatywał do Moskwy na sympozjum. Opowiedział o swoich doświadczeniach z organami służby bezpieczeństwa, dał kilka dobrych rad, zapowiedział, że następnym razem przyjedzie na dłużej. Pożegnał się z Chińczykami, Górecką i już go nie było.

Przy barze czekali wytrwale Langton i O'Brien. Ziewali przy tym z nudów jak mopsy. - Ładnie nas traktujecie - smęcił Langton. Nie patrząc na Dai i O'Briena, objął Górecką ramieniem i poprowadził do pokoju. - Dana, tak długo czekałem - przytulił ją i pocałował. Ja tylko wypatruję ciebie. I rozmyślam, gdzie jest Dana: czy moja Dana tu, czy tam, i tak chcę pocałować, i tak przytulić. Jesteś taka gorąca.

Górecka nie mogła opierać się dłużej jego miłości.

Dai, tonąc w tym samym czasie w ramionach O'Briena, zapytała zalotnie jak trzpiotka: - I czekaliście na nas, nie zawróciły wam w głowach inne dziewczyny?

- Nigdy. Stephen wyrwał się na moment, złapać wiatr we włosy w moim lamborghini.

Umówili się "u Anglika" na debla. Dai przyszła w kwiecistej sukience, potem pokazała się Górecka na biało i O'Brien w jasnym garniturze. Swobodni, dowcipkowali z Langtona: - Kto przyjdzie ostatni?

- Oczywiście Stephen.

- Co Stephen przytarga?

- Oczywiście torbę z rakietami, albowiem džentelmen gra wyłącznie własnymi rakietami.

Langton spóźnił się rzeczywiście. Usiedli więc przy stoliku z parasolem, blisko ulicy. Z tego miejsca zwykle widzieli z daleka truchtającego Langtona, wysyłającego w ich kierunku błagalne gesty przeprosin. Dai wybrała z menu ciastko z kremem. - Ostatnio spóźnił się kwadrans, więc dajmy mu szansę - poprosiła cicho Górecka.

Zza zakrętu wyjechała spora ciężarówka. Był to kamaz z zieloną kabiną. Spojrzeli w jego kierunku, albowiem zapiszczał oponami jak bolid. Pędził na złamanie karku, nagle przejechał krawężnik i runął na ich stolik.

- Sru! - wrzasnęła Górecka, pociągając za sobą Dai. W tym samym momencie O'Brien dał nura w bok jak skoczek do wody.

Kamaz zmiądzzył kilka stolików, zmiotł dwa parasole i uderzył w drzewo. Chwilę pohłasował motorem, po czym wycofał się niespodzianie i odjechał.

Górecka wybiegła na ulicę. Gwałtem zatrzymała pierwsze z brzegu auto, a jego kierowcę wyciągnęła z środka za krawat. - Policja! - krzyknęła. - Rekwiruję! - Zanim ruszyła, O'Brien zdążył wskoczyć do samochodu. - Goń drania! - powiedział zdyszany, tak jakby potrzebowała jego zachęty.

Ciężarówka pędziła jak szalona, wyprzedzając wszystko po drodze, chybotając się niebezpiecznie przy zmianach pasów ruchu, a brezentowa powłoka jej bagażówki powiewała na wietrze jak żagiel. Górecka przycisnęła gaz i dogoniła uciekiniera. Kamaz zaczął jechać całą szerokością drogi, uniemożliwiając wyprzedzenie. Na skrzyżowaniu skręcił w drogę podrzędną, która po dwóch kilometrach przeszła w szutrową, a potem ni stąd ni zowąd skończyła się w polu. Stanęli.

- Ja mu teraz dam w mordę - syknęła Górecka. I już miała wysiąść z wozu, gdy zza brezentu bagażowego wyłonili się dwaj Chińczycy z karabinami szybkostrzelnymi w rękach. Przeładowali broń i wymierzili.

- Wiejmy! - krzyknął O'Brien.

Czerwone serie omiotły samochód, dziurawiąc maskę, opony, tłukąc szyby, świszcząc w powietrzu, wznosząc tumany kurzu, odłamki szkła i metalu. Górecka z O'Brienem wygramolili się na drogę i sturlali do rowu. Ich wóz eksplodował.

- Między drzewa! - wrzasnęła Górecka, lecz ogień z broni maszynowej nie pozwalał ruszyć się z miejsca. Chińczycy zaczęli iść w ich kierunku, ostrzeliwując dokładnie rów. Górecka pobladła. Tymczasem O'Brien wyciągnął spod pachy niepozorny, dwunastonabojowy browning 5.2 milimetra, przewrócił się na plecy, uniósł się lekko ponad trawę i wystrzelił bez przymierzania. Trafiony Chińczyk zawył, po czym padł na ziemię z przestreloną nogą. Jego kompan położył się obok niego, zaskoczony. Pokrzykiwał coś niezrozumiałego i nie ustępował. Dalej ostrzeliwał ziemię wokół rowu. O'Brien odpowiadał pojedynczymi, precyzyjnymi strzałami.

Cieżarówka zatrąbiła raz, potem drugi. Napastnicy usłyszeli klakson i podtrzymując się wzajemnie, pokuśtykali w jej kierunku. O'Brien nie strzelał. Przyglądał się, jak Chińczycy wdrapywali się na platformę i po chwili odjeżdżali. W dali wyły syreny policyjnych radiowozów z pulsującymi kogutami na dachach.

- I co, co potem? - nie mogła opanować ciekawości Dai. Górecka relacjonowała wydarzenia, leżąc z Dai na szerokim zydłu, wyścielonym seledynowym jedwabiem. - Mów szybko - Dai nie dawała spokoju. - Rozmawiały jak dwie kumpelki ze szkoły, patrząc w sufit i w noc za oknami.

- Z Johnem złożyliśmy zeznania, jak było. Wiesz, powiedzieli nam prawdę, że byliśmy lekko walnięci, goniąc tę ciężarówkę. Chińscy piraci drogowi to lud zbrojny i mogliśmy zginąć.

- Gdyby nie John, prawda? Był super. Co za facet. Uzbrojony. Skąd on miał pistolet?

- Ponoć biznesmeni śpią z bronią przy boku, żeby ich nie okradli.

- A ja myślałam...

Roześmiały się głośno. - A tak poważnie to John robi interesy z różnymi ludźmi, w różnych miejscach i z gnatem czuje się bezpieczniej.

- Dana, tak naprawdę, ta ciężarówka to wjechała na nas przypadkiem? Zaczynam się bać.

- Nie wiem.

- Nie za dużo tu przypadków? Stephen przybiegł spóźniony i wiesz, co powiedział? Że zaczepili go chuligani. Przypadek? Żądali pieniędzy, ale nie miał centa przy sobie, więc zabrali mu rakiety. Rozumiesz? Te ukochane rakiety. Firma "Yonex", z którą się tak obnosi, powinna wypłacić mu honorarium za przeżycia.

- Miał szczęście, że go nie pobili.

- Jak się przeraził, gdy zobaczył "u Anglika" rumowisko po wypadku. Mało się nie popłakał. Z troski. On chyba, wiesz, kocha...

Pisnęły ze śmiechu. Wypiły po kieliszku wina i pożegnały się. Dai wybierała się jeszcze do matki.

Wyprostowała ramiona, kręcąc palcami wyimaginowane okręgi. Z uniesionymi rękami podskoczyła kilkakrotnie. Opadła do przysiadu i wyskoczyła w górę półsaltem. Lekko zgrzana, przeżyła mięśnie, imitowała uskoki, zasłony i uderzenia, cięła powietrze nogami jak nożycami, tańcząc wokół magicznego koła, które osłaniała przed niewidzialnym przeciwnikiem. Po każdej figurze Kung Fu pytała siebie zgryźliwie, po co to wszystko? Jedna kulka i nirwana w zaświatach. Czy nie lepiej jak O'Brien wyjąć lufę i trach? Niech wybaczy jej mistrz Chan z Tybetu, czczący oręż dynastii Sung i Jüan. Kiedy chamy strzelają! Postanowiła, że sztuka walki sztuką walki, lecz ona postara się jednak o spluwę.

Na barku stało zdjęcie Mareczka. Przyglądała się mu z czułością. Mareczek przysłał list, pokolorowany szlaczkami, że czuje się dobrze, jest zdrowy, odrabia lekcje, dostał szóstkę z historii za boginię Atenę. I że kocha, tęskni i pyta, kiedy zobaczy mamę. Odpisała, że niebawem, bo lada moment wraca, przygotowuje jeden pożegnalny artykuł, wsiądzie do samolotu i przyleci.

Nie mówiła o tym Dai. Nie powiedziała Langtonowi. Otrzymała polecenie, żeby wracać. Potrzebowali jej na miejscu, w Polsce. W Chinach zrobiła swoje. Zarezerwowała

bilety powrotne. A Langton, jeśli będzie chciał, może poszukać jej w Warszawie.

Notatki do artykułu fruwały po wszystkich zakątkach pokoju. Zatem co tam, pani, w polityce? Wypisz wymaluj Polska za komuny. Ludzie cisi i zapracowani, zgięci w karku i osowiali. Jedynie młodzi pełni nadziei, śledzący zmiany w ich partii. Rozmawiała z Bao Tongiem, więc wiedziała, że lawina ruszyła. Taka Dai: gwiazdka, nadzieja, zarażona ideą przemian. Ona i podobni jej dyskutowali o przyszłości, wypatrywali sojuszników też wśród partyjnych hierarchów. To ważne. Niektórzy funkcjonariusze władzy zaczęli grać na reformę, by znaleźć się w jej szpicy.

Bruździło bezpieczeństwo, wychowane przez Kang Shenga, chińskiego Dzierżyńskiego. Po uczniach Kang Shenga: Ling Yunie, Liao Chengzhim, Wang Dongxingu i Chen Yunie spodziewała się wszystkiego. Czy mogła tak napisać? Od Ah Longa, młodzieńca w drucianych okularach, dostała życiorys Chen Yuna. - Gdzie ta kartka? - burknęła do siebie.

Dostrzegła pilota od telewizora. Wzięła go do ręki, by zobaczyć wiadomości. Po minach komentatorów rozszyfrowywała atmosferę dnia. Znalazła jednak zapiski Ah Longa: Chen Yun, robotnik o kwadratowej twarzy i silnym podbródku, nazywał się w rzeczywistości Liao Chengyun i urodził w slumsach Shanghaju. Wsławił się jako twórca ruchu związkowego. Zaczytywał się książkami kominternowskiego ekonomisty Vargi, współpracował z Zhou Enlajem i Mao Zedongiem, był agentem NKWD w Xinjiangu...

Dość. Doszła do wniosku, że wystarczy. Wklepała tekst w komputer i przesłała do redakcji w Warszawie. Zadowolona z siebie, przeciągnęła się leniwie, podniosła pilota i włączyła telewizor. Jej przerażone zmysły zarejestrowały słup ognia, pochłaniający pomieszczenie, sufit, opadający na głowę, piekielny ból i ciszę.

Służby ratownicze znalazły ją po kilkunastu minutach: przygniecioną odłamkami betonu, nieprzytomną, w kałuży krwi.

Te same służby tego samego dnia wzięły udział w jeszcze jednej akcji. Spod gruzów kamienicy przy ulicy Wangfujing wydobyły zwłoki katolickiego kardynała Chen Li. Nie zatajono informacji, że kamienicę zburzyła rakietą "Striela", wystrzelona przez znanego terrorystę Reinerta.

Rozdział IV

Tekst Góreckiej "Tajemniczy życiorys towarzysza Chen Yuna" przeszedł w redakcji bez echa. Nie wydawały się interesujące zakamarki biografii notabla z odległych Chin, szczególnie że wszystkie agencje wybijały na czołówki śmierć kardynała Chen Li. Sekretarz redakcji Pudysz zaparł się jednak i wycenił tekst maksymalnie wysoko. - W Pekinie ludziom się nie przelewa - rzekł. - Zgodzono się więc z tezą, że tekst dobry, bo Chińczykom się nie przelewa, a Górecka pourywałaby wszystkim głowy, gdyby spróbowano ocenić jej pracę inaczej.

W otwartych na oścież drzwiach stanął dyżurny depešowiec z kawałkiem papieru w rękach. - Słuchajcie - zawołał - to przyszło przed chwilą, nadane przez agencję Xinhua. Czytam. Uwaga: "W Pekinie nastąpiła druga eksplozja. W hotelu "Xi Juan" wybuchł telewizor w jednym z pokoi. Poważnie ranna została kobieta - dziennikarka z Polski. Zniszczeniu uległa część piętra, wypadły szyby z okien na pięciu piętrach. Wypadek bada specjalna komisja. Dyrekcja hotelu zapewnia, że wszystkie telewizory w hotelu są najwyższej jakości, mimo to zostaną one sprawdzone dodatkowo przez służby techniczne".

- Łącz Pekin! - polecił redaktor naczelny. - Może lepiej przez międzymiastową. Albo, czekaj, może przez ministerstwo, ich linią rządową... Dobra, kręcę sam. Chwilę, o, jest sygnał. Rafał, mów ty, lepiej ich zrozumiesz.

- Hotel?... Dzwonię z Polski. Otrzymaliśmy wiadomość o wybuchu... Tak? Czyli to prawda?... Jak się nazywa ranna dziennikarka?... Tak. A więc to prawda... I jest pod opieką?... Czy coś wiadomo bliżej o stanie zdrowia? Co powiedzieć rodzinie... Aha... O.K. Dziękuję, będziemy w kontakcie. Czy jest numer alarmowy?... Hallo? - Pudysz odłożył słuchawkę. Przysiadł na krześle i milczał.

- No i co, mów!

- Nic nie wiedzą. Nawet gadać nie chcą.

- Jak to nic nie wiedzą? Czy to Górecka?

- Tak, to Dana.

Przy Fałata na Mokotowie starsza kobieta tuliła w ramionach jedenastoletniego chłopca. Przed paroma minutami zamknęły się drzwi za redaktorem Pudyszem, a chłopak drżał ciągle. - Marek, uspokój się. Mama żyje, to najważniejsze. Jest pod dobrą opieką i na pewno wkrótce będzie w Polsce.

- To czemu babci leczą łezki?

- To nie wiesz, że starszym ludziom pocią się czasem oczy?

- A może ten redaktor mylił się i nie wiedział wszystkiego?

- Przecież twój tata dzwonił pierwszy i co mówił? Że mama żyje, tak? A przecież wiesz, że tata pracuje w policji, jakiejś tajnej, a oni tam wiedzą najlepiej.

Przytuleni, doczekali do wiadomości wieczornych. Spiker przez kilkanaście minut informował o zagrożeniu pożarowym w lasach, wyborach w Petersburgu i strajkach górników. Dopiero przed pogodą, a po relacji z wysypiska śmieci, gdzie znaleziono kolejnego noworodka, przeczytał komunikat o wypadku polskiej dziennikarki w Pekinie Danuty Góreckiej. Powiedział, że o jej życie walczą lekarze, określając stan zdrowia pacjentki jako stabilny, i że dyrekcja hotelu utajniła markę telewizora, który wybuchł.

Kapitan Rzymek, przebywający od paru dni w Mysłowicach, ze zdenerwowania wyłączył telewizor. - Kurwa, dziennikarze - warknął do pustych ścian służbowego

mieszkania. - Dla gnoi najważniejsza marka telewizora.

Szczegóły wypadku znał od rana, ale nie znalazł powodu, żeby wracać do Warszawy. Na południe zaplanowano uroczyste pożegnanie miejscowego komendanta policji Białki. Chciał uczestniczyć w tej ceremonii i podać Białce rękę na pożegnanie. Był to winien Wilhelmowi, bo przecież u niego zaczynał służbę po studiach.

Pracownicy komisariatu stawili się karnie, a kiedy wszedł na korytarz Białko, wyprężyli jak struny. - Baczość! - wydał komendę komisarz Kotecki.

Białko przywitał się ze wszystkimi. Uściskał funkcjonariuszki z sekretariatu, przytulił ciężarną Anię, poklepał po plecach Rzymka, po czym podszedł do wojewódzkiego szefa z Katowic, podinspektora Rybarczyka.

- Po wielu latach wzorowej służby odchodzi dziś od nas komendant Białko - przemówił Rybarczyk. - Nikt, tak jak on, nie przysłużył się na waszym terenie sprawie zachowania porządku publicznego, ograniczenia liczby przestępstw, wzrastającego zaufania naszego społeczeństwa do policji. A przecież, że przypomnę, przyszło mu działać w okresie szczególnie trudnym, w latach rozrachunków powojennych, a potem w PRL i później, w okresie wielkich przeobrażeń demokratycznych, i...

- To co, teraz pan? - Rzymek szturchnął w łokieć Koteckiego.

- Tak.

- Gratuluję.

- Nie ma czego.

- Może nie ma. Nie mogę słuchać pieprzenia...

Rybarczyk kończył przemawiać: - Komendant Białko pozostanie dla nas wszystkich wzorem policjanta. Dlatego niech będzie mi wolno wręczyć mu specjalny list pochwalny komendanta głównego wraz z jubileuszową nagrodą.

Białko odebrał dyplom i kopertę. - Tylko niech pan pokwituje odbiór pieniędzy w sekretariacie - usłyszał żart podinspektora.

- Dziękuję wam wszystkim, mniejsza nasza. Pracowałem z Bożą pomocą, a teraz czas na mnie - powiedział cicho. Wzruszony, uniósł rękę na znak, że rzeczywiście chciał powiedzieć tylko tyle, i usunął się na bok.

- Baczość! - zakomenderował Rybarczyk. - Mianuję nowego komendanta Bronisława Koteckiego na stopień nadkomisarza. Gratuluję, owocnej pracy dla dobra społecznego!

Na stole stała wyborowa. Nalewał Domański. Malak siedział z tyłu i gderał: - Lejże, chopie, co ci się tak ręka chyboce. Kapitan Rzymek pomyśli, żeś chory.

- Co pomyśli. Oni w tym Urzędzie to insi?

- Mądrzejsi niż ty, to pewne.

- Od ciebie krowa mądrzejsza.

Malak szturchnął Domańskiego. - Uspokójcie się. I cichutko - odezwał się Białko.

- No to jeszcze jednego, tylko ostatniego, za zdrowie komendanta - powiedział Rzymek.

- Ostatniego - odpowiedzieli zgodnie.

- Pan, panie komendancie, to nie wie, co mnie gryzie. A my tak tego strzemiennego, a pan nie wie. Mam rację? Ale teraz pan się dowie. Teraz tak, bo teraz mam trochę odwagi - Malak położył rękę na sercu. - Prawdę mówię. Wcześniej nie miałem, a teraz mam i powiem. Bo ja już spać nie mogę z tą myślą, że nie powiedziałem tego nikomu. W śledztwie milczałem, tak. Nie jestem taki głupi. Pan wie, o czym mówię? O tym konwoju, o tej ucieczce, o Andrzeju mówię. Pan go traktował inaczej niż nas. Na wiele mu pan pozwalał. Ale bez żalu. Ja nie o tym. To co, wypijemy po jednym jeszcze?

Wypili w milczeniu.

- Ja Andrzeja znałem. Byliśmy razem w różnych opalach. A wtedy, w konwoju, to nie był on. Wie pan, komendancie, co mi się śni po nocach? Śnią mi się oczy Andrzeja. Bo on wtedy patrzył na mnie. I w jego oczach widziałem, że się nie boi. To nie wszystko. Patrzył na mnie tak, jakby chciał powiedzieć, bym i ja się nie bał, bym siedział spokojnie, bo wtedy nic mi nie będzie. I ja siedziałem spokojnie, bo wiedziałem, że nic mi nie będzie. Rozumiesz, komendancie? To nie był Andrzej, ten Andrzej, którego znałem. Ten Andrzej nie dałby się tak głupio podejść, rozbroić, zaskoczyć. Bo przecież zawsze coś można było zrobić. Podskoczyć, walnąć, zaryzykować. Nas było dwóch. I ten jeden jedyny raz Andrzej nie był sobą. A potem zaraz nie było Andrzeja już... Rozumiesz, komendancie? Bo ja nie. Ja tylko o tym musiałem panu powiedzieć. Możemy się napić?

Białko zwiesił głowę nad stołem i nie powiedział nic. Domański nakroił kielbasy. Rzymek próbował parę razy zmienić temat rozmowy, by wspomnienie o Andrzeju nie zaciążyło na spotkaniu, ale nie kleiło się. Siedzieli ponurzy.

Po godzinie wpadł po służbie aspirant Vertke z posterunkowym Furtokiem. - Malak - krzyknęli od progu - mamy coś dla ciebie. O, przepraszamy, nie wiedzieliśmy, że pan kapitan tutaj - speszzyli się na widok Rzymka.

- Nie wygłupiajcie się. Co nowego?

- Mamy broń Malaka, tę z konwoju. Śmieciarz ją znalazł i przyniósł do komendy. Poznaliśmy ją od razu, bo Malak tłukł nią orzechy. Widzisz? - podali pistolet Malakowi, który w mig otrzeźwiał.

- To nie moja broń - zaprzeczył.

- Nie dałeś się nabrać, wiedziałem - zaśmiał się Furtok. Ale twoją broń mamy faktycznie. Pojechała do analizy.

- Śledztwo w sprawie zamordowania Andrzeja można teraz spokojnie wyciszyć - westchnął smutno Białko. - Broń jest, Bóg jest, mordercy nie ma. To ponad moje siły.

- Przyjdzie kryśka na Matyska - pocieszył go Domański.

- Mniejsza nasza, nie daruję!

- Zaraz, po kolei. Jak to śmieciarz znalazł broń? - nie mógł zrozumieć Rzymek.

- Po prostu. My go znamy, nazywa się Budka. Chodzi po śmietnikach i grzebie. Taki pocerowany, nie ogolony. Chwali się przed nami, że do pierwszego mu wystarcza. Więc spisaliśmy protokół i tyle.

- I tyle? - Rzymek nie ukrywał poirytowania. - Za pół godziny, kurwa, na komendzie z nim!

Poderwali się jak oparzeni.

Budka rzeczywiście trzymał się nieźle, ale herbatę z cytryną, którą mu podano, siorbał chciwie. Narzekał przy tym niemilosiernie, że wieczór chłodny, a on pracuje, ludzie wyrzucają śmieci wieczorem, więc to jego pora, poza tym w dzień nie lubi drażnić kotów. - Wiedziałem, że tu jeszcze siądę w tamtej sprawie - powiedział.

- Tak, a to czemu?

- Macie dla mnie nagrodę jakąś, hm?

- Nagrodę? Za co?

- Wy wiecie, za co.

- Na razie niech pan odpowiada na pytania. Godzinę temu znalazł pan broń i od razu przyniósł. Czemu nie rano?

- Będzie godzina. Panie władzo, ja nikomu w paradę nie wleżę. Spluwa, wiadomo, parzyła mnie w rączki.

- I ten pistolet leżał na wierzchu kubła, że każdy mógł go znaleźć, ale nikt go nie znalazł, tylko pan?

- Ja. Dar niebios, że byłem tylko ja.

- A jak długo ten pistolet leżał w kubku?

- Nie, niedługo, panie komendancie.

- To znaczy, ile? Godzinę, trzy godziny, pół dnia? I nie jestem komendantem, przecież wiecie - Rzymek potrząsnął głową.

- No, chwilę. Com się zaciekawił, podszedł i wziął.

- Jak to? Widział pan coś, kogoś, kto się kręcił przy kubie? Mówił pan, że był pan sam.

- Kiedy brałem, to sam.

- To widział pan, jak ktoś wkładał pistolet do kubła?

- Widziałem. W sprawie tej nagrody...

- Gadaj człowieku, jak wyglądał?

- Wysoki młodzieniec, w granatowej kurtce. Przy latarni to włosy miał rude. I podobny taki do tego, co tu jego zdjęcie wisi na ścianie. Będzie nagroda?

- Ty martw się, by cię głowa nie zabolą od tej nagrody. Posiedzisz w celi to skruszejesz i powiesz, jak było naprawdę.

W ciągu pół godziny wszystkie drogi wyjazdowe na Katowice, Trzebinę i Oświęcim kontrolowały po dwa radiowozy, drogę na Klimontów, obstawił osobiście komendant Kotecki. Dla wszystkich było jasne, że "Ryży" pojawił się w mieście.

Rzymek zajął się czyszczeniem melin. W pierwszym lokalu, przy Leśnej, znalazł dwóch pijacków i paru nieletnich na haju, mieszających kompot makowy. W drugiej melinie, przy Piłsudskiego, ukraińskie prostytutki z przeterminowanymi wizami oglądały telewizję. Znana i namierzona willa mecenasa Woylera stała pusta. W garażach na osiedlu Przydomie, wynajmowanych przez "Ruskich", leżał w skrzyni jeden granat i trzy sztuki broni krótkiej, do której nikt nie chciał się przyznać.

Rzymek zadawał tylko jedno pytanie: "Gdzie "Ryży", kurwa?", a aspirant Vertke protokółował jak leci. Nikt nic nie powiedział. Nikt nic nie wiedział. Nikt nie miał nic wspólnego z "Ryżym". - Gość spalony, nikt mądry nie będzie gadać z zabójcą policjanta. - To swołocz. U nas niet. Ale spraszi żółtków. My uwidzieli jowo z kitajcami.

Dwaj wystraszeni Chińczycy za ladą baru z chińskim menu wyrecytowali zgrabnie, że właściciela, pana Yanga, nie ma w Polsce i oni nie wiedzą, kiedy będzie. Vertke wyjął zdjęcie. - A człowieka tego znacie? - spytał.

- Tak, tego pana widzieliśmy ze dwie godziny temu. Kawę pił, ale śpieszył się, nie dopił. Był do niego telefon, a potem ten pan odjechał samochodem, taką starą, srebrną corollą.

Patrole drogowe, sprawdzające szczegółowo każdy samochód, wyjeżdżający z miasta, nie natknęły się na srebrną corollę oraz na nikogo, kto przypominałby choćby z grubsza "Ryżego". Rzymek porozumiał się z Koteckim: - Czas kończyć? - Po czym odwołał akcję.

W komendzie czekał na nich posterunkowy Domański. - Miał pan rację - zwrócił się do Rzymka - ten śmieciarz Budka skruszał, kiedy dowiedział się, że może posiedzieć sobie u nas dłużej. Przyznał się, że "Ryży" dał mu na dwie flaszki za odniesienie broni na policję. I to "Ryży" kazał mu zeznać, że broń leżała na śmietniku i że nikogo nie było w pobliżu. Bo inaczej ciach, po gardle - Domański przejechał dłonią po szyi. - Ale Budka powiedział, bo liczy na nagrodę. I co z nim teraz zrobić? Odciski wziąłem, więc co? - dopytywał się Domański.

- Wypuść go.

Późną nocą kapitan Rzymek i nadkomisarz Kotecki usiedli w celi po śmieciarzu Budce z puszkami z piwem. - Rozumie pan coś z tego?

- "Ryży" zwrócił broń.

- Chciał, by było wiadomo, że to on.

- Może jednak sądził, że Budka go posłucha, a chciał mieć tylko pewność, że broń dotrze do nas.

- Może.

- Przecież znaleźliśmy broń i koniec. Mógł pan nie przesłuchiwać Budki.

- Tak.

- A teraz wie, że Budka go wydał. Może przymknąć Budkę dla bezpieczeństwa?

- Nie.

- To pan prowadzi śledztwo. Moi ludzie dziwią się trochę, że Urząd Ochrony Państwa zajął się sprawą kryminalną. Śmierdzi tu coś większego, prawda?

- Zagrożenie interesów państwa. Siatki Stasi i chińskiego Gonganbu - Rzymek puścił oko do Koteckiego. - Liczę, że sprawa ta zaprowadzi mnie dalej niż do "Ryżego".

- Aż tak.

- Myślę, że gość wszystko, kurwa, przemyślał. Po pierwsze wiedział, za co go szukamy, bo prasa trąbiła o tym, po drugie chciał, żeby Budka go widział. Śmieciarz kłamał do końca, bo liczył na nagrodę za pomoc w ujęciu przestępcy. "Ryży" nic mu nie kazał, raczej chciał nam pokazać, że dobrowolnie oddał broń.

- No, ale po co? Nie przestaniemy go ścigać.

- Dał sygnał, że nie jest uzbrojony.

- Dla nas to wciąż najgroźniejszy przestępca.

- Najwyraźniej chce nam coś powiedzieć. Tylko co? To jakby zaproszenie do rozmowy, sugestia, czego, współpracy? - rozważał Rzymek. Kotecki wzruszył ramionami.

Tej nocy trzech mężczyźni: "Ryży", Rzymek i Kotecki zasypiali pełni wątpliwości. "Ryży" zastanawiał się w łóżku swej przyjaciółki, czy zrobił dobrze, oddając broń, czy jego czyn zrozumie ten gość z Warszawy, Rzymek, który przyjechał upolować go jak jelenia. Koteckiemu nie ufał, ale jak facetowi dopierdolić? Starzy kumple wymigiwali się, kiedy dzwonił, zasłaniaли policyjnym ściskiem i duchotą. Spisali go na straty. Kotecki zapewniał powietrze.

Rzymek wziął prysznic i dwie aspiryny profilaktycznie. Coś go łupało od karku, irytacja? Zwyrondnialcy miesają świat głęboko w dupie. Rozumują od ściany do ściany: albo ja jego, albo on mnie, bez kompromisu. A "Ryży" chce rozmowy?

Kotecki umył twarz i przyjrzał się w lustrze swemu zmęczeniu. Od kiedy przejął odpowiedzialność za komendę, coraz częściej przychodziła mu ochota na pogawędkę z samym sobą. "Ryży" go posłuchał i oddał broń. Jako nowy komendant zamelduje więc w centrali, że to dzięki policji śledztwo posunęło się do przodu. Czy "Ryży" coś kombinuje? "Ryży" będzie dobrą wtyką w półświatku, pozwoli mu kontrolować gangi, ale trzeba go chwycić krótko.

- Aniu, podaj kawę, bo nie mogę się obudzić - powiedział od progu Kotecki. - Ranek taki pochmurny. Dzwonił ktoś?

- Nie. A spodziewa się pan komendant telefonu?

- Z Ratusza. Ma być dziś w mieście delegacja zagraniczna z dużym szmalcem. Mam ich zapewnić, że u nas biznesmeni mogą się czuć bezpieczni jak u mamy pod spódnicą.

Monachijską firmę chemiczną "Vormund Ltd" reprezentowało pięć osób, w tym tłumaczka. Przewodniczył dystyngowany przemysłowiec o nazwisku Tannenbaum, który poinformował zebranych, że jego firma pragnie wybudować swą filię na obrzeżach miasta, kosztem dziesięciu milionów marek. Od władz administracyjnych oczekiwał propozycji lokalizacji i szerokiej współpracy. Zapewnił też, że polskie Ministerstwo Przemysłu odniosło się do tej inwestycji przychylnie jako likwidującej w bezpiecznej technologii sporą część odpadków chemicznych Śląska i zmniejszającej radykalnie bezrobocie w mieście.

Nie wszystkich jednak to przekonało. Jeden z radnych dopytywał się szczegółowo o wpływ inwestycji na środowisko naturalne i mimo zapewnień członka delegacji Zoecke, że nowy zakład nie pogorszy warunków środowiskowych, lecz je wyraźnie poprawi, niepewności pozostały. - Wybudujemy własne, skomputeryzowane oczyszczalnie ścieków, zregenerujemy stare ujęcia wody, zalesimy hektary ziemi, wypalone hałdami.

- U siebie niczego takiego nie zrobiliście.

Przy stole Zoecke usiadł przy Koteckim. - Witam komendanta. I jak leci? - zagadnął ściszym głosem.

- Zapewniam pana, że nasz teren może pochwalić się niskimi wskaźnikami przestępczości i wysokim poczuciem bezpieczeństwa wśród mieszkańców. Odnotowaliśmy spore sukcesy - Kotecki mówił głośno.

- Ach tak, w przestępczości? Dobrze, dobrze. To wspólny interes - Zoecke wskazał wymownie palcem na materiały promocyjne swojej firmy. - Ufamy; bo jeśli chodzi o przestępczość, to jej wskaźniki rosną na świecie, w Polsce chyba też, nieprawdaż?

- Dajemy sobie radę. Inwestorzy powinni czuć się bezpieczni u nas.

Rzymek po raz trzeci odsłuchiwał taśmę, nagraną przez superczuły laserowy mikrofon z mikroczujnikiem delta wielkości i wyglądu rybiej łuski, który znalazł się w kieszeni marynarki Zoecke, kiedy ten witał się z gospodarzami Ratusza. Nie chciało się wierzyć: - Czyżby Zoecke z Koteckim się znali? To niemożliwe. - O tym, że niejaki Zoecke, o oczywistych koneksjach ze Stasi, wchodzi w skład delegacji firmy "Vormund Ltd", Warszawa poinformowała dzień wcześniej.

Przed Koteckim leżały dwie koperty, wyjęte z prospektów Zoecke. Jedna koperta była zaadresowana do niego, druga do terrorysty Jakuba Reinerta. Ze swojej wyjął pieniądze i przeliczył. Ponad wszystko zależało mu na szmalcu. Biznesmeni powinni wiedzieć, że gliny muszą z czegoś żyć.

List do Reinerta, który otworzył także, zawierał siedem zdań: "Pozdrawiamy, Reinert. Dobrze spisałeś się z kardynałem Chen Li. Po dwieście tysięcy przelaliśmy na Twoje konta w Zurichu i Monachium, sto na China Bank w Pekinie. Hasło: "W imię drogiego i wiecznego Konfucjusza". Zadanie: zlikwidować szefa Fuk Ching, Ma Mina. Miejsce ostatniego pobytu: ulica Nanjingu 5 w Pekinie. Termin: możliwie najszybszy".

Kotecki wystukał na komputerze e-mail: reinert@kuba... i napisał: "Cześć Kuba. Może znów miałbyś ochotę na daleką podróż do Chin? Piękna kraina".

Po chwili otrzymał wiadomość: "Cześć. Podróże kształcą".

"Wybierasz się w imię Konfucjusza".

"Trochę poczytałem o Konfucjuszu. Warto było".

"Warto, warto. Cześć, śpieszę się".

Kotecki, zadowolony, pierwszy wyłączył komputer. Roześmiał się. Dostawał pieniądze za to, że znał Reinerta!

Do domu Pałki przyszedł wcześniej. Światło lampki zasłonił gazetą, odbezpieczył nie zarejestrowaną cezetkę, bo po "Ryżym" mógł spodziewać się wszystkiego. Nie czekał długo. Usłyszał kroki i skrzypnięcie drzwi. "Ryży" schował głowę w obszernym kapturze i wyglądał na zmarzniętego. - Brr, mróz trzyma jak chuj - powiedział na przywitanie.

- Dalej, bracie, siadaj i melduj.

- Broń oddałem, z chłopakami porozmawiałem i uzgodniliśmy, że możemy w to, kurwa, wejść.

- A czemu zwróciłeś spluwę przez śmieciarza?

- Żebyście wiedzieli, że to ja.

- Czyli wchodzicie w interes?

- Wchodzić wchodzimy, tylko nie wiemy, z kim.

- Ze mną. To musi wam wystarczyć. Przejmujemy cały interes Iwanów. Wy zgarniecie towar i zabezpieczycie, ja go spylam. Jasne chyba. Masz zamiary na łącznika Iwanów?

- Żeby pan wiedział, kurwa. Ma na imię Borys.

Żółty kuter rybacki sunął cicho po Zalewie Wiślanym. Z zamglonego brzegu wyglądał jak łupinka przed zatopieniem. Na wysokości przystani we Fromborku ustawił się

dziobem ku brzegowi, po czym przy ciężkiej harówce motorów, zaczął cumować przy nabrzeżu.

Kierowca TIR-a zapuścił silnik i wolno wykręcił na betonowym podejździe. Z kabiny pojazdu wyskoczyło kilku ludzi w dresach, by po pomoście wbiec na pokład kutra. - Wsio w pariadku? Da? Rabotajem.

Skrzynie wynosili na brzeg we czterech po chwiejącym się pomoście. Przejmowali je następni i ładowali do TIR-a.

- Nikt ciebie, Borys, nie uwidział?

- Spoko. Leitnant Danczenko w pariadku. Druh. Pakupili jemu kwartiru w Kaliningradu i radujetsia.

Skrzynie, które znikły pod plandeką, znaczyła olejna litera "S", po której następowały liczby: "26", "35", "77"... Kiedy ostatnia skrzynia "S-77" zniknęła z nabrzeża, mężczyzna o imieniu Borys wskoczył na pokład kutra i uściskał szypra "na niedźwiedzia". Zeskoczył na podjazd i zajął miejsce obok kierowcy. - Ujeżdżajem! - nakazał. W kurzu za samochodem pozostał zardzewiały kuter z porozgniatanymi śledziami na pokładzie.

Na ósmym kilometrze za Fromborkiem, przy szlabanie, zagradzającym wjazd do lasu, Borysowi zachciało się wyskoczyć za potrzebą. - Stań tam... - Kierowca zahamował. Z lasu wyskoczyli uzbrojeni ludzie w kominiarkach. Jednym skokiem znaleźli się przy szoferce. - Ani mru-mru... - Zaskoczony kierowca nie zdążył krzyknąć przed zakneblowaniem i związaniem.

Ładownię otworzono serią z automatu. - Ruki, ruki! Bez wygłupów, wysiadać grzecznie.

Rosjanie nie bronili się. Z podniesionymi rękami zeskoczyli na ziemię, dali się ustawić jeden za drugim i poprowadzić gęsiego w głąb lasu. Napastnicy przykuli ich kajdankami do drzew. - I krzyceć po godzinie. Godzinę modlić się, paniali?

- Paniali.

Przywódca napastników odkrył twarz i płową czuprynę. - Osłońcie ich od drogi gałęziami - zakomenderował. - Miedziak, zajmij się tym z chłopakami.

TIR ruszył dalej, eskortowany przez dwa osobowe fordy.

- U ciebie, "Ryży", nie było na to pomysłu? - odezwał się zgryźliwie Borys. - Jestem u nich spalony.

- Po kurwę męczyć się ze strzelaniem. Byłoby słyszać. A tak, nim ich znajdą, będziemy daleko.

- Nie mieliście tłumików?

- Nie. A te "Striely", po naszymu "Strzały", nie porozbijaliście? Ponoć to kurestwo delikatne jak komputery.

- My nie. Szyper zapewniał, że w bazie "Kołokoł" ładowali to jak jaja. Czuwał nad tym sam szef interesu Zoecke.

- Nie znam.

- To szef twego szefa Koteckiego. Kawał gościa z tego Zoecke. Nasze sałaty sprzedaliby mu z chęcią połowę magazynów.

- To jak to? Facet zapierdolił rakiety szefa?

- Oni to wszystko przekalkulowali. Wchodzisz w biznes pierwszy raz, więc nie wiesz, że oni grają razem, ale osobno, przeciwko, ale wspólnie. W razie czego nikt nie dojdzie, jak było naprawdę.

- A ty znasz Koteckiego?

- Słyszałem, że to taka sabaka zajbista, przegania naszych z interesu - Borys roześmiał się. - Ale Zoecke ufa mnie, bo ja wiem, że w tej służbie się nie skrewia. Ty zostawiłeś świadków żywych. Nie wiem, czy spodoba się to szefowi.

Droga na południe była pusta z rana, toteż po kilku godzinach dotarli do Jabłonowa. Mieli stąd tylko kilkanaście kilometrów do mety, więc Borys przymknął oczy, by wypocząć.

W wojskowym hangarze przed Brodnicą, wynajętym przez fikcyjną hurtownię farmaceutyczną, umówili się na rozładunek.

Dwa śmigłowce Mi-8 z uzbrojonymi po zęby funkcjonariuszami ochrony państwa zbliżyły się do Brodnicy. W pierwszej maszynie pułkownik Brzeski spoglądał co chwilę w dół i nie udawał bohatera. Szturchnął ramieniem kapitana Rzymka: - Dolatujemy wreszcie? A ty wierzysz temu "Ryżemu"? - przekrzyczał hałas.

- Nieważne. Znajoma Bola, myślę, że jego kochanka, dała mi cynk od niego. Że mam być tutaj i o tej porze. Rozumiesz? - odpowiedział krzykiem Rzymek.

- Ale czego się spodziewasz?

- Nie wiem. "Ryży" nie miał powodu robić ze mnie idioty.

- Ale to ja, panie, będę spowiadać się generałowi... Co to?

W dole TIR i dwa osobowe fordy wjechały na betonowy podwórzec przed hangarem. Z pięćset metrów za nim rozciągała się łąka, zasłonięta pagórkami i drzewami. - Tu! - Rzymek wydał komendę lądowania. - Otoczyć teren wokół hangaru. I żeby mi mysz z kulawą nogą... - rozkazał.

Gdy śmigłowce ucichły, kilkanaście ciemnych postaci z karabinami optycznymi w rękach przywarło do ziemi wokół hangaru. - Zaczynamy? - zapytał przez radio porucznik Rumiński. - Nie zauważyli nas.

- Czekamy. Jeszcze czekamy - odpowiedział Rzymek. - Gdzie pułkownik?

- Powiedział, że będzie pilnować śmigłowców. Ma nadciśnienie i w ogóle.

- Hmm.. Otworzą drzwi, wtedy ruszamy.

"Ryży" i Borys podeszli do żelaznych drzwi i zastukali pięścią wpierw dwa, a po przerwie trzy razy. Zazgrzytały zasuwki i zza drzwi wychynęła głowa w kapeluszu z szerokim rondem. - Co to za hałasy, cała okolica was usłyszała. Jakiś problem z tłumikiem? - usłyszeły na przywitanie.

- Nie wydaje się, prawda, Borys?

- Niczego. Automobil w paradyku, panie kamandir.

Mężczyzna w kapeluszu rozejrzał się czujnie, ale nie zauważył nic podejrzanego. - To co tak wyło?

- Bolo wzruszył ramionami. - Mogę wypuścić kumpli? - zapytał.

- W środku. Jeszcze namierzy nas ruski satelita - zażartował gospodarz, poprawiając kapelusz. Szarpnął zasuwami i szerokie żelazne drzwi rozsunęły się na oścież.

Porucznik Rumiński z przyciśniętą do oka lunetą karabinową zameldował zdziwiony: - Tam nikogo nie ma.

- Zaczynamy - rzekł spokojnie Rzymek.

Czarne sylwetki funkcjonariuszy brygady specjalnej poderwały się z ziemi i podbiegły susami do hangaru. Borys dostrzegł ich kątem oka. - Gliny! - wrzasnął, wyszarpując broń spod marynarki. - Wsie milicja!

Mężczyzna w kapeluszu odbezpieczył krótki karabinek i otworzył ładownię TIR-a. - Gliny! Za broń i walić! - krzyknął wściekle do ludzi "Ryżego". Ci zeskoczyli na ziemię i przykucnęli. Borys i "Ryży" z Miedziakiem wtulili się w ścianę za drzwiami hangaru. Mężczyzna w kapeluszu puścił pierwszą serię: - Walić! - Czarne sylwetki atakujących położyły się w trawie. Ludzie "Ryżego" nie strzelali.

- Jesteśmy brygadą specjalną Urzędu Ochrony Państwa. Poddajcie się - zakomunikował ochryple Rzymek przez głośnik. - Wychodźcie pojedynczo z bronią nad głową. Czekam minutę, potem wystrzelamy was, kurwa, jak kaczkę. Pojedynczo i z bronią nad głową! Bez bohaterstwa. Raz, dwa... Liczę minutę. Czekam...

- Strzelać! - krzyczał mężczyzna w kapeluszu, grzejąc z karabinka na wszystkie strony. Widząc, że ludzie "Ryżego" pochowali się, wskoczył do kabiny ciężarówki, uruchomił silnik i z gazem do dechy ruszył na wstecznym biegu.

- Po kołach! - zakomenderował porucznik Rumiński.

Rozległa się kanonada, po której TIR stanął w piachu jak wryty. Jedna z kul odbiła się od zderzaka i trafiła Borysa w brzuch. Rosjanin ukląkł, by w chwilę później nie żyć.

"Ryży", Miedziak i pozostali członkowie gangu unieśli karabiny w górę. Podchodzili kolejno na środek placu i układali je równo, jeden przy drugim. Mężczyzna w kapeluszu popatrzył na Miedziaka, lecz ten wzruszył bezradnie ramionami. "Ryży" uśmiechał się drwiąco.

- Zdrajca! - wycedził przez zęby mężczyzna i zeskoczył z kabiny. I kiedy "Ryży" odruchowo wsadził rękę do kieszeni kurtki, rozerwał jego pierś serią z automatu. Ścigany za zabójstwo policjanta Bolesław Wende, pseudo "Ryży", osunął się na ziemię.

- Stój! - krzyknęli równocześnie Rzymek i Rumiński. Mężczyzna wolno opuścił broń pod nogi. Zdjął kapelusz i odwrócił się. Oczy Rzymka zrobiły się okrągłe. Stał przed nim komendant myśłowickiej policji, nadkomisarz Bronisław Kotecki, i powiedział: - Wypełniam zadanie.

Dopiero po trzech dniach przeciekła do gazet informacja o zasadzce brygady specjalnej na międzynarodowy gang handlarzy bronią. Tytuły prasowe wieściły o regularnej bitwie, jaka odbyć się miała rzekomo między funkcjonariuszami i bandytami, o zabiciu dwóch bandytów i o podejrzanych związkach gangu z policją: "Serie z ciężkiej broni automatycznej słychać było w okolicznych wsiach, tak że ludzie wybiegali zaniepokojeni z domów, gromadzili się w kupy, obawiając się o swe życie i bezpieczeństwo. W akcji udział wzięły śmigłowce bojowe".

Chcąc nie chcąc, pułkownik Brzeski zaprosił dziennikarzy na konferencję prasową.

- Prawdą jest, że nakryliśmy na gorącym uczynku grupę przestępczą, przemycającą broń. Nie było żadnej walki, żadnych śmigłowców bojowych, jedynie transportowe, żadnego, panie, zagrożenia dla ludności miejscowej - Brzeski wachlował twarz "oświadczeniami dla prasy". - Jeden z przestępców, obywatel Rosji, zginął przypadkowo, gdy strzelaliśmy do opon uciekającej ciężarówki. Drugi: Bolesław Wende, znany jako "Ryży", otrzymał postrzał w niewyjaśnionych okolicznościach. I zmarł. Trwa dochodzenie w tej sprawie. Zarekwirowaliśmy kilkanaście skrzyń z bronią rakietową. Szukamy właścicieli przesyłki. To wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

- Czy "Ryży" współpracował z wami, licząc na abolicję w sprawie zabójstwa policjanta Pałki?

- Bez komentarza.

Śmierć "Ryżego" w akcji przeciwko mafijnej strukturze handlarzy bronią kazała wątpić w wizerunek przestępcy, lansowany wcześniej przez policję. Okazywało się, że "Ryży" nie był zwykłym hersztem ulicznej bandy, lecz członkiem międzynarodowej ośmiornicy. Pamiętano o jego ucieczce z konwoju, skutecznym ukrywaniu się, szerokich kontaktach. Prasa nakreśliła więc wizerunek "Ryżego" nie jako lokalnego rzezimieszka, lecz gangstera, pozostającego na usługach bonzów świata podziemnego. "Bez odpowiednich układów, może nawet w policji, nie udałaby się ucieczka z konwoju. Zatem czy śmierć policjanta Andrzeja Pałki nie stanowiła wewnątrzmafijnej rozgrywki?" - formułowano po raz któryś z rzędu dociekliwe pytanie.

Nie uszło uwadze zawieszenie w obowiązkach służbowych komendanta policji w Myśłowicach Koteckiego. Oficjalny komunikat głosił, że poprosił on o regulaminowy urlop. To, że uczestniczył w akcji pod Brodnicą, zastrzelił "Ryżego" z naruszeniem prawa do obrony koniecznej, było wieścią poliszynela.

Powołano specjalną komisję do zbadania tej sprawy. Komisja musiała przyjąć wyjaśnienia wojewódzkiego szefa policji w Katowicach Rybarczyka, świeżo awansowanego na inspektora, że rozgrywka Koteckiego z przemytnikami broni była zaplanowana i uzgodniona ze sztabem wojewódzkim. Dla inspektora Rybarczyka śmierć "Ryżego" stanowiła jednakże zagadkę. Kotecki wyjaśnił, że nie wiedział o układzie "Ryżego" z Rzymkiem. Zaklinał się, że strzelił w samoobronie, widząc "Czaka" 7,62 mm w dłoni

przestępcy. - Przewidziało się mu, skoro przy zabitym nie znaleziono broni? - zastanawiał się Rybarczyk. Inspektor domniemywał w duchu, że Koteckiego poniosło. Sąd sądem, a sprawiedliwość chadza na manowce: wykonano wyrok w imieniu służby... Bronił więc Koteckiego przed komisją z przekonaniem, że to oficer najwyższego formatu, z dużym dorobkiem w zwalczaniu przestępczości. Powtarzał, że męty wystrzegają się go jak ognia, że komendant z Mysłowic był o krok od rozpracowania szajki handlarzy bronią. Działaniom tym przeszkadzili funkcjonariusze ochrony państwa z Warszawy, którzy zbyt pochopnie, bez współdziałania z policją, wkroczyli do akcji, sprowokowani być może przez przestępców, rozgrywających własne karty. - I co osiągnęliśmy? Kto, dla kogo, którejdy, kiedy, za ile? - pytał członków komisji z niemym gestem bezsilności. - A Kotecki był tak blisko. Zgoda, przesadną wydaje się próba ucieczki ciężarówką w obawie przed dekonspiracją wśród przestępców, ale przesadną tu, lecz nie tam, lecz nie wówczas. Zgoda, niech nadkomisarz wytłumaczy się, niech podda się rutynowej procedurze śledczej, która, ręczę, wszystko wyjaśni. A teraz niech idzie na urlop, odpocznie z dala od atmosfery podejrzliwości z panów strony, która może zniszczyć najlepiej zapowiadającą się karierę.

W przydymionym gabinecie z Białym Orłem na makatce generał Milewski próbował wczytywać się w dokumenty. Przekazał mu je w tajemnicy zaprzyjaźniony agent CIA. - Niesamowite - generał puścił z fajki kółko dymu. - Mam w to uwierzyć? - Z amerykańskiego laboratorium w Los Alamos Chińczycy wykradli kolejne tajemnice nuklearne.

Zapukał dyżurny: - Przyszli panowie oficerowie.

Przybyli mężczyźni usadowili się za długim stołem. - Sprawy wymagają analizy - zaczął major Kępski, sinolog, spec od wywiadu białego, od niedawna w Grupie Dalekiego Wschodu Biura Ochrony Państwa. - Pokusiłem się o przygotowanie prognozy. Otóż Chińczycy nie byli zainteresowani karabinem 5.45 mm. Przynajmniej w takiej mierze, jak sądziliśmy. Ani RPG-7. Trochę może "Strzałą", lecz bardziej radarami. Obietnice handlowe należy przyjmować bez wiary.

- Tak jest, i tu, panie, leży sedno - próbował przyśpieszyć wnioski pułkownik Brzeski. - Bliżej im do Rosji.

- Albo Ameryki - uśmiechnął się Milewski.

- Nie można liczyć na kontakty handlowe z Chinami - powiedział zwięźle major Drobell.

- A na co? Kurwa, uszy puchną od tego kupiectwa - odezwał się kwaśno kapitan Rzymek.

- Nie wiem, o co panu chodzi - zdenerwował się Drobell.

- Handel zostawmy ekonomistom. A ja przypominam o rezultatach misji "D-12" w Pekinie. Związał się spisek w celu uniemożliwienia Papieżowi podróży do Chin. Zginął kardynał Chen Li.

Oficerowie popatrzyli na Rzymka z zainteresowaniem.

- Wmieszany jest w to niejaki Hendrik Zoecke, znany nam z lewych interesów na Śląsku, związany z monachijską firmą chemiczną "Vormund Ltd". Ten Zoecke to handlarz bronią, kiedyś współpracownik Stasi.

- Interesuje się nim CIA - wtrącił generał Milewski.

- Bo dla Zoecke pracuje terrorysta Reinert, którego szukają Amerykanie. Powiem panom - tu Rzymek popatrzył na Kępskiego i Drobella - że Reinert to as. Nigdy nie namierzony, praktycznie bez rysopisu albo z wieloma rysopisami. Ten facet zabija bez skrupułów, z zimną krwią, z reguły tam, gdzie robi interesy Zoecke. Ostatnio w Chinach. I, kurwa, kółko się zamknęło.

- Pan jeszcze nie wie, pana to zainteresuje - major Drobell otworzył aktówkę z notatkami i puścił oko do Rzymka. - Namierzono Reinerta! Niejaki Jakub Reinert wyleciał z

Okęcia do Moskwy. Tam przesiadł się na lot rejsowy do Pekinu. Był w Polsce i opuścił Polskę!

- Co? - Rzymek wstał z krzesła i usiadł z powrotem.

- Według relacji agentów CIA to mężczyzna wysoki, barczysty, o ciemnych włosach, opadających na ramiona, z wąsami, brodą, okularami w grubej oprawie. Podawał się za artystę malarza.

- To dowcip? Pic na wodę, a nie rysopis.

Drobell nabrał powietrza, następnie celując palcem w Rzymka, rzekł: - Prawdopodobnie Reinert ma kolejne zlecenie.

- I co mamy z tym zrobić?

- Jeszcze raz powinniśmy przeanalizować kontakty Zoecke w Polsce. To prośba kolegów z CIA. Kapitan Rzymek weźmie to na siebie, prawda, kapitanie?

- CIA jest pewna?

- Powiedzieli, że namierzyli go w Pekinie, gdzie przyleciał z Warszawy przez Moskwę. Filmowali wszystkich przylatujących, a zdjęcia obrobili komputerowo.

- Ale nie złapali!

- Właśnie. W związku z tym i w związku ze śmiercią kardynała Chen Li odłożono wizytę Papieża w Chinach na czas bliżej nie określony. Rozumiecie panowie. Pełna kłapa!

- Gwidon, a co z tym komendantem Koteckim? - zapytał Rzymka ni stąd, ni zowąd major Kępski. - Co z nim? Zdaje się, że miał on jakiś kontakt z Zoecke, co?

- Zawieszony, a raczej na urlopie. Wyjechał na dwa tygodnie w lasy, na Mazury, by nie przeszkadzać w śledztwie. Chyba nam nie zniknie. Według policji w Katowicach jest czysty, a to my ponosimy winę za trupy pod Brodnicą.

Szeregowy Malak, posterunkowy Domański, aspirant Wertke i posterunkowy Furtok weszli gęsiego na oddział położniczy szpitala w Mysłowicach. Każdy z nich przyniósł pomarańcze i soki, ale Malak dołączył do owoców wiązankę kwiatów. W pokoju na końcu korytarza Ania skończyła właśnie karmić rumianego synka. Ucieszyła się na ich widok. - Był u mnie komendant Białko. Z komendantem wybraliśmy imię dla dziecka. Wiecie, jakie? Jaś. Mój synek będzie nazywać się Jan Pałka - powiedziała z dumą.

Malak poczekał, aż koledzy wyjdą. - Aniu, wiesz, prawda? - wyszeptał stremowany. - Wiesz, co do ciebie czuję. Chcę, żebyś wiedziała. A Jaś jest dla mnie jak własny syn. Tak czuję. Kiedy tylko powiesz słowo, że tak, to rozumiesz.

Ania pogładziła Malaka po dłoni.

Postępowanie wyjaśniające w sprawie wydarzeń pod Brodnicą posuwało się do przodu w tempie żółwia. Nie ulegało wątpliwości, że Kotecki zabił człowieka. Złamał prawo i nadużył uprawnień policjanta. Trzeba było mu to jednak udowodnić. Kumple "Ryżego" milczeli, nie chcąc stawać przed sądem jako świadkowie. Tymczasem prasa, która do tej pory wypisywała o Koteckim same peany, zmieniła front. Co ważniejsze gazety rozpoczęły akcję publicystyczną, piętnującą brutalność policji. Spowodowane to było tym, że w jednym z komisariatów zastrzelono ucznia, podejrzanego o rozprowadzanie narkotyków w szkołach. Oskarżano policję o wszystko: branie łapówek, nieudolność, brak kwalifikacji, prowokowanie utarczek i bójek z chuliganami, które w jednym przypadku notabene spowodowały śmierć młodocianego kibica po meczu piłkarskim. Niespodziewaną ofiarą kampanii antypolicyjnej stał się Kotecki: "Komendant pod sąd. Policja musi działać zgodnie z prawem również wobec przestępców" - obwieszczały gazety, czytane w ministerstwach bardzo uważnie.

Kotecki wrócił do domu po kilkunastu dniach i marzył, by wziąć prysznic, paść na łóżko i spać. Od rana czekały na niego sterty teczek z niekończącymi się sprawami do umorzenia albo i nie, harmonogramy przesłuchań świadków, którzy albo widzieli

uciekającego złodzieja, albo i nie, wizyty działkowców, którym po raz setny z rzędu okradziono altanki albo i nie. Znał to wszystko na pamięć i nie śpieszyło się mu do pracy. Poza tym nie wiedział, co postanowiono podczas jego nieobecności w sprawie o zastrzelenie "Ryżego".

Włączył komputer. Napisał znany e-mail i wystukał: "Przede mną ciężki dzień. W każdym razie jestem, bracie". Ekran zapytał: "Czy udał się wyjazd?". Kliknął: "Tak. A twoje podróże?". Ekran odpowiedział: "Zacząłem podróżować z Konfucjuszem. To wielka przygoda".

Rano, przed domem, czekał na niego Białko. - Odprowadzę pana, jeśli nie pan nic przeciwko.

- Dzień dobry, komendancie, spacerek o tej porze?
- Pomyślałem, że może zechce mi pan coś powiedzieć.
- Rozumiem. Chodzi o "Ryżego"?
- Muszę wiedzieć, czemu pan go zabił.

Kotecki przełknął ślinę. - Czemu?

- Martwy nie powie, dlaczego zamordował Andrzejka. Chyba że Bogu. Różne rzeczy ludzie gadają, że Andrzej kombinował coś z "Ryżym". Tu chodzi o dobre imię, o pamięć po chłopaku. Ania urodziła syna, który będzie pytać o ojca, będzie pytać mniejsza nasza.

- Musiałem - powiedział Kotecki, patrząc Białce prosto w oczy.

Gabinet zastał pusty. Sekretarkę gdzieś wymiotło, więc podniósł słuchawkę, by wezwać dyżurnego. Nie zdążył, gdyż do gabinetu weszło dwóch nie znanych mu policjantów i cywil. Stanęli przed nim w postawie na baczność. Cywil wyjął legitymację, a potem otworzył opieczętowane pismo.

- Nadkomisarz Bronisław Kotecki? - zapytał służbiście.

- Tak.

- Zgodnie z decyzją prokuratury jest pan aresztowany. Proszę oddać broń i udać się z nami.

Rozdział V

- Marek, proszę, nie wracaj zbyt późno - poprosiła Górecka.
 - Mówiłem, mamó, że przed jedenastą będę - zapewnił chłopak, wychodząc.
 - Jak to przed jedenastą, mówiliśmy, że przed dziesiątą - Górecka powiedziała do zamkniętych już drzwi.

Niepokoiliła się o syna. Za często pędził do kina. Ale kiedy poszedł na wagary, przyznał się. Miał randki, w porządku. Przy okazji osiemnastych urodzin Marka poznała jego dziewczynę, Agnieszkę, koleżankę z liceum. Oboje dobrze się uczyli. Ale uwaga, ostrożnie z tymi dziećmi. W tym wieku wpadają do głowy głupie pomysły.

Czy nie była zbyt pobłażliwa? Próbowała wynagrodzić mu to, co przeżył. Przed dwoma laty pochowali babcię, matkę jego ojca. Rak kości, przerzuty. Bardzo ją kochał. Mogłaby być zazdrosna o tę miłość, bo przy babci spędził dzieciństwo. Powiedział pewnego dnia: - Ale ciebie też kocham. - Rozpłakała się do poduszki.

Nie zapamiętała, jak z chłopca stawał się mężczyzną. Rósł i patrzył na jej nieszczęście, na szpitalne łóżko, na którym przez rok leżała jak trup, nieprzytomna, połamana, z pękniętą czaszką, potem przytomna nieobecna, w końcu obecna nieprzytomna. Lekarze żartowali z niej w ten sposób, gdy nabrali pewności, że przeżyje. Szpitale, sanatoria, sanatoria, szpitale. Tak naprawdę to dopiero po trzech latach od wypadku wprowadziła się do domu na dobre.

Najgorsze było to, że niczego nie pamiętała. Czarna plama. Nie wiedziała, co się stało. Gdzie była, co robiła, po co? Nie rozumiała, o czym do niej mówili i czego chcieli jacyś dziwni ludzie. A potem, zgodnie z zaleceniami lekarzy, przyzwyczaiła się, nauczyła się żyć z czarną dziurą w mózgu.

Od lekarza dowiedziała się, że przebywała w Chinach, na delegacji. Sufit spadł jej na głowę. Dosłownie. Ale co robiła tak daleko od domu? Nie pamiętała. Nie pamiętała, żeby gdziekolwiek wyjeżdżała. Specjalista amnezjolog pytał ją na każdym kolejnym spotkaniu, czy przypominała sobie coś z Chin. Wydarzenie, jakiś zapach, jakąś twarz? No, nic. Do szaleństwa nic. Cholera ją brała. Ułożyłaby sobie życie, gdyby nie wmawiano jej czegoś z uporem. Lecz nie, dręczono dopytywaniem. Nie wariowałaby z powodu oczekiwania, że powinna pamiętać więcej.

W redakcji dostała status "wolnego strzelca". Donosiła teksty a to o młodej Afryce, szczenięco przeddemokratycznej, gorącej Indonezji z Timorem Wschodnim, o starej Anglii, a to o zapalnych Bałkanach. Szczytywała depesze agencyjne i archiwa z najwyższą sumiennością, dzięki temu jej artykuły traktowano niezmiennie z szacunkiem. W ciągu roku, dwóch wypracowała na nowo swoje zawodowe status quo z pożytkiem dla siebie i gazety.

- Tylko nie mów, że cię dręcę znowu tymi Chinami - powiedział jej kilka dni temu Jarek, jej wychowanek, który przejął dział stosunków międzynarodowych. - Musisz to dla nas napisać. Taki rok 2000: kolejna rocznica masakry na placu Tienanmen i powstania Chińskiej Republiki Ludowej. Nowe tysiąclecie Chin, rozumiesz. Potrzebuję tekstu przekrojowego.

Wsparła policzek na dłoni: - To już tyle lat? Czas leci - orzekła beznamyślnie.

Przejrzała archiwum. Ofiary Tienanmen zatrzesły "nieśmiertelnym" patriarchą numer jeden Deng Xiaopingiem. Nowy przewodniczący partii Jiang Zemin bronił kursu kapitalistycznej "modernizacji" Denga. Górecka kreśliła nazwiska na czerwono: Zhao

Ziyang, Chen Yun, kardynał Chen Li, którego śmierć zradyzalizowała demokratyczną opozycję, przekreśliła watykańskie plany wizyty Papieża w Chinach i amerykańskie działania rozjemcze Amnesty International. Chen Yun umarł przed Dengiem. Imperium patriarchy numer dwa rozsypało się jak domek z kart: Wang Baosena ze świty Chena znaleziono martwego gdzieś w górach, Liu Zhengwei wypadł z okna wieżowca, a jego żonę rozstrzelano za łapówki, w pekińskim więzieniu Qincheng osadzono Chen Xitonga, aresztowano Chen Jiana, Li Mina, Zhang Baifa, przyjęto głęboką samokrytykę Yang Binga... W chwilę potem, po śmierci Deng Xiaopinga w 1997 roku, skończyła się era polityczna "nieśmiertelnych" weteranów Komunistycznej Partii Chin, jej założycieli, najbliższych współpracowników Mao Zedonga.

Górecka spięła notatki. Na papierze zgadzało się jej nieźle. O Zhao Ziyangu, odsuniętym od władzy po Tienanmen, napisała, że to reformator. Podobnie oceniła Bao Tonga oraz Tian Jiyuna i Qiao Shiego, byłych szefów parlamentu. Wypięła pierś, zadowolona z artykułu. A ten Bao Tong? Czy nie wiedziała o nim czegoś więcej? Przejrzała teczki z archiwaliami i listę własnych publikacji, ale o Bao Tongu nie znalazła niczego.

W redakcji dostała szóstkę. - Dostałaś szóstkę - sekretarz redakcji Pudysz wołał do niej z daleka. - Świetny materiał. Dajemy podwałem od pierwszej strony. Zadowolona?

- Pewnie. Dzięki.

- Dana, wpadnij do mnie - Pudysz przyglądał się jej przez chwilę.

Po biurku redaktora wały się sterty pozornie niepotrzebnej makulatury. I tylko on wiedział, z której kupki co wyjąć. Sięgnął głęboko, pod szufladę, i wyciągnął trochę pomięty fax. - Tak to się pisało parę lat temu - powiedział. - Przyjrzyj się temu - wręczył jej papier.

Zaczęła czytać. - Ależ to wywiad z Bao Tongiem. Kiedy był robiony?

- Dawno.

- Tak. Pewnie przed jego uwięzieniem, bo wygaduje tu jak aparatczyk.

- Przeczytaj do końca.

- Czytam.

- Dokończ i zobacz, kto to napisał.

Górecka doczytała ostatnie linijki tekstu. Złożyła wydruk na biurku i przysłoniła oczy dłonią. Gdy spojrzała na Pudysza, miała policzki mokre od łez. - Nie pamiętam, rozumiesz? Wierzysz mi? Nie mam pojęcia, co tam robiłam. Wy wszyscy robicie ze mnie wariatkę - płakała, nie mogąc się powstrzymać.

- Danuta, przepraszam. Przepraszam, wybacz. Myślałem, że może ci coś...

- Odkorkuje, co? Niestety, nie odkorkowało. Jestem chorą wariatką. Tego chciałeś?

- Nie wmawiaj mi niczego. Jesteś dobrą dziennikarką.

Wysmarkała nos w chusteczkę. - No, dobra, chrzańię cię. Czasem mnie rozklei, nie potrafię przestać, wybacz jeszcze raz.

- Danuta...

- Obiecuję, że to się nie powtórzy.

- Przestań.

- Tak? A tak na marginesie: przeglądałam w archiwum swoje publikacje z Chin, wszystko to, co napisałam, ale tego wywiadu nie widziałam.

- Nie wydrukowaliśmy go na prośbę MSZ-etu.

- Co?! Nie puściliście takiego wywiadu? - przy słowie "takiego" Górecka uniosła się nad Pudyszem.

- A czy ty wiesz, jakim kłopotom zapobiegliśmy?

- A co mnie to obchodzi. Śmiesz jeszcze bronić się? Ty hieno moralna, cenzuro podstarzała, demokrato niski - Górecka podniosła głos, choć Pudysz legitymował się wzrostem słusznym. - Zateśniłaś za komuną? Ty asekurancie jeden. Lizus. Konformista. Ty...

- Wiesz, czy nie wiesz? - warknął Pudysz krótko, rad w głębi ducha, że była znów

sobą.

- Nie wiem - bąknęła. Umilkła i przysiadła przy nim cicho. - Powiedz.

- Rozmawiałaś z Bao Tongiem w więzieniu. Przekupiłaś strażnika ponoć i Chińczycy mogli cię za to skazać. Mieliśmy ryzykować dla wywiadu?

- Ja? Przekupiłam?

- Wiem, że to nieprawda.

- Zresztą nieważne.

- Nie uwierzyliśmy w te bajery, ale to bez znaczenia.

- Bez? Dla mnie to ma znaczenie.

- Musieliśmy tak zrobić.

- Rozumiem.

- Inaczej kto wie, gdzie wylądowałabyś.

- Powiedziałam, że rozumiem. Dziękuję.

- Więc popatrz. To wczorajsza depesza z Pekinu, a w tej depeszy o Bao Tongu. Czyli facet na chodzie. Niegdyś oficjel komunistyczny, jedyny wysoki działacz partyjny, osadzony w więzieniu za sprzeciw wobec masakry na Tienenmen. Teraz napisał list do kierownictwa swojej partii, cytuję: "Partia powinna przyznać, że wysłanie wojska przeciwko demonstrującej młodzieży było błędem. Ludzie pamiętają o masakrze. Zmieńcie waszą ocenę tragedii, gdyż nie jesteście za nią osobiście odpowiedzialni. Kiedy do niej doszło, większość z was nie była jeszcze na szczytach władzy, nie byliście w nią zamieszani".

- I co?

- Nic. Tylko świetnie wtedy strzelałaś z tematem.

Górecka smarknęła w chustkę ostatni raz, sprawdziła makijaż i powiedziała jak gdyby nigdy nic: - I cóż, pokrzyczałam sobie na ciebie. Czuję się lepiej i niech cię szlag.

Pudysz roześmiał się. Wyszedł zza biurka i pocałował ją w policzek. - Dobra, dobra, przyjmuję przeprosiny. Ale poczekaj, coś jeszcze chciałem ci pokazać.

- Ojej...

Pudysz zaczął grzebać w szafie. - Wcześniej nie było okazji tak pogadać. Zgromadziłem dziwne przesyłki, które przychodziły pod adres redakcji z różnych stron: wpierw z Chin, potem z Waszyngtonu, Australii, potem znów z Ameryki. - Wyjął papierową reklamówkę i wysypał na biurko jej zawartość. - Popatrz: "Dla Dany. Stephen".

Kilka kopert otworzyło się. - Wszędzie to samo: zasuszone żółte róże. Przyznaj się, był jakiś Stephen?

- Nie wiem. Ale te róże zwą papieskimi, takie żółte.

- Pytam o Stephena.

- Stephen, mówisz? - Górecka tarła intensywnie czoło. - Poznałam kiedyś faceta, ale to było w Warszawie. Skąd by róże?

Wieczory spędzała samotnie. Marek wrywał się z domu na ponadplanowe kółka naukowe, przeciągające się do późna. Tłumaczył, że po kółku odprowadza Agnieszkę na przystanek autobusowy. Nie zapomniwała jedynie, co to znaczy być młodym.

Dywan zasłała płatkami róż, które wyniosła z redakcji. Nie pachniały, nie kłuły, za to szeleściły, kruszyły się. I bolały. - Taki romantyk z ciebie, Stephen? I gdzie bywasz, skoro jesteś aż taki?

Swój nowo wydrukowany tekst położyła na środku, wśród róż. Ilustrowały go zdjęcia z ostatniej demonstracji chińskich opozycjonistów, protestujących przeciwko skazaniu na karę więzienia do 2012 roku założycieli nielegalnej Demokratycznej Partii Chin: Xu Wenli i Wang Youcai. Niesiono portrety skazańców. Podpis pod jednym ze zdjęć informował, kogo widać w pierwszym szeregu: żonę dysydenta He Xintonga, działacza studenckiego Ah Longa, niezależne dziennikarki Dai Fei i Leung Wai-man oraz sędziego Liu Weimina, walczącego o prawa związkowe dla robotników.

Górecka przyjrzała się tym twarzom. - To Ah, to Liu... - Lekki powiew z okna

nawiewał na gazetę różane płatki, których było coraz więcej i więcej, szeleszczących po papierze, zasłaniających raz, raz odsłaniających postacie, transparenty czy fragmenty dziennikarskich komentarzy. - Ta Dai Fei... Nie. Sru! - syknęła. - Czy ktoś mi pomoże?

Zabrzączał domofon. Poderwała się z podłogi. - To my, mamó, usłyszała w słuchawce głos syna. - My?

- Znasz Agnieszkę? - powiedział Marek, kiedy oboje weszli do mieszkania. - Opowiadałem... Wiesz, mamy sprawę.

- Dzień dobry, pani - powiedziała cicho dziewczyna. Stała w kącie, patrząc pod nogi.

- Dzień dobry. No, wchodźcie, wchodźcie do środka.

- Chcieliśmy porozmawiać.

- Usiądźcie. Porozmawiamy, co to za sprawa?

- Tak jakoś wyszło...

- Coś macie miny nieliche. Acha, napijcie się herbaty? - zaproponowała, kiedy usiedli za stołem. I nie czekając na przytaknięcie, wyszła do kuchni. - Coś poważnego? - krzyknęła przez korytarz, ale nie usłyszała odpowiedzi.

- Pijcie, dzieci, i opowiadajcie. - Herbatę podała w filiżankach, należących jeszcze do babci Marka.

- Sprawa jest taka - zaczął Marek - mówiłem to Adze, że dogaduję się z tobą, rozumiemy się. I że jesteś mądra, i tak dalej. A ojciec Agi niczego nie rozumie, matka Agi umarła dawno i w ogóle Aga nie może pogadać ze swoim starym. Dlatego pomyślałem, że ty będziesz wiedzieć, co zrobić.

- Mówcie, o co chodzi.

- Wiesz, jesteśmy z Agą długo, chodzimy ze sobą. Aga nie ma okresu. Trzeba by pójść do jakiegoś lekarza i się dowiedzieć.

Dziewczyna, lekko zarumieniona, wpatrywała się w swoją filiżankę. Ledwo oddychała. Jej mina obwieszczała nieszczęście, więc Góreckiej zrobiło się chcąc nie chcąc gorąco. - I długo to tak?

- Drugi miesiąc - napomknęła czujnie Agnieszka.

- Nie wiesz, czy jesteś w ciąży - bardziej stwierdziła niż zapytała Górecka. - Chwileczkę, tylko przyniosę ciasteczka, przepraszam - wybiegła z pokoju.

Jak na złość nigdzie nie było tych ciastek. Szukała w barku i nie znalazła. Otworzyła szafki w kuchni, gdzie wrzucała czasem słodczyce, lecz ciastka zapadły się pod ziemię. Z furią schyliła się do schowka na cukier, mąkę i przyprawy. Nie znajdując niczego, wyprostowała się nagle. Poczowała rozsadzający ból głowy. Zemdlała z ognikami w oczach.

Ocknęła się mokra. Marek polewał ją wodą, a Agnieszka kończyła rozmowę z pogotowiem. - Zaraz przyjadą - zakomunikowała dziewczyna. - Przepraszam...

- Ależ moje dziecko, nic się nie stało. Rąbnęłam się w głowę przez nieuwagę... - Górecka objęła obolałe miejsce i zawyla z bólu.

Lekarz pogotowia stwierdził krwiak sporej wielkości, pouczył, by w przypadku mdłości, zgłosić się do specjalisty, zbadał serce, wypisał receptę na okłady i odjechał. - Mieliśmy szczęście, że nie wystawił rachunku za niepotrzebne wezwanie - zazartowała Górecka.

- Mamó, porozmawiamy kiedy indziej. Odprowadzę Agę i wracam - zdecydował Marek i wyszedł z dziewczyną.

Zmoczyła ręcznik, owinęła nim głowę i położyła się na kanapie w swoim pokoju. W czaszce waliło jej jak diabli, lecz nie to było jej największym zmartwieniem. Pomyślała, że Marek zawałił. A jeśli ta dziewczyna urodzi? Tacy młodzi. A szkoła?! Mogła się tego spodziewać. To się zdarza, kiedy wychowuje się syna bez ojca.

Popatrzyła na dywan. Płatki róż drgały wciąż w przeciągu, a niektóre z nich pofrunęły pod ścianę. Utkwiła wzrok w zdjęciu na wprost. Manifestanci wykrzykiwali hasła.

Zmarszczyła czoło. - Liu Weimin, Leung Wai-man, Dai Fei, Ah Long... To Dai - wymamrotała. - Przecież tu idzie Dai. - Porwała gazetę do oczu, by przeczytać jeszcze raz: "Od lewej niezależne dziennikarki Dai Fei i Leung Wai-man". - Tak, to Dai!

Wrócił Marek. Czekala na niego w progu z mokrym ręcznikiem na głowie. - Nie stój tak, połóż się, bo jeszcze coś się stanie - uprzedził jej słowa.

- Synku, ja pamiętam. Pamiętam. Rozumiesz? Przypomniałam sobie!

Po dwóch tygodniach, wypełnionych sesjami amnezjologicznymi, przypomniała sobie wszystko. Widziała zdarzenia sprzed lat ostro, potrafiła odpowiadać na wrywki nawet na skomplikowane pytania, Ah Long był dla niej znów Małym Smokiem w drucianych okularach, Dai Daią, a Langton... Ponieważ tomografia pokazała "obraz CUN bez zmian", orzekła wszem wobec, że wróciła z dalekiej podróży definitywnie. Sekretarz redakcji Pudysz kupił jej ogromny bukiet róż, wciąż rzeński mistrz Chan z Tybetu nauczył ją układu ciosów "idą kaczkę gęsiego", w tym czasie też Marek przyniósł wiadomość, że Agnieszka dostała okres.

Któregoś dnia zjawiała się w redakcji o świcie. - Muszę popracować - powiedziała do rozbudzonego portiera. Pokoje wiały pustką. Usiadła na miejscu sekretarki, albowiem tylko z jej aparatu można było dodzwonić się wszędzie. Podniosła słuchawkę. Westchnęła i wykręciła numer. - Halo? - odezwała się cicho, kiedy usłyszała głos w aparacie.

- Proszę, kto mówi?

- To ty, Stephen?

- Tak. Z kim rozmawiam?

- Z Polską.

- Rety... Słuch mnie nie myli, to ty, Dana?

- Ja. Wiesz, jestem już zdrowa - zaszcebiotała, przetykając ślinę.

- Dana! Zdrowa. Pamiętasz mnie. To niesłychane!

- Dla mnie wszystko jest tak, jakby zdarzyło się wczoraj.

- A ja myślałem o tobie. Zastanawiałem się, jak sobie radzisz. Chciałem zadzwonić do redaktora Pudysza i zapytać o ciebie. Bo ja bez ciebie, Dana, jak ten pies bezdomny. Włóż się gdzieś po świecie. I po co mi to? Teraz znów wróciłem do tego parszywego Pekinu, co wyrządził ci tyle zła. Ale zaraz coś wymyślę i przylecę do ciebie. Kocham cię. Jesteś taka nie do wytrzymania. Dana, pamięta!

- Spokojnie, Stephen. Powiedz, czy dzwoniłeś do Pudysza?

- Pewnie, wiele razy. Z początku to codziennie. A potem, rozumiesz. Ale Pudysz powtarzał wciąż to samo, że nic nie pamiętasz, ani Chin, ani mnie. I że lepiej będzie dla ciebie, żebym czekał, czekał... A ten Pudysz to ktoś bliski tobie?

- Stephen, nie wygłupiaj się. Zachowałam wszystkie płatki róż. Dziękuję. Tyle mogę powiedzieć teraz. Napiszmy wpierw do siebie, o wszystkim: co robiliśmy, co w rodzinie, dobra? A potem pomyślimy, co dalej.

- To nie przylatywać?

- Napisz. Kocham cię.

Odłożyła słuchawkę i wyjęła lusterko. Tusz do rzęs spłynął jej na policzki razem ze łzami.

Pudysz zjawił się w redakcji jak zwykle o dziesiątej. Po drodze dowiedział się od portiera, że Górecka czeka. Odgadł jej nastrój, wyciągnął przed siebie rękę, dając znać, że będzie się bronić: - Wiem, wiem, nie jestem taki głupi. Dogadałaś się z Langtonem. Tylko nie krzycz. Co miałem mówić?

- Ale jak mogłeś?

- Nie mogłem inaczej.

- Do końca udawałeś, że go nie znasz.

- A miałem nie udawać?

Westchnęła: - Chyba nie. Dziękuję.

Siedziała z Markiem w domu, bo za oknem siąpiło. Chłopak odrabiał lekcje, a ona zszywała stare poduchy. Kiedyś takimi robótkami zajmowała się babcia, teraz ona, mimo to nie burczała, że jest kobietą.

Ktoś zadzwonił do drzwi. - Hej, Marek, rusz się, to pewnie z administracji. - Po chwili usłyszała radosny głos syna: - Tata? Nie mówiłeś, że przyjdiesz. Mama wie?

Wstrzymała oddech. Gwidon? Po śmierci babci ojciec Marka spotykał się z nim często, przynajmniej raz w tygodniu. Interesował się postępami w nauce, zabierał go na mecze Legii. Przy ładnej pogodzie wyjeżdżali razem poza miasto, a co tam robili, stanowiło ich męską tajemnicę. Nie pytała, bo obaj zdradzali swoje pomysły w krótkim czasie. Raz łowili ryby, innym razem zwiedzili "Zamczysko" kampinoskie, zjedli truskawki w Milanówku, a nawet pojechali zobaczyć żubry w Białowieży. Widywała ojca Marka co jakiś czas, lecz on nigdy nie odwiedzał ją w domu. Tłumaczył synowi, że nie chce krępować matki. I że niech tak pozostanie.

Wyszła z pokoju, by przywitać gościa. W drzwiach stał Gwidon Rzymek.

- Bardzo przeszkadzam? - zapytał skrępowany.

- Cóż to za niespodzianka? Trzeba było zadzwonić, może upiekłabym coś z tej okazji.

- Ty? - zdziwił się szczerze Rzymek. - Przepraszam.

Uśmiechnęła się. - Wchodź, wchodź.

Rzymek, który przed kilkoma dniami otrzymał awans na podpułkownika, usiadł wygodnie na kanapie. Mrugnął do syna: - Marku, posurfuj w Internecie. Chciałem porozmawiać z mamą sam na sam.

Marek wyszedł, a Górecka podsunęła kieliszki z winem. - Jesteś służbowo - domyśliła się.

- Tak. Jak się czujesz?

- Dobrze. Mistrz Chan wyciska ze mnie siódme poty.

- Generał Brzeski ucieszył się nie bez kozery, że agent "D-12" wrócił do służby.

- "D-12" ...

- Chyba nikt poza nami nie rozumie tej ksywy, co?

- Że "D" to od Danuty, można się domyśleć, ale że "12" oznaczało południe?

- Nikt nie wie, że na studiach spałaś do południa.

- Stare dzieje.

- Nie mam za dużo czasu... Po tym, co przeszłaś, masz prawo odmówić.

- Mów, mów.

- Nie mieliśmy zamiaru angażować cię tak szybko, ale sytuacja zapiliła. Krótko, potrzebujemy cię. Znasz teren, ludzi, Chińczycy biorą cię za swoją.

- A więc Chiny?

- Chiny. Twoje stare zadanie jest znowu aktualne. A dla naszej służby priorytetowe. Papież uparł się pielgrzymować do Chin. Chce beatyfikować kardynała Chen Li na jego ziemi. Musisz przetrzeć szlak i masz w tej sprawie carte blanche.

- A mój wypadek?

- Gonganbu zaprzeczył, by maczał palce w zamachu na ciebie. Wyglądało to na atak jakiejś grupki terrorystycznej przeciwko przypadkowej cudzoziemce.

- Tak sądzisz?

- Mam nadzieję. Oczywiście musisz uważać. I to dobrze, choć będziesz ubezpieczona przez agenta, wyznaczonego przez CIA. Amerykanie nie zdradzili, kto to. Ponoć jakiś Australijczyk z ASIO, bo CIA i Australian Security and Intelligence Organization porozumiały się. Działacie bliźniaczo, to znaczy niezależnie. On robi swoje, ty swoje dla większej pewności. W razie czego przyjdzie do ciebie z hasłem: "Niebezpieczny będzie ten rok 2000, Rok Smoka". Odpowiedź: "Dla Smoka nieprzebrane są wody Żółtej Rzeki". I finał:

"Smokowi łatwiej przeskoczyć Wielki Mur niż przepłynąć Żółtą Rzekę". Taka amerykańska gadka-szmatka.

- Zapytam jeszcze, kiedy lecę?
- Już tam jesteś.
- A Marek?
- Nie martw się. Będę miał na niego oko.

Z instrukcjami zapoznała się kilka godzin przed odlotem. Wywnioskowała z nich, że polski wywiad działał w Chinach na życzenie prawdopodobnie samego Papieża. W każdym razie John Formel, stały rezydent w Ambasadzie Amerykańskiej w Warszawie, gwizdał pod nosem z niedowierzaniem, że doświadczony agenty watykańskie zaufały Polakom nie mniej niż asom z CIA.

Jiang Zemin wyraził zgodę na przyjazd chrześcijańskiego patriarchy po miesięcznej burzy medialnej, głównie w USA, czując za plecami oddech partyjnych reformatorów, takich jak Zhao Ziyang i Qiao Shi, a także działaczy dysydenckich, skupionych w Ośrodku na Rzecz Praw Człowieka i Ruchów Demokratycznych. Postawił warunek, by z ust duchownego nie padło słowo o niepodległości Tajwanu oraz by Chiny weszły do Światowej Organizacji Handlu. Ponieważ CIA wykalkulowała, że wizyta papieża zacznie proces rozmiękczenia systemu nad Żółtą Rzeką, doprowadzi do respektowania praw człowieka i otwarcia rynku chińskiego na świat, zarówno Watykan, jak i Waszyngton, zaakceptowały te żądania. Wywiad donosił incydentalnie, że betonowa część aparatu Komunistycznej Partii Chin postanowiła storpedować tę wizytę. Władze północnej prowincji Hebei aresztowały pokazowo księży katolickich i kilkunastu wiernych. Księży Pei Junchao i Chen Hekuna, którzy słynęli z odważnych, prodemokratycznych kazań, oskarżono o "działania zagrażające bezpieczeństwu państwa". Niepokoiło też kolejne spotkanie towarzysza Yang Binga, przed laty prawej ręki "nieśmiertelnego" Chen Yuna, z biznesmenem Hendrikiem Zoecke. Nie było wątpliwości, że to na zlecenie tych panów poszukiwany przez wszystkie służby Reinert zabił kardynała Chen Li. Po tym zamachu Yang Bing wszedł w skład najwyższych władz państwowych, obejmując pieczę nad "bezpieką" Guojia Anquanbu, a Zoecke wybudował na osiedlu Wan filię zakładów "Vermund Ltd".

Samolot szumiał jej jeszcze w uszach, kiedy boy otworzył drzwi do apartamentu w "Xi Juanie", ułożył kwiaty w wazonach, podziękował za juana i zniknął. W Pekinie nie czekał na nią nikt. Padła na fotel. Czowała się zmęczona podróżą i zmianą klimatu. Starła się panować nad nerwami, nie wiercić na pięcie, nie kręcić głową dookoła, lecz oczy same wędrowały to tu, to tam i na lotnisku, i przed nim, i w drodze do hotelu, i przed hotelem, i w hotelu z wielką irytacją. Langtona nie było. Nie dowiedział się, że przyleciała? Paskuda denerwująca, ptyś australijski. A jej, głupiej, przez całą drogę dreszcze chodziły po plecach na myśl...

Zapukała pokojowa: - Proszę pani, mam dla pani liścik.

Otworzyła kopertę i przeczytała: "Dana. Kochana. Nie mogę Cię widzieć, byłem w szpitalu. Jestem, ale mnie nie ma, aż lekarz się wystraszył. Chiny mnie zaatakowały. Jestem złożony niemocą. Wybacz, ale nie mogę towarzyszyć Ci i służyć pomocną dłonią. Piszę beładnie, ale pękają mi skronie. Pa! Stephen".

- Gdzie ten pan?
- U siebie - pokojowa pochuchała na zarobionego juana.

Drzwi były uchylone, więc Górecka wsunęła się do środka. Na kanapie, pod oknem, leżał Langton: bosy, w szlafroku, nie ogolony, wymizerowany, z sińcami pod oczami. Głowę owinął po nos wilgotnymi bandażami i drzemał. - Walnął go ktoś? - wzruszyła ramionami. - Chiny zaatakowały, jego?

Na podręcznym stoliku ledwie mieściły się lekarstwa: najprzeróżniejsze tabletki,

syropy, mikstury, których chińskie nazwy niewiele jej mówiły. Usiadła więc cicho w nogach kanapy i czekała, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Langton chrząknął. Z wyraźnym wysiłkiem przełknął ślinę i pomacał swoją głowę. Otworzył jedno oko, by sięgnąć po szklankę wody i... przestał oddychać.

- To ja. Leż spokojnie - chwyciła go za rękę. - O nic się nie martw. Jestem przy tobie.

- Dana. A ja... - stęknął. - Dana. Kochana! - I łezka wypłynęła mu z na wpółotwartego oka.

- Co się stało? Kto ci to zrobił? - chciała poznać prawdę od razu.

- Taki jeden drań mnie otruł.

- Kto?

- Nie znasz. Taki konował buddyjski, co udaje lekarza. Zaręczył, że mnie wyleczy, a to już sześć dni.

- Ale z czego?

- Orzekł, że to grypa, bardzo groźna.

- Grypa? - odwróciła się, ukrywając twarz w dłoniach. - To grypa cię pokonała? Akurat teraz, kiedy zjawiłam się po tylu latach? - śmiała się już otwarcie. - Och, ty mój kochanku! - I pocałowała go w usta.

- Dana, uważaj, bo się zarazisz. To chińska grypa.

- Dlatego Chiny cię zaatakowały?

Popatrzył na nią uważnie. - Wiesz, ty w ogóle się nie zmieniłaś. Jesteś taka piękna - powiedział z przekonaniem.

- Kocham ciebie, Stephen.

Następnego ranka był zdrowy, a chińskiego konowała nazwał z szacunkiem medykusem. Wykapany, z jasnym spojrzeniem, w białym sportowym wdzianku, podjął Górecką pod rękę i ostrzegł: - Proszę, tylko nie protestuj. I zaufaj!

- Ale co ty wymyśliłeś...?

Na lotnisku aeroklubowym czekała na nich pomarańczowa awionetka. Langton nie odzywał się, mimo iż Górecka burczała coś pod nosem. Nie zaprotestowała, kiedy wepchnął ją do ciasnej kabiny, a sam zasiadł za sterami maszyny. Zaciśnęła zęby i spytała: - To ty umiesz latać?

- Wiesz, u nas, w Australii, to normal... - Śmigło zafurkotało, więc Langton nie próbował przekrzyczeć ryków silnika.

Mimo dobrej pogody samolot wpadał co chwilę w dziury powietrzne. Lecieli dość długo na południowy-zachód, by w końcu wylądować z ulgą na łące w Sanjiang. Na horyzoncie pięły się do chmur Góry Południowe, a przy szutrowej drodze stały wozy, zaprzężone w osły, spełniające rolę taksówek. - Je-e-stem Dong-Dong, wio-o-zę do Shebai, pong-pong - zaśpiewał woźnica.

- Pro-o-si-my Dong-pong do Shebai, pong-Dong - odśpiewał Langton. Górecka popatrzyła na niego jak głupia.

- Mi-i-li pań-stwo na goś-ci-ny?

- Na goś-ci-ny do Jin Yiny - Langton nie dawał się zbić z pantafyku.

- U Jin Yiny radoś-nie przez ca-łe przed-wiośnie.

- A my mi-łość wie-zie-my, po-dzie-lić się chce-my - Langton był niezrównany.

W połowie drogi szepnął Góreckiej do ucha: - Śpiewaj. Jesteśmy w kraju Dongów, który Chińczycy nazywają "morzem śpiewu". Tu się śpiewa na dzień dobry i dobry wieczór, by spytać o drogę, by wyznać miłość albo wyrazić złość, śpiewa się przy sadzeniu ryżu i przy odpędzaniu złych mocy. Przekaz Dongów mówi o młodzieńcu Jing Bi, który zawędrował do Wiecznego Królestwa Pieśni. Przez siedem dni i nocy uczył się od nagich księżniczek melodii, poezji i tańców, aż wszystkie poznał. Wrócił i przekazał je swojemu ludowi.

- A po co mnie tu zabrałeś?

- Byś zaśpiewała ze mną. Dongowie mówią, że jeśli ludzie się kochają, to muszą

zaśpiewać razem.

- Ty wariacie...

W domostwie Jin Yiny, które Langton poznał przy okazji jednej ze swoich wypraw dziennikarskich, czuli się jak w rozśpiewanym raju. Wieczorem wypili po czarze żółtego wina huangjiu i patrzyli na siebie, oświetlani płonącymi szczapami drewna. Poglądziła go po głowie i odgarnęła mu kosmyk włosów znad ucha: - Trochę posiwiałeś - zauważyła czule, by potem, niesiona żarem, być z nim znów razem po długiej rozłące.

Rano Langton zapytał: - Może teraz zaśpiewasz?

- Le-ci, le-ci Ja-siek, le-ci po ugo-rze, gdzieś ty się podzia-łeś, wszechobe-cny Bo-że. Oj, Dana, Dana, oj!

- Brawo, potrafisz. Jak Jing Bi, czyli Złota Moneta, po powrocie z Wiecznego Królestwa Pieśni.

- W moim kraju żył rybak Jasiek, który wszystko, czego dotknął, zamieniał w złoto. Dotknął butów, zrobiły się złote. Dotknął talerza, talerz zrobił się ze złota. Chwycił sieć, sieć była złota. Wziął wędkę, wędka zrobiła się złota. Zabrał stołek, żeby usiąść na nim nad wodą, stołek przemienił się w złoto. Więc usiadł na tym złotym stołku, zarzucił złotą wędkę do wody i co wyłowił?

- Hm, złotą rybkę?

- Tak, była to złota rybka. Rybka otworzyła pyszczek i zapiszczała: "Jestem złota rybka, jestem złota rybka, jestem złota rybka". A Jasiek mówi: "To gadaj, czego chcesz!".

Langton zrozumiał przypowieść, nabrał powietrza w płuca i zaśpiewał jak członek plemienia Dong: - Oj, Da-na, Da-na, wyjdź za mnie!

Po dwóch dniach wycieczek w góry i poznawania okręgu Sanjiang postanowili wracać. Górecka usłyszała od Langtona chyba wszystko o tęsknocie i miłości. Tulili się, ciesząc swoim widokiem przydrożnych wieśniaków. Chłopi kłaniali się nisko, a nawet bili brawo, wyrażając aprobatę dla okazywanych uczuć.

- Masz kontakt z Dai?

- Tą rewolucjonistką? Ogień w oczach. Ona zapatrzyła się na ciebie.

- I co u niej?

- Okay. Odwiedzam ją i jej męża, kiedy trafią się okazja wypić wódeczkę baigan.

- Wyszła za męża. Też za rewolucjonistę?

- Omalże - zaśmiał się Langton. - Rewolucjonista akwizycji. Znasz go. To nasz kochany kumpel O'Brien. Taki numer mi zrobił, że coraz rzadziej znajduje czas na tenisa.

- Dana i O'Brien... - Górecka rozmarzyła się.

W Ambasadzie Polskiej w Pekinie przyjął Górecką sekretarz do spraw handlowych Artur Kolski. Przywitała się z nim serdecznie. - Pan wciąż na posterunku. Służy panu klimat?

- Ktoś musi wykonywać czarną robotę - Kolski poczęstował kawą. - Chciałem porozmawiać.

- Jestem.

- Taki tu czas, że górą nacjonalizm, idea wielkich Chin: "Nasza Ziemia, Nasz Naród". Pierwszy cesarz Shi Huangdi stał się bohaterem filmów telewizyjnych i komiksów, bo dokonał zjednoczenia chińskich ziem. Co to znaczy? Że Tajwanu nie oddadzą. Ani Tajwanu, ani Tybetu, ani Nankin, klejnotów w koronie Wielkich Chin. Co tydzień, czasem i dwa razy w tygodniu, zdarzają się zaczepki na tym tle, napady w imię chińskich wartości. Gdzieś kogoś popchną, gdzieś ktoś kogoś pobije.

- Słyszałam.

- Yan Weipinga, księdza podziemnego Kościoła katolickiego, znaleziono martwego na ulicy w Pekinie. Wczoraj ten ksiądz, a kogo jutro trafi kula czy nóż? Mówi się o religijnej sekcje Falun, o sekcje milenijnej Zhu Shen Jiao, że hipnotyzują ludzi, a w hipnozie, wiadomo, można wszystko. Ale też głośno o Fuk Ching. Wiem z Warszawy, że miała pani kontakty z Fuk Ching. Pani zdaje sobie sprawę, że delegacja z Watykanu jako forpoczta

pielgrzymki papieskiej wyląduje w Pekinie lada moment? A tu wybryki nacjonalistyczne. Obawiam się, że ich skutki będą oplakane.

- Rozumiem. Mam pogadać z Fuk Ching.

- Wyjęła mi to pani z ust.

Pod wielką palmą holu hotelowego czekało na Górecką dwóch Chińczyków. - Hej! - Uznała, że jest w czepku urodzona. - Zjawiliście się, gdy was potrzebowałam.

- To miłe.

- Teraz za tobą chodzi Bo? - wskazała na potężnego mężczyznę z pooraną twarzą.

- Przejąłem interesy po Ma Minie, którego duch wspomaga mnie z krainy szczęścia - odpowiedział Song.

- Więc Ma Min nie żyje. Nie był taki stary.

- Właśnie.

Wjechali windą pod apartament. Bo zabezpieczył drzwi, a Song rozsiadł się na fotelu niczym boss. Milczała. Song wydał się jej zbyt młody na szefa bandy. - Można was czymś poczęstować? - zaproponowała.

- Nie, dziękujemy. Po Ma Minie trudno pani potraktować mnie całkiem serio. Zgaduję pani myśli? Ale to Ma uznał mnie za swego następcę - Song mówił z godnością, poprawnie po angielsku, tonem człowieka doświadczonego i rozumiejącego wiele. Nie znała go takiego. Przytył przez te lata, wyłysiał, lecz włosy wiązał wciąż w kucyk.

Nalała sobie wody. - Napiję się więc sama.

Song splótł ręce i oddzielając słowo od słowa, przemówił: - Czas rzeźbi zmiany w każdym z nas. Czas i ludzie. A ja miałem szczęście, bo w odpowiedniej chwili spotkałem Ma. Ma nauczył mnie wielu pożytecznych prawd i jednej mądrości, że jeśli hazard, prostytutka, narkotyki przynoszą zło głupim, to polityka przynosi zło również mądrym. Ma, moja rodzina i przyjaciele nie mieszała się nigdy do polityki. Tak było, kiedy żył Ma, i tak będzie teraz.

Górecka skinęła głową, okazując zaciekawienie.

- Ale polityka wmieszała się w nasze sprawy. Nie chcieliśmy tego. Od wielu tygodni gazety piszą o Fuk Ching, o Falun Gong, o Quo i innych organizacjach. Piszą niestworzone rzeczy, że atakujemy ludzi z pobudek nacjonalistycznych. To szkodzi nam w interesach, to odstrasza od nas przyjaciół z zagranicy. Ma powiedział mi kiedyś, że jeśli kiedykolwiek będę miał kłopoty z polityką, mam przyjść do pani. Ma darzył panią olbrzymim szacunkiem, sympatią.

- Nie wiedziałam.

- Martwił się, czy pani wyzdrowieje po zamachu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że powinniśmy wzajemnie sobie pomagać.

Miłe łaskotki satysfakcji przebiegły jej po plecach. Sojusz z Songiem wydawał się korzystny. - Twierdzisz, że wrabia się was w politykę?

- Tak.

- I nie macie nic wspólnego z zamachami na ludzi?

- Dowiadujemy się o nich z gazet.

- W takim razie, kto to robi?

- W tym rzecz. Niech pani nam powie.

- Ja traktowałam Ma też jak przyjaciela. Bądźmy nadal przyjaciółmi. Pomyślę, co się da zrobić.

- Dziękuję - Song poderwał się z fotela i uklonił nisko. - To dzieje się poza nami. Za zamkniętymi drzwiami, gdzie nie mamy wstępu. Prosimy kilku ważnych ludzi o spotkanie, ale uznano nas za zadzumionych, skazanych, bez wyjścia.

Po wyjściu Chińczyków wzięła prysznic i wybiegła przed hotel, na powietrze. Miała przejść przez ulicę, kiedy zatrzymało się przed nią bordowe lamborghini. - Wsiadaj, Dana!

- To ty? - raczej udała zdziwienie, bo przecież spodziewała się tego spotkania. - Kopę lat, co?

- Wsiadaj, proszę, szybko, bo mnie namierzają - ponaglił John O'Brien, wystawiając głowę z okna. Usłuchała.

- Wybacz, że witamy się w biegu bez nastrojowych świec francuskiej restauracji "Oeil-de-boeuf" - ruszył z kopyta - ale tu nie ma żartów. Dai chciała się z tobą spotkać, kiedy dowiedziała się, że wróciłaś. Jesteśmy z Dai razem.

- Stephen mówił, że jego kumpel John wziął uroczysty ślub. Prawda li to? Czy marzenie?

- Taki chiński jakiś. Może to i ślub - O'Brien nie zwalniał, pokonując z poślizgiem trzeci z rzędu zakręt. - Kojarzysz, pełen ceremoniał. Jak w skansenie. Nic z tego nie rozumiałem.

- Ważne, że Dai rozumiała.

- Ona tak. Co chwilę przypomina mi, gdzie moje miejsce. Oczywiście przy niej, przy żonie. To ważne miejsce dla Chin, dla świata, bo przy niej, a to ona w końcu zmienia Chinę i świat. Ona zmienia, więc i ja mam zmieniać. Zdecydowała za mnie. Nie zapytała, czy podoba mi się to, czy nie. Cała Dai. Nie poznasz jej, tak się zmieniła. Twarda. Bezwzględna. Przestała nawet kaleczyć angielski. Wszyscy się jej boją, ja też. Dla niej ważniejsza walka niż przyjaciele, niż dom, nie mówiąc o mężu. Moją pracę zawodową traktuje jak zło konieczne i ma za nic. A w branży ciągle nowinki farmakologiczne, trzeba czuwać na bieżąco, uczyć się.

- Może byś zwolnił.

- Masz rację, chyba zgubiłem ogon - O'Brien przyjrzał się uważnie wstecznemu lusterku. - Oni chcą dopaść Dai. Znają mój wóz, bo któż nie zna. Nowy egzemplarz, zauważyłaś? I oni go śledzą. A ja, kiedy trzeba, przesiadam się do seryjnej marki. Wtedy głupieją.

- Ale konkretnie kto?

- Jak to kto? Ci z Gonganbu i Guojia Anquanbu. Bezpieczniacy. To nie wiesz, że Dai jest najbardziej poszukiwaną przywódczynią nielegalnej opozycji? Kiedy ją dopadną, to wsadzą na dwadzieścia lat co najmniej.

- Przypuszczam.

- Przecież ona pisze te teksty z podziemia, ośmiesza przywódców "do pięć śmiertelnych". To jej słowa. Kpi z "Wielkiej Partii Glinianych Kukieł" i pokazuje figę tym, którzy uwierzyli oświadczeniu Jiang Zemina.

- Któremu oświadczeniu?

- Że demokracji w stylu zachodnim nie będzie w Chinach nigdy.

- A będzie?

- Zapytaj Dai. A ty masz broń? - zwrócił się do niej nagle i niespodziewanie. - Pamiętasz, wtedy obiecywałaś.

Oczywiście, pamiętała, że wtedy uratował jej skórę. Mimo to nie sądziła, że będzie rozmawiać z nią o Dai... Czyżby zakładał, że ona wciąż nie wie? Że nie domyśla się jego pracy dla CIA? Rzymek, informując ją o "bliźniaczym" agencie, nie powiedział co prawda, że to O'Brien, lecz ona wyczuła Johna na milę. - Mam - odpowiedziała krótko.

- To dobrze. Bo te twoje fiu-fiu, ciach-ciach to dobre na złodziei melonów. A jaką? - zaciekawił się.

- Glocka. Po przestawieniu spustu mogę walić ogniem ciągłym.

- Super! Tego siedemnastostrzałowego?

- Tak.

- Poczuję się jak nowo narodzony.

Zostawili samochód na parkingu pod mrówkowcem, pomalowanym na niebiesko, i poszli dalej pieszo. O'Brien odwracał się co jakiś czas, lustrował otoczenie, by uznać, że są bezpieczni. Weszli do bramy starego domostwa, zrobili kilka kroków w małym ogrodzie z tytoniem, potem skręcili przez podwórze do jakiś drzwi. O'Brien nacisnął dzwonek. - Proszę?

- zapytał zza drzwi głos kobiecy.

- To ja, John. Przyprowadziłem gościa.

W przestronnym salonie pochylało się nad stołem kilka osób i gestykulowało zawzięcie. Chinka w kwiecistej sukience odwróciła się w ich stronę.

- Dai?

Rysy Dai wyostrzyły się, przydając pełnej twarzy szlachetnego uroku. - Cześć, przysiądźcie się.

- John mówił, że cię nie poznam. Ale poznałabym wszędzie w tej sukience.

- Nie mam głowy na stroje. Mój kraj potrzebuje wielkiej zmiany, wielkiej pracy. Przy tym stole tworzymy historię - Dai wskazała palcem na podniszczony mebel. - Opracowujemy memoriał, odnoszący się do hegemonicznych zapędów Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku, nie w średniowieczu. Nie potrzebujemy światowych hegemonów. Może za chwilę to my, opozycja, podźwigniemy ciężary władzy. Musimy być przygotowani na tę chwilę w każdej skali, też międzynarodowej. Dlatego wypracowujemy wizję równoprawnej koegzystencji Chin i USA. Może się przyłączysz?

O'Brien stanął w kącie salonu i uśmiechał się ironicznie.

- Mam się przyłączyć? - Górecka odezwała się bez sensu, zerkając na O'Briena.

- Oczywiście! - Dai podkreśliła z całą mocą.

- I dlatego chciałaś się spotkać?

Dai zawahała się. - Bardzo miło mi cię znów widzieć po tym, co się stało - powiedziała ciepło, po staremu.

Po paru minutach, gdy O'Brien pił świeżo zaparzoną kawę, stare przyjaciółki zamknęły się w kuchni. - Tu będziemy mieć spokój.

- Spowaźniałaś. Dojrzałaś.

- A ty niespecjalnie się zmieniałaś. Pewnie trenujesz te swoje walki.

- Musiałaś się tak zaangażować?

- Sytuacja tego wymagała. Chiny oczekują przełomu.

- Wiem, wiem. A twoja matka?

- Staruszka niewiele słyszy, niewiele rozumie.

- A twoi znajomi z redakcji?

- Straciłam z nimi kontakt. Działam w innej skali, z innymi ludźmi. Przynajmniej raz w tygodniu zgłasza się do mnie zagraniczny dziennikarz z prośbą o wywiad. Wczoraj rozmawiałam z "Bildem", przed chwilą poprosił o wywiad holenderski "De Telegraaf". Ty też zechcesz wywiadu?

- Kto wie... John opowiadał mi o was. Trochę smęcił. Wybacz, ale ja traktuję was jak najbliższych, dlatego się wtrącam.

- On jak dziecko. Nie mam czasu niańczyć dzieci. Prawda, że zarabia pieniądze. Lecz w Chinach jest dość pieniędzy. Brakuje za to wolności i ktoś musi się poświęcić.

- Może on chciałby mieć właśnie dziecko. Wiesz, każdy facet marzy o synu. Mój Marek to już duży chłopak. Wyobraź sobie, ma narzeczoną. O mało nie zostałam...

- Wykluczone. Powiedziałam mu o tym otwarciu. Partia komunistyczna pobłędziła, ale jej wytyczna o ścisłej kontroli urodzin była słuszna. Premie za bezdzietność to zalecenie dla mas. Inaczej nie wyżyjemy narodu. I co, ja, walcząc o to wszystko, organizując manifestacje, przemawiając do aktywu, sama miałabym rodzić dzieci, taki dawać przykład? Straciłabym wiarygodność.

Dai wyjęła kieliszki. Nalała do nich wódkę na ryżu z butelki bez etykiety. - Ganbei!, czyli do dna! Potem wracamy do mężczyzn - zakomenderowała i wypła jednym haustem. - Chyba, że masz coś do mnie - zachnęła się, widząc że Górecka nie poruszyła się na krześle.

- Redakcja zapytała mnie o nacjonalistyczne ekscesy, fobie, nastroje. Rozumiesz?

- Tak. Chodzi wam o atmosferę przed wizytą papieża w Chinach.

- Coś się za tym kryje...

- To możliwe. Zapewniam cię, że Chińczycy pragną żyć w przyjaźni ze wszystkimi narodami, ze wszystkimi religiami.

- Ale te wybryki...

Dai zastanowiła się przez chwilę. - Zdaje się, że mogę ci pomóc. Skontaktuję cię z kimś w tej sprawie. Że też ty zawsze znajdziesz hit, nie temat.

- Ganbei!

Melodyjka telefonu obudziła Górecką z samego rana. Męski głos powiedział krótko, że przy Gongxian Hutong 15 spotka się z nią wieczorem wiceminister Men Ru. Rozmówca wyłączył się, lecz w słuchawce zgrzytnęło coś jeszcze, co świadczyć mogło o obecności na linii prawdopodobnie hotelowej telefonistki.

Sprawdziła ten adres: Zaulek Cięciwy Łuku. Stały tam małe, stare domki. Znalazła w komputerze, że przed laty, kiedy dopiero zaczynano wznosić wieżowce przy Tienanmen, pod piętnastką ulokował się chiński wywiad Shehuibu. Pokiwała głową i chyba zrozumiała, jakim cudem Dai biegła wciąż na powietrzu. Ucieszyła się, że dziewczyna miała oparcie. Dla Dai była to niezła paka: Men Ru, który załatwił im wejście do więzienia w Huhehaote, jego wiekowy szef propagandy Lu Bing, też pewnie Bao Tong, może nawet Zhao Ziyang i Qiao Shi? Paka na dwudziesty pierwszy wiek. Życzyła Dai jak najlepiej.

Szła wolno, oddychając mgłą, która unosiła się w powietrzu po niedawnej ulewie. Po spotkaniu z Men Ru spodziewała się wiele. Zakładała, że Chińczyk dużo wie i podzieli się z nią tą wiedzą. Z tego, co pamiętała, Men był człowiekiem niezwykle przenikliwym, o szerokich horyzontach, do tego z dyplomem dreźnieńskiego Uniwersytetu Technicznego. Z jego zdaniem liczono się w kręgach władzy, bo wpieryw pomyślał, zanim zadziałał, wpieryw zbadał moc słów wśród towarzyszy przy piecach huty w Huhehaote, gdzie zaczynał karierę, zanim rzucił je partii na pożarcie.

Skręciła w Zaulek Cięciwy Łuku. Akurat zapalono latarnie. Z daleka zobaczyła kilka ciemnych sylwetek, prowadzących skulonego mężczyznę. Biedak nie opierał się. Dał się wepchnąć do środka auta, które niezwłocznie odjechało.

Serce uderzyło jej w piersiach. Men Ru? Nic nie zakłócało znów spokoju ulicy. Tylko ptaki poderwały się, kiedy zawarczał któryś z parkujących samochodów i pognął przed siebie. Nie miała wątpliwości, że było to bordowe lamborghini.

Zastanawiała się chwilę, co robić. Gdy już wiedziała, otworzyła furtkę domu numer piętnaście i weszła. Na dole mieściły się trzy obszerne pomieszczenia. Jedno z nich, służące za gabinet, przypominało pobojojwisko. Biurko leżało wywrócone na bok, rozbite szyby z barku chrzęściły pod butami, sterty książek, gazet, plakatów, poza tym popielniczki, wazon, metalowe puchary i pluszowe maskotki zaścielały dywan. Schyliła się. Dywan był zaplamiony krwią.

Nie miała wątpliwości, że pobito Men Ru. Ktoś dowiedział się o ich spotkaniu, podsłuchując jej telefon? Co ważnego miał do powiedzenia ten Chińczyk? Czego szukano u Men Ru?

Bez pośpiechu przewertowała książki, pozbierała część rozsypanych kartek, przełożyła z miejsca na miejsce zszywki urzędowych dokumentów, a kilka z nich, te pisane po angielsku, przeczytała. Nie było w nich nic porywającego: programy edukacyjne UNESCO, przysłane z Paryża, statystyki Międzynarodowego Stowarzyszenia Rozwoju i informacje o szkolnictwie na świecie UNICEF. Men Ru zajmował się w rządzie edukacją, często wizytował szkoły, nie zdziwiły ją więc wielkie ilości pluszowych maskotek, walających się w jego gabinecie.

Podniosła różowego smoka. W Chinach smoki w modzie, Rok Smoka! Miała to usłyszeć od agenta O'Briena. Agent O'Brien w bordowym lamborghini udawał przed nią, że spadł z księżycy, nic nie widział poza żonę. Zaperzyła się. Postanowiła, że nie odezwie się do

niego pierwsza ustalonym hasłem o smokach. Niech sobie O'Brien udaje, co chce i kogo chce, nawet Chińczyka. Nie wiedziała tylko, skąd on się wziął przy Gongxian Hutong 15 o tej porze i czy ją widział.

Stuknęła furka. Czyjeś kroki zadudniły przed domem. Górecka podbiegła do okna i dopiero wtedy usłyszała pisk opon zatrzymujących się samochodów. - Sru! - przeklęła siarczyście i nie namyślając się wiele, pobiegła po schodach na piętro. Dom otaczała policja z karabinami gotowymi do strzału.

Kiedy wyważono drzwi, wychyliła się przez okno w dachu, oplecione konarami dębu, i skoczyła. Chwyciła się najbliższej gałęzi, lecz ta, najprawdopodobniej spróchniała, pękła pod jej ciężarem jak trzcina. Spadła na ziemię, pod nogi policjantów. Spróbowała podnieść się, ale ziemia była wciąż twarda. Odczekała, sprężyła się i zaatakowała. Pierwszy policjant pofrunął w krzaki ze złamanymi żebrami, drugi nie zdążył przeładować karabinu. Przerzuciła policjanta przez ramię i klasycznym ciosem w splot nerwowy nad uchem pozbawiła przytomności. - Sru!

Ruszyła przed siebie. Po kilkuminutowym biegu poczuła się bezpieczna. Dopiero wówczas zauważyła, że przez cały czas trzymała w ręku pluszowego smoka z gabinetu Men Ru. Maskotka, wciśnięta w rękaw, wyglądała jak po przejściach: ubabrana ziemią i porwana. Pogłaskała ją. Pod palcami wyczuła coś twardego. Oderwała poluźnione szwy i ze zdumieniem wyciągnęła z pluszu lekko pękniętą dyskietkę komputerową.

Hotel spał. Wzięła prysznic i bosa, zaintrygowana, uruchomiła komputer. Men Ru okazał się człowiekiem przewidującym: "Pozostawiam wiadomości na dyskietce na wszelki wypadek, gdybym z bliżej nie określonych powodów nie mógł przekazać ich osobiście pani Góreckiej".

Dyskietka, pewnie jedna z kilku zaszytych w zabawkach, zawierała kilkanaście stron politologicznego tekstu. Men Ru kreślił w nim przyszłość Chin: doniosłą i mocarstwową, zarazem zagrożoną od wewnątrz rozgrywkami frakcyjnymi w partii komunistycznej. Nie podawał nazwisk, tylko instytucje, uwikłane w gierki polityczne wokół zbliżającej się wizyty papieża. Góreckiej to wystarczyło. Odcedziła esencję z wywodów Men Ru i po śniadaniu wysłała do Warszawy zakodowany przekaz: "Potwierdzam, że wbrew zadeklarowanej zgodzie na przyjazd Papieża, władze chińskie podjęły starania o storpedowanie tej wizyty. Zadanie powierzono prawdopodobnie Yang Bingowi, szefowi Guojia Anquanbu. Chodzi o wytworzenie atmosfery antykatolickiej, uniemożliwiającej Papieżowi przyjazd. Za wybryki nacjonalistyczne odpowiedzialne są bojówki Guojia Anquanbu, a nie Bogu ducha winne grupy typu Fuk Ching. Porwano albo aresztowano, cholera wie, wiceministra Men Ru, mającego kontakty z chińskim wywiadem i Gonganbu. D-12".

Rozdział VI

Zoecke odkręcił termos. - Napijesz się?

- Nie, nie potrzebuję - odpowiedział mężczyzna za kierownicą. - Obyś się po tej kawie, bracie, nie posikał. Za dużo pijesz.

- A tobie w tym pierdłu dawali kawę? - Zoecke wychylił chciwie kubek z parującą inką.

- Pewnie, że dawali.

- Od całego Garbalina dostawałeś honory. Wiem o tym. Pojedyncza cela, czekoladki, przepustki do dziewczynek łęczyckich i łódzkich. Ha!, wywczas. Klawisze robili za kumpli, biorąc cię za bohatera, za faceta z jajami, co to sam wymierzył sprawiedliwość, kiedy prawo nie mogło. Tak było?

Mężczyzna skinął głową z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Zmrużył na chwilę oczy, oślepiiony światłami z naprzeciwka. - A tego Gronę to ja jeszcze dorwę!

- Czego chcesz od chłopaka? W końcu był przyjacielem "Ryżego". Opuściłbyś.

- Sypnął, że zabiłem z premedytacją. Bez jego zeznań by mnie nie zakratowali.

- A co, nieprawdę powiedział? - Zoecke poklepał mężczyznę po kolanie. - Nie mów, że ci żal munduru. Jako ochroniarz w mojej firmie zarabiasz trzy razy więcej.

- W twojej firmie?

- Tego firma, czyje pieniądze. Formalnie emeryta Rybarczyka. A naprawdę... Czemu ciebie, kryminalistę, zatrudnił? Bo dobrze wspominają cię gliny z Mysłowic? Gówno. Wziął ciebie, bo to ja płacę pensje, jasne? To ja organizuję zlecenia na ochronę obiektów najlepszych firm. To moje pieniądze. Teraz powinienes zapytać, po co ja to robię. Po co daję zarobić inspektorowi na emeryturze i byłemu nadkomisarzowi po kryminale? Powiem szczerze. Mam do was słabość - Zoecke parsknął śmiechem.

- Wiesz, Hendrik, będę powoli wycofywać się z interesów Sieci. Pal sześć forsa, ale lata lecą. Już mi się nie chce.

- Kotecki, nie denerwuj mnie. Nie igraj ze mną.

- Bo co?

- Bo ci sam Reinert nie pomoże.

Kotecki chciał gwizdnąć, lecz tylko dmuchnął przed siebie.

- Wiem, wiem - machnął ręką Zoecke. - W każdym razie szykuje się coś nowego dla Reinerta. Daj mu znać.

Kotecki faktycznie tęsknił za mundurem. Czuł się źle w uniformie security, w którym tracił węż psa gończego. Ostrzegał siebie samego, by nie ulegać łatwiznie, szukać zagrożenia, bo bez tego zginie.

Port we Fromborku czuwał. Na redzie bujała się żółta łajba z antenami na masztach, odsypiając trud całonocnego rejsu. W chwilę po tym, gdy poranna zorza oświetliła brzeg, włączono motory i łódź wolno zaczęła zbliżać się do przystani. Nie odróżniała się niczym od kutrów rybackich, powracających zwykle o tej porze do bazy z bałtyckich łowisk.

- Komandir Danczenko nie zawodzi - zawyrokował Zoecke.

Kotecki podprowadził wóz jak najbliżej kanału. Gdy kuter zacumował, uruchomił żuraw samochodowy. Przeniesienie trzech skrzyń z ręcznymi wyrzutniami rakiet SA-18 trwało chwilę, dokładnie tyle, ile czasu zabrało Zoecke przywitanie się z szyprem w czarnej pelerynie, podtrzymanie go na duchu: - Ty, Szulkin, nie bajus! - i wręczenie pieniędzy. -

Pozdrowienia dla komandira Danczenki. - Silniki TIR-a i łodzi zawyły.

Podpułkownika Rzymka wyrwano z łóżka o czwartej nad ranem z wiadomością, że szef kompanii wywiadowczej gdańskiej policji, podinspektor Bocian, podniósł dyżurny śmigłowiec i skierował go nad morze. Rzymek uderzył rękami po udach. - Teraz ich mamy. Do dechy! - zawołał do kierowcy. - Nie podejmować interwencji bez rozkazu - przypominał przez radio dwóm czarnym volkswagenom, podążającym za podejrzanym TIR-em.

- Mamy przygotowaną blokadę w Pióropuszniewym Jarze, przed krzyżówką we Włóczyskach - relacjonował ze śmigłowca major Rumiński. - Punkt krajobrazowy bez pola na manewry. Idealny według podinspektora Bociana.

- Dobrze.

- Obserwowany TIR wjechał na stację benzynową. W szoferce dwóch facetów. Kierowca wysiadł - odezwał się patrol z jednego z volkswagenów.

- Nie podjeżdżać. Mińcie stację i poczekajcie w lesie. Ja zbliżam się do blokady - przekazywał Rzymek.

- Uwaga, obiekt wyjeżdża...

Na zakręcie Pióropuszniewego Jaru Kotecki zobaczył kilka samochodów policyjnych, blokujących drogę. Przyhamował. Przed pasem kolczatki zjechał na pobocze. Kilku funkcjonariuszy spec-służby z bronią maszynową i w kominiarkach podskoczyło do szoferki.

- Ręce na kark, w górę, w górę. I wysiadać!

- Co się dzieje? Szukacie kogoś?

- Ręce, ręce!

- Proszę wyjaśnić. A gdzie dowódca?

- Milczeć!

Od strony blokady zbliżył się oficer w mundurze polowym.

- Ręce nam mdleją...

- Przeszukać!

Policjanci obmacali kieszenie zatrzymanych.

- Możecie, panowie, opuścić ręce. Jestem podinspektor Bocian. Proszę panów o dokumenty i listy przewozu.

Pod czujnym okiem jednego z komandosów Kotecki podał wszystkie papiery ze skrytki w drzwiach.

- Pan Kotecki i pan Zoocke? - czytał służbowo Bocian.

- Zoocke - poprawił Zoocke.

- I co panowie takiego przewozicie? Ryby?

- Tak.

- Proszę otworzyć ładownię. Ostrożnie...

Spec-policjanci unieśli karabiny, kiedy Kotecki otwierał właz ładowni.

- Co jest w tych skrzyniach? - Bocian wskazał na połyskujące pojemniki.

- Ryby.

- Otworzyć!

Dwie skrzynie wypełniały śledzie, a jedną dorsze i sole. - To nocny połów. Jak się pośpieszymy, to jutro ryba trafi do klientów - wyjaśnił Kotecki.

- Śpieszno wam, tak? - podinspektor Bocian chodził nerwowo w tę i w tę. W międzyczasie kilku policjantów penetrowało samochód od środka. Wyskoczyli na drogę i rozłożyli bezradnie ręce.

Bocian odwrócił się od Koteckiego na pięcie i ruszył ku blokadzie, przy której przestępowali z nogi na nogę Rzymek z Rumińskim. - Gówno. Niczego tam nie ma.

- Co takiego? Pokaż papiery.

- Bez zarzutu.

- Ryby - Rzymek wczytywał się w kilka stron druków, jakby chciał wyuczyć się ich na pamięć. Spociał się przy tym i zbladł. Podał papiery majorowi Rumińskiemu: - Popatrz,

kurwa.

Bocianowi odezwało się radio w samochodzie: - Panie inspektorze, przykro nam, ale ten kuter się wywinął. Wypłynął ze strefy, a dalej, to wie pan, nie było rozkazu. Odmeldowuję się. Bez odbioru.

- To nie mamy zupełnie nic - Bocian kopnął kolczatkę. - A panowie co tacy przestraszeni. Nie pierwsze śmierdzące siki w karierze.

- Ci goście nie handlują rybami.

- Naprawdę? A skąd taka przepowiednia?

- Znamy się - Rzymek poprawił mundur. - Pogadam z nimi.

Kotecki przyglądał się uważnie nadchodzącej postaci, a kiedy rozpoznał Rzymka, przełknął ślinę i skrzywił się nieświadomie. - Dzień dobry. Niecodzienne spotkanie.

- Daleko pana zanosło.

- A pan to kto? - Zoecke nie wytrzymał. - Stoimy tu i stoimy. Ryby ześmierdną.

Klienci...

- My się z panem, widzę podpułkownikiem, znamy ze starych czasów - przerwał Kotecki.

- Chyba że tak.

- A my tu ścigamy przemytników broni - westchnął Rzymek lekko. - Przy tej granicy aż roi się od takich. Nie spotkaliście ich, panowie?

- Nie - Kotecki i Zoecke machinalnie wzruszyli ramionami.

Rzymek roześmiał się sztucznie: - Musimy być ostrożni. I chuchać na zimne. Dlatego, panowie, jesteście zatrzymani na dwadzieścia cztery godziny do wyjaśnienia - Rzymek skinął na dwóch, stojących obok policjantów, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kotecki zaniemówił. Za to Zoecke zaklął siarczyście: - Fuck off! Kurwa, odbiło wam? Jestem poważnym biznesmenem, obywatelem niemieckim. Wiecie, jakich ludzi znam? Jeszcze mnie popamiętacie - rzucił się, gdy zakładano mu kajdanki.

Rzymek umówił się z Rumińskim następnego dnia.

- Zrobili nas jak dzieci.

- I wiesz, co się stało?

- Wiem. Podmienili TIR-y. Rozumiesz? Nie skrzynie, lecz TIR-y. Jednym wozem wjechali na stację benzynową, a drugim wyjechali. Tam jest taki garaż...

- I Bocian nic o tym nie wiedział?

- Sam widzisz. Teraz będzie nadawać, że to my spartoliliśmy akcję i musiał gnojków wypuścić.

Śląsk witał mżawką. W pociągu Rzymek przecierał co jakiś czas szybę, by odczytywać nazwy mijanych dworców. W oczach miał Koteckiego. Tego sprzed lat, o którym z podziwem opowiadano w Mysłowicach. Młodzi policjanci widzieli w nim herosa. A potem ten Zoecke i jego rozmowa z Koteckim, podsłuchana w mysłowickim Ratuszu. To jasne, oni znali się od dawna. Rzymek strzelił dłonią o biodro. Co takiego łączyło międzynarodowego szuję Zoecke z prowincjonalnym gliną? Handel rybami?

Zaczął kreślić strzałki między nazwiskami: Kotecki - Pałka - Wende, czyli "Ryży" - Zoecke. Przy Zoecke dopisał: "chińskie prerogatywy". Na końcu strzałki, odchodzącej od Zoecke, umieścił Reinerta. "Ryży" - Zoecke - Reinert... Usilnie rozcierał dłonią czoło. Między "Ryżego" i Zoecke wstawił Koteckiego: "Ryży" - Kotecki - Zoecke - Reinert. Zmienił kolejność i zrobiło się mu gorąco: Zoecke - Kotecki - Reinert. Może tędy wiodła droga do Reinerta? Tędy, czyli przez Koteckiego!

W archiwum poprosił o dostarczenie akt. Puknął palcem w stół. - Wiesz, czyje to papiery? - zapytał dyżurnego.

- No, tego komendanta z Mysłowic, co rozwalił bandytę, a potem musiał to

odpokutować.

- Odpokutować?
- Pieskie prawo. Bo jeśli o mnie chodzi...
- Dość.

- Ja mieszkam w Mysłowicach, wiem, co mówili chłopcy w komendzie. A czasami to widzę tego Koteckiego w kościele. Zdaje się, że pracuje w firmie ochroniarskiej, kupił mieszkanie i dobrze mu się wiedzie. I w porządku.

Z akt wiało szablonem i bylejakością. Rzymek postanowił więc ruszyć Lipkę. Na każde wspomnienie tego ubeka kłął szpetnie, lecz nadszedł czas spłaty długów. Chudy, z latającą grdyką Lipko podawał się za nauczyciela fizyki, wyrzuconego na bruk za poglądy polityczne. Rzymek namierzył go, gdy deliberował z działaczem podziemnej "Solidarności" z kopalni "Manifest Lipcowy". Stan wojenny dogorywał, a on wypytywał przy kuflu piwa w katowickiej "Marysieńce", jak założyć "Solidarność" w szkole, jakie zadania podjąć, do kogo się zwracać na szczeblu regionu, jak organizować zebrania i druk bibuły. Działacz dzielił się doświadczeniem, chwalił sprzętem poligraficznym, przemycanym z Zachodu, i sposobami jego ukrywania.

Potem Lipko założył podziemną "Solidarność" w kilku szkołach, służba bezpieczeństwa przejęła cały sprzęt nielegalnej poligrafii z kopalni "Manifest Lipcowy" i aresztowała kilka osób. Rozmówcy Lipki nie ruszono.

Rzymek, podówczas na stażu w wywiadzie wojskowym, sprawdził kolegów z "bezpieczeństwa". Okazało się, że rozpracowywali oni "Manifest Lipcowy" od dawna, a poza tym... o podziemnych strukturach nauczycieli nic nie słyszeli.

Postanowił przycisnąć Lipkę na własną rękę. Chodził za nim krok w krok, zdejmował kontakty i patrzył z niedowierzaniem. Nauczyciele działali. Ich teksty rozpowszechniało radio "Wolna Europa". Jakiś czas później usłyszał na służbowej operatywce, że wschodniemieckie Stasi poddało w wątpliwość operatywność, skuteczność i lojalność polskiej służby bezpieczeństwa, zarzucając jej tolerowanie działalności antysocjalistycznej w kluczowym ideowo środowisku nauczycielskim.

Było dość późno, gdy zapukał do drzwi Lipki. Gospodarz wpuścił go, nie wyjmując ręki z kieszeni szlafroka. Rzymek nie przestraszył się i burknął, że on strzeli pierwszy. I wtedy stało się coś dziwnego. Lipko roztopił się jak wosk. Był rozklekotanym starcem, mającym za sobą życie i pytania o dobro i zło. Zaprosił Rzymka do stołu z wódką i zakropił wspomnieniami.

Był Bojkiem, a jego historia wirowała wokół beznadziei. W dzieciństwie śniła się mu po nocach kromka białego chleba. Wymarzone jutro przyniosła Armia Czerwona. Nadał się do NKWD, lecz na krótko, bo wojska sowieckie uciekły na wschód. Chciał być z bliskimi i został we wsi, tylko że sąsiedzi ukarali go pręgierzem w imię politycznej edukacji i za NKWD kazali rehabilitować się w UPA. Po pół roku zbiegł z oddziału, kiedy jego bojowce żuli buty z głodu. Złapali go Niemcy, porozmawiali grzecznie, nakarmili, więc wstąpił do Waffen SS. I tak przeżył, pilnując obozu w Jaworznie. Potem przez długie miesiące ukrywał się w lepiance przed komunistami. Wydali go Ślązacy. W śledztwie wyrwano mu paznokiec. Przysłał na współpracę z UB, bo chciał żyć, pracować i służyć. Dobrze mu szło, aż przyszedł czas, że zakochał się. Ślub wziął cichy, w cerkwi. Po roku jego kobieta przyznała się do pracy dla Stasi. Kiedy urodziła bliźnięta, przejął jej zadania. Co wieczór, podczas pacierza greckiego, sprawdzał z ulgą, że wciąż żyje.

Rzymek oniemiał. Na własne życzenie grał rolę w czyjejś tragedii. Współczuł człowiekowi, a w rzeczy samej chciał napić się z nim wódki. Pragnął dostąpić zaszczytu wzniesienia razem z Lipką toastu: nic, co ludzkie, nie jest nam, agentom, obce. Dostąpił tego prawa. Wtedy, po toaście, świadomy nieskończonych wymuszeń losu i miazmatów Palca Bożego, odrzucając złudzenia, przebył smugę cienia.

Co innego Górecka. Byli wtedy parą, na widok której pohukiwał puszczyk i stukąła

kukulka. Opowiedział jej o Lipce. Wybuchnęła. Dlaczego postanowił kryć faceta? Taką kreaturę, sprzedawczyka i moralnego gnojka. Po prostu wroga. Powiedziała mu w twarz, że z niego taki sam gnojek i nihilista. Dewiant moralny. Abnegat. Komu służył? Wrogowi i zdrajcy podał brudną rękę. Ona z brudasami nie chciała mieć nic wspólnego.

Nie zrozumiała, że czuł wdzięczność dla tego człowieka, bo przy nim dojrzał do swego fachu.

Jakże byli wtedy młodzi. I już nie mogli być razem.

A teraz, po latach, miał gościa dopaść. Klasnął w dłonie aż zabolalo: - Dopierdolę mu, jeśli mi nie pomoże.

Lipko nie mieszkał pod starym adresem. I: "aktualnego adresu brak". Miał ochotę zmieszać z błotem archiwistów z centrali. Nie miał pojęcia, gdzie szukać. Straciłby rok w centralnym rejestrze meldunkowym kraju, nim doszedłby, który to Lipko. Wiedział jedno, że staruszek nie przypadkiem zapadł się jak kamień w wodę.

Rano zaświtało mu w głowie, że facet mógł zrezygnować z adresu, nazwiska, lecz nie z emerytury. Po całodniowych korowodach dotarł do banku, do którego zakład ubezpieczeń przelewał emeryturę Lipki na numeryczne konto. Prezes banku opierał się przed ujawnieniem zastrzeżonego adresu. Rzymek wyjął pistolet i strzelił w uchylone okno. - Adres! - ryknął. - Tu nie Szwajcaria. - I dostał, co chciał.

Ulicę Warmińską w Kętrzynie zasłaniały młode lipy. Rzymek pokonał zardzewiałą furtkę, pogroził psu na łańcuchu, który mimo to nie zaszczekał, i zastukał mocno w drzwi, ponieważ dzwonek w ścianie niskiego domu nie zadziałał. Na ganek wyszła koścista kobieta w fartuchu na biodrach. - Co?

- Tu mieszka pan Lipko? Ja do niego. Zastałem go?

- Kto? - zapytała kobieta, wycierając ręce w fartuch.

- Lipko.

- Nie ma tu takiego.

- Jak nie ma. A kto tu mieszka? - Rzymek zdenerwował się.

- A pan co taki ciekawy?

- Przepraszam, ale taki miałem adres.

- Nasz stary pastor Linde wynajmuje u mnie kwaterę - poinformowała kobieta. - To każdy tu wie. Pan z daleka?

- Z Warszawy. Pastor?

- A tak. Mamy tu zbór ewangelicki. Pan nie ewangelik?

- Nie... A od dawna pastor tu mieszka?

- O, od bardzo dawna.

Rzymek wycofał się, oparł plecami o najbliższe drzewo, aby zebrać myśli do kupy. Zamiast Lipki miał lipę za plecami. Stał i użalał się nad sobą. Lipko, lipa, lipny adres, pastor Linde. Odwrócił się, by odejść, gdy doznał olśnienia. Przypomniał sobie, że linde to po niemiecku lipa!

- A pastor kiedy wróci? - zapytał, wywołując gospodynię ponownie na ganek.

- Wróci, czekam z obiadem. Pan chce coś od pastora?

- Właśnie.

- To proszę, proszę, niech pan poczeka. Zrobię panu herbatę.

Po pół godzinie zajechał pod okna polonez, pamiętający PRL. Wygramolił się z niego stary, przygarbiony mężczyzna, jeden z takich, co z racji wieku nie powinni siadać za kierownicą.

- Ktoś na pastora czeka. Obiad ostygnie - poinformowała ze strapieniem kobieta.

- Kto? Z urzędu? - pastor niedostyszał.

Rzymek stał przy oknie, odwrócony plecami.

- Pan do mnie? Jeśli w sprawie kanalizacji, to ja...

Rzymek odwrócił się. Jego oczy błyszczały. - Tak. Ja do pastora.

Starzec zachwiał się lekko i oparł rękę o poręcz krzesła. Zaczął szybko oddychać, trzęsąc się na całym ciele. Przysiadł na krześle z ulgą, wlepił wzrok w Rzymka i milczał.

- Podam pastorowi obiad. Pan zje? - zaproponowała gospodyni przez otwarte drzwi. Pastor podtrzymał pytanie wzrokiem. Rzymek, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem w kąć ust, przymknął powieki.

- Podaj i panu. Zjemy razem.

Rzymkowi nic tak nie smakowało od dawna jak klopsy w sosie domowej receptury. Poprosił o repetę. Na koniec wypił kawę z herbatnikiem. Syty, tryskał humorem. Podziękował kobiecie za posiłek i wyciągnięty przy stole jak basza, poczekał, aż wyjdzie. Potem zagaił mimochodem: - To pan, panie Lipko, przepraszam, Linde, został pastorem?

- Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień jak ten. Że się pan zjawi.

- Toś pan przewidujący. Bo ja nie wiedziałem. Musiałem!

- Nie rozumiem, po co. Jestem chory, ledwie starcza mi na lekarstwa z emerytury, a tu jeszcze wyciągają pieniądze na kanalizację. Tyle żyję, co pomogę młodemu pastorowi w zborze. Pan, panie..., nie wiem, w jakim pan stopniu.

Rzymek machnął legitymacją służbową.

- Trochę się pan spóźnił. Ja, zrozum pan, to wyłącznie historia - Lipko przytrzymał legitymację, włożył okulary, by obejrzeć ją dokładnie. Po sprawdzeniu wszystkiego, westchnął bardziej do siebie niż do Rzymka: - Niech pan mówi.

- Działał pan tylko na Śląsku?

- Tak.

- Z kim się pan kontaktował?

- To pan wie. Z Nowakiem Wilhelmem. Nie żyje, przed rokiem byłem na jego pogrzebie.

- Z kim jeszcze?

- Z nikim.

- A z Zoecke?

- Nie słyszałem.

- Kto to jest Kotecki? - Rzymek pokazał zdjęcie.

- Nie znam.

- Rozwalił "Ryżego".

- A, wiem. Czytałem w gazetach. Zastrzelił zabójcę policjanta z Mysłowic. Rozumiem teraz. Ale ja nie znałem tych ludzi, chociaż...

- Co, chociaż?

- Był jakiś związek z Mysłowicami.

- Konkretnie.

- Nowak jeździł do Mysłowic. Robił to często, miał tam kontakt. Kiedyś zapytałem go o to wprost. Zaśmiał się. Powiedział, bym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, bo spotkam kogoś, kto nie wypije ze mną bruderszaftu.

- Kogo miał na myśli?

- Takiego jednego. Nazywał się Reinert.

- Czyli wiedział pan o Reinercie? Ale że Mysłowice...

- Tyle, co mówię. Że Reinert może mieć związek z Mysłowicami.

- Czyli co, że tam pojawiał się, zatrzymywał na dłużej?

- To pewne. Bo Nowak wrócił pewnego razu z Mysłowic wyraźnie podenerwowany. O mało co, a straciłby głowę. Tak powiedział. Że otarł się o kogoś niechęcy. A przestraszyć się mógł jedynie Reinerta. W ten sposób pomyślałem sobie wtedy.

- Do kogo Nowak jeździł, gdzie nocował zwykle?

Lipko zaczął wiercić się na krześle. - A skąd mam to wiedzieć? - Wyglądało na to, że wyraźnie stracił pamięć. Powiedziałem wszystko, chyba wystarczy.

- Dość! Pan mnie zna. Pan powie, ja wysłucham. Za to nie zobaczy mnie pan znów

przez dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia lat? - Lipkę rozbawiła perspektywa długowiecznego życia. - Mógłbym sobie chyba życzyć spotkać pana pułkownika za dwadzieścia lat.

- Gdzie zatrzymywał się Nowak? - nacisnął Rzymek.

- Czy wie pan, kim był mecenas Wolfgang Vogel? Musi pan wiedzieć, skoro pracuje pan w tym fachu. Ten Vogel, bez którego nie mogła odbyć się żadna wymiana szpiegów między CIA i KGB, kupił willę w Mysłowicach - Lipko nabrał rumieńców z podniecenia. - Mieszkał w niej mecenas Woyler, który praktykował u Vogela w Berlinie.

Teraz Rzymkowi zrobiło się gorąco. - Więc Woyler... Znam tę willę.

Komendą myślowicką dowodził podkomisarz Wertke, krakus z urodzenia. W gabinecie trzymał lajkonika ze słomy. Aspiranci Malak, Domański i Furtok, przezywani szaszłykami z racji gwiazdek na pagonach, przebitych belką jak szpikulcem z różną, przywitali się z Rzymkiem serdecznie. Usiedli w gabinecie Wertke na naradę. W jej efekcie, w dwa dni później, do willi Woylera zadzwonił nowy listonosz.

Nazywał się Maciek. Był smukłym, niebieskookim młodzieńcem z włosami blond, zaplecionymi w kitkę, i z niebieskim kolczykiem w lewym uchu. Biedak uginał się pod ciężką torbą z korespondencją do mecenasa Woylera i użalał, jak mu gorąco. Mecenas wręczał mu złotówkę przy każdej wizycie, a po tygodniu proponował colę.

Zrozumieli się, patrząc sobie w oczy. Maciek polecił też swego młodszego brata, aby razem miło spędzać czas. W kawiarni, przy lodach z bitą śmietaną, Woyler uśmiechał się do młodzieńców i głąskał ich po rękach.

Spotkali się wieczorem. Wypili kilka kieliszków wina i zrzucili z siebie kuse szlafroczyki. Woyler ślinił się z podniecenia.

- Jaki piękny ogród - Maciek podszedł do drzwi, prowadzących na taras.

- Przycisk z lewej strony - Woyler przypuszczał, że chłopak postanowił opuścić zasłony.

Drzwi otworzyły się jednak. Do środka weszli policjanci z kamerzystą.

Po nocy w areszcie Woylera wyprowadzono na przesłuchanie. - Więc to tak, panie mecenasie - zaczął podkomisarz Wertke. - Przypomnę, jakie pan ma prawa. Po pierwsze ma pan... Idźże, idźże, nic pan nie ma. To nie przesłuchanie. Przekażemy pana do województwa, a tam to już wypytają ze szczegółami.

- Proszę panów. Nastąpiło wielkie nieporozumienie. Upito mnie podstępnie. Wsypano jakiś narkotyk do alkoholu i zaprowadzono do domu. Co dalej, nie pamiętam. To jakaś prowokacja polityczna, bo zapisałem się do...

- Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

- A na jakiej podstawie zostałem zatrzymany?

- Panie mecenasie, no wie pan? Ten chłopak nie miał szesnastu lat.

Woylerowi zaczęły drżeć ręce. - Panowie, to nie tak.

- Pan myślał, że jest starszy?

- Nigdy bym nie napastował...

- Dostaliśmy pańskie dossier, że się tak wyrażę. Za napastowanie nieletnich dostał pan wyrok w zawieszeniu. Okres zawieszenia jeszcze nie minął. Pójdzie pan do pudła jak amen w pacierzu - Wertke zatarł dłonie ukontentowany.

- Panie komendancie...

- Wiem, wiem, jak tam traktują pedałów. Ach, pan wybaczy, przepraszam niezmiernie za wyrażenie.

Woyler, wsiadając do policyjnej nyski, która miała przewieźć go do Katowic, wyglądał na kompletnie załamane. Nie goloną brodę oparł na piersi, ramieniem zaś wycierał łzy, kapiące co jakiś czas z oczu. W połowie drogi samochód zatrzymał się. Wokół

żywego ducha. Woyler zaczął łapać powietrze jak ryba na brzegu. Nie ukrywał przerażenia. Bał się wszystkiego: napaści, gwałtu, samosądu. Okazało się, że zmieniono jedynie rozkazy i zatrzymano się, aby zawrócić. Przesłuchanie miało odbyć się na miejscu przestępstwa, w Mysłowicach.

Mokrego ze strachu, posadzono go na taborecie. - Pij -podstawiono szklankę z wodą. Pił. Wypełniał wszystkie polecenia bez szemrania. - Panowie, zrobię wszystko, tylko dajcie mi szansę. Obiecuję, to się nigdy więcej nie powtórzy - błagał.

- Nie do nas te gadki. Przejmuje pana Centrala - komendant Wertke wskazał na Rzymka. - Od niej wszystko zależy.

- Panie oficerze, musi mi pan uwierzyć.

Rzymek kazał zamknąć drzwi pokoju przesłuchań i usiadł przed aresztantem. Ten skulił się w sobie jeszcze bardziej.

- Coś pan taki przestraszony? Bije tu kto pana, czy co? - Rzymek wpatrywał się w Woylera uważnie.

- Nie, nie, panie oficerze. Nie mam absolutnie żadnych zastrzeżeń. Proszę tylko o trochę wyrozumiałości. Bo ja zginę. Pan rozumie. Mam słabe serce. Nie podołam. Obiecuję na wszystko, że nigdy nic takiego się nie powtórzy. Niech pan mnie ratuje.

- A wie pan, pan mnie przekonał.

- Proszę? - niedowierzał Woyler.

- Pogadamy. Opowie mi pan, co trzeba, a potem kto wie, może zapomnimy o sprawie - Rzymek spokojnie odcedzał słowo od słowa.

- Tak, tak, jak najbardziej, właśnie o to chodzi.

- Jasne?! - Rzymek wrzasnął niespodzianie, podrywając się z krzesła. - Za prawidłowe odpowiedzi dar odpuszczenia. Za błędne... Pan wie, co wtedy pana czeka. - Mecenas zasłonił się rękami.

Rzymek wyjął z szuflady biurka kartkę papieru, długopis i podsunął go Woylerowi. - Wypisz pan nazwiska, pseudonimy, adresy, punkty kontaktowe, zadania pańskie i innych. Proszę o niczym i nikim nie zapomnieć. Szybko, do pisania! Nie patrzeć głupio, lecz pisać! I chyba nie muszę tłumaczyć, że mnie nie interesuje pańskie przyrodzenie.

- A więc to tak?

- Pisać, nie myśleć. Tak czy siak jest pan spalony. Dajemy panu szansę uratowania głowy. Może się pan jeszcze do czegoś nadać. A z chłopcami pogadamy, żeby wycofali zeznania.

Mecenas Woyler wrócił do domu wieczorem. Zamknął za sobą wszystkie drzwi i z ukrytego w ścianie sejfu wyjął pistolet. Naładował go i położył na biurku. Czekał. Do rana nie odważył się zbliżyć do biurka.

- Dziękuję! - Rzymek postawił butelkę wódki.

- Nie ma o czym gadać - wyrwało się aspirantowi Malakowi.

- A ty coś taki prędko, pytał cię kto? - zestrofował go podkomisarz Wertke. - Starsi rozmawiają.

- To nalejmy - chwycił za butelkę starszy aspirant Domański. - Za posterunkowego Marka w roli listonosza. I za jego brata - zarządził Malak niczym nie zrażony.

- I sza! - przypomniał Rzymek. - Nie miejcie do mnie żalu, że nie wiecie wszystkiego. Bo po co to wam? Mało gówien nawrzuć wam na głowy?

- Aby nam nie śmierdziało - wznosił toast Domański.

Prawie godzinę Rzymek prześlęczał nad wydrukami. Wreszcie trzasnął pięścią w stół. - A więc jednak! - Między kolumnami nazw, haseł, cyfr wyłowił z komputerowego billingu Koteckiego powtarzający się kilka razy e:mail: reinert@kuba.com.pl. Trzymał też w ręku adresy, pod którymi pracowały namierzone komputery. Czytał i nie wierzył oczom.

Komputer Koteckiego i komputer Reinerta znajdowały się w Mysłowicach, przy sąsiednich ulicach. Nie miał już teraz wątpliwości, że poprzez byłego komendanta policji wiedzie droga do zawodowego zabójcy, poszukiwanego przez wszystkie agencje świata.

Ze wstępnego rozpoznania wynikało, że mieszkanie Koteckiego stało puste od tygodnia, zaś w mieszkaniu Reinerta ktoś przebywał. Sąsiedzi nie znali go jednak. W nocy zamknięto kwadraty ulic ze wskazanymi domami. Na rozkaz Rzymka: - Nie certolić się, to nie pieszczoty! - pirotechnicy podłożyli plastik C-21 pod drzwi z tabliczką "Reinertowie". O piątej trzydzieści rano Rzymek machnął ręką. Drzwi odfrunęły jak piórko na schody. Komandosi wbiegli do środka i wycelowali broń maszynową w śpiących ludzi. Oślepiona latarkami kobieta nie mogła wydobyć głosu z przerażenia, na sąsiednim łóżku przecierał oczy młody mężczyzna.

Rzymek oparł się plecami o ścianę i patrzył w sufit, kiedy kobieta sadzała syna na wózku inwalidzkim. Chłopak miał dziewiętnaście lat, mimo iż wyglądał na szesnastolatka. Był sparaliżowany od pasa w dół i nazywał się Jakub Reinert.

- Jesteś internautą?

- Tak. Jednym z pierwszych w Polsce.

- I co ci to daje?

- Koresponduję z wieloma ludźmi. To niesamowite wrażenie, wie pan...

- Wiem. To znaczy, nie za bardzo wiem, ale powiedz mi, czy nazwisko Kotecki coś ci mówi?

- Tak. To jeden z moich pierwszych znajomych w Internecie - chłopiec włączył komputer i zaczął przeglądać dane. - Zgadza się. Czasem rozmawiamy. Na przykład o dalekich podróżach, marzeniach. Rozumie pan: pojechać tu, pojechać tam, zgłębić nową dziedzinę wiedzy. Kiedyś, na początku, rozmawialiśmy o Chinach, o Konfucjuszu. Mama przyniosła mi z biblioteki książkę o konfucjanizmie. Dzięki temu zainteresowałem się filozofią. To fascynujące, a ja chcę żyć ciekawie. To nie jest chyba żadne przestępstwo?

Rzymek poklepał Kubę po ramieniu, zaś jego matce przyrzekł naprawę szkód jeszcze tego samego dnia i rekompensatę pieniężną. Przepraszał w co drugim zdaniu, lecz przy opuszczaniu mieszkania nie śmiał popatrzeć jej w oczy.

Do wieczora zdążył przekląć cały świat i wydreptać wszystkie chodniki. Trafił tak do znajomego lokalu pana Yanga. W ostatnich latach bar nabrał blasku i elegancji, serwując chińskie "dary morza" w polskiej aranżacji. Kaczka po pekińsku smakowała po śląsku, a słynny ryż po syczuańsku... jak z torebek. - Taka chińszczyzna, jaki klient - powtarzał pan Yang, dając dowód dalekowschodniej mądrości.

Rzymek nie życzył sobie spotkać kogoś znajomego. Odwrócił się więc zniesmaczony, kiedy ktoś szturchnął go w łokieć. - Dzień dobry. Poznaje mnie pan?

- A, to ty. Co tu robisz, Aniu?

- A pan?

- Szczerze? Wstąpiłem napić się, bo pewien facet zakpił sobie ze mnie.

- Zatem rozerwijmy się po ciężkim dniu. Co pan pije? - nie czekając na odpowiedź, Anna zamówiła dwie whisky.

Nie poznawał dziewczyny z policyjnego sekretariatu. Siedziała przy nim kobieta dojrzała, niezależna, swobodna w każdym geście i zaskakująco atrakcyjna.

- Mówiono mi, że odeszłaś z policji i założyłaś firmę. Jakąś hurtownię papierniczą, czy coś takiego.

- Kiedy to było. Biznesy i ludzie zmieniają się - popatrzyła Rzymkowi prosto w oczy.

- Pan pułkownik taki sam?

- Widziałem się niedawno z twoim mężem.

- Z Malakiem? Pijaczek mały. Co to za mąż? Ani do łóżka, ani do interesu. Tylko mundur do czyszczenia. Od dwóch lat jesteśmy w separacji.

- Nie wiedziałem.

- A kto wie? - wsparła się gorąco na ramieniu Rzymka, tak że poczuł każdy szczegół jej ciała. Pachniały mu jej włosy i bielizna, skropiona markowymi perfumami. - Ja chcę jeszcze czegoś od życia. Wypijemy za spotkanie? - podniosła kieliszek.

- A syn?

- Jasiu ma w Białce wspaniałego dziadka. Dziś pojechali na jakąś wycieczkę. Oni się rozumieją, trzymają sztamę.

- Dla mnie komendant Białko zawsze pozostanie...

- Wiem. Weźmiemy butelkę i pokażę ci, jak mieszkam. Chcesz? - zaproponowała nagle, bez ogródek Ania.

- Chcę.

Obudził się speszony i z kacem, nie do końca rozpoznany. Ania podchrapywała. Białko z Jasiem mieli wrócić z wycieczki dopiero wieczorem.

Wieczorem Rzymek był nad morzem. Dwa trałowce polskiej marynarki wojennej eskortowały rosyjski kuter rybacki, który znalazł się poza swoją strefą połowów. Marynarze obserwowali rybaków przez lornetki, trzymając się bezpiecznej odległości. Podejrzewani o przemyt broni Rosjanie, widząc co się dzieje, krzatali się jak w ukropie. Spychali do wody złowione ryby, na ich miejsce wciągali spod pokładu sześcienne kontenery, okryte gumą.

W powietrzu zawarczał śmigłowiec ochrony pogranicza i po chwili zawisł nad kutrem: "Maszyny stop. Wszyscy na pokład z rękami nad głową". Ale na pokładzie nikt, wydawało się, nie usłyszał głośników. Dalej spychano do morza kontenery, by je zatopić. Pięć skrzyń nie utonęło jednak i unosiło się na falach. Śmigłowiec powtórzył komunikat: "Ręce nad głowę, bo otworzymy ogień". Kilku rybaków zastosowało się do polecenia.

Gdzieś spod pokładu wypaliły jednocześnie dwie ręczne wyrzutnie rakiet. Dwa trafione na morzu stalowe pojemniki z bronią wystrzeliły fontanną wody. Śmigłowiec, obryzany słoną mgłą, zawył od obrotów, obrócił się wokół osi, po czym pośpiesznie wzbił w górę.

Mężczyźni na kutrze załadowali wyrzutnie i odpalili powtórnie. Początkowo dwie, a potem trzy nowe fontanny wody i żelastwa rozprysły się na morzu. Nim płaszcz wodny opadł, do burty kutra dotarła torpeda z trałowca. Wybuch rozerwał łódź, a jej szczątki rozrzucił po morzu.

- Czy coś wyłowiliście, czy ktoś przeżył? - gorączkował się Rzymek na brzegu. Przez długie minuty nie docierały do niego żadne informacje.

- Tak. Ludzi wyłowiliśmy. Czy to wszyscy, nie wiemy. Liczą ich na okręcie - donosił ze śmigłowca podinspektor Bocian z gdańskiej policji.

- Czy coś poza ludźmi? Rozumiesz mnie?

- Nic, niestety.

- Po cholere ta torpeda?

- Myśleliśmy, że celują w nas.

Przesłuchiwani przemytnicy o niczym nie wiedzieli oczywiście, o niczym nie słyszeli, nie znali zawartości ładowni i pakunków, wykonywali rozkazy dowódcy. Dowódca strzelał raketami, a potem poszedł na dno razem z łajbą. - A w ogóle to wiecie coś? - wściekał się Rzymek. - Kto strzelał oprócz dowódcy?

- My widzieli dowódcę.

- Dowódcę. I nic więcej?

- Nicziewo.

- Jak się nazywał dowódca, Danczenko?

- Denis. Familiu nie znaju.

Nie znaleziono żadnych zwłok na morzu. Służby rosyjskie, przyciśnięte odgórnie do muru, aresztowały lejtnanta Danczenkę w Kaliningradzie. Zarekwirowano kilkanaście sztuk

rakiet "Striela", składowanych w jego prywatnym garażu.

Zarzucona pętla zacisnąć się miała tym razem pewnie na szyi Reinerta. - Alarm! - W komlokacyjnym wozie, zaparkowanym na przekątnej parku, wrastającego w dom Woylera, zapaliła się czerwona lampka.

Woyler włączył komputer. Kopcił jednego papierosa za drugim, więc jego tajne pomieszczenie, z ukrytym za flizami wejściem i zmyślnym czujnikiem, reagującym na głos łącznie z dotykiem dłoni, wypełniały kłęby dymu. Komputer ustawił się sam w pozycji startowej, by zaproponować po sekundzie zakodowaną operację: "Wprowadzić <mi>?". Wśród setek dyskietek, nie różniących się między sobą na pozór, Woyler odszukał tę właściwą. Wsunął ją do kieszeni maszyny i nacisnął "Enter". Na ekranie pojawiły się paski, plamy, kolorowe gwiazdki, niczym komety kreślące figury geometryczne. Kod <mi> był szyfrem, nie złamanym przez żadnego hackera.

"Zarządzam tryb 10. Utrata ładunku na morzu i aresztowanie Miszy. Sieć domaga się wyjaśnień. Pan Zoecke wyznacza spotkanie u mnie za 12 godzin. W związku z zadaniem nadzwyczajnym żąda się przybycia "R" w trybie "U". Mecenas".

W instrukcjach służb Stasi tryb dziesiąty oznaczał groźbę dekonspiracji, a tryb "U" wykonanie wyroku. Za literą "R" krył się Reinert. Mecenas Woyler wywołał właściwe adresy skrytek elektronicznych i drżącą ręką nacisnął ponownie "Enter".

Kotecki wrócił do domu w tym samym dniu. Jego komputer migał na przywitanie pomarańczowym światełkiem. Nie zielonym, awizującym pozdrowienia internautów, nie żółtym, pozostawianym przez klientów firmy ochroniarskiej, lecz pomarańczowym. Czekala wiadomość od Woylera.

Odszyfrował tekst i skasował go. Nadzwyczajne przywołanie Reinerta? Wpadka? Widział z brzegu storpedowanie łajby na morzu. Czego chce Woyler z Zoecke naprawdę? Ktoś zdradził?

Wstał i po paru minutach krzątający spostrzegł, że w jego mieszkaniu siedziały nie tylko pluskwy, których jakoś techniczną oceniał nisko, ale także pędraki, wczepione w modem. Nie miał z nimi dotąd do czynienia. Po zastanowieniu się postanowił nie dotykać robactwa.

Było po deszczu. Kotecki przesłuchiwał beztrąsko kałuże, okrążając parkowe trawniki. Niepostrzeżenie wszedł w rabatę kwiatową i przytulił się do blachy zaparkowanego vana. Omalże nie parsknął śmiechem. Za firankami auta, na które padała poświata z willi Woylera, migąła konsola.

Domyślił się wcześniej, że Sieć została namierzona. Spotkanie u mecenasa było pułapką. Pozostawiono ich wszystkich na powierzchni, by zaprowadzili policję do Reinerta. Wiedział, ale musiał to sprawdzić.

- Proszę - Woyler przywitał Koteckiego, kiedy ten stanął w progu. - Pan sam? - gospodarz nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Sam. Reinerta powiadomiłem standardowo. Nie jestem jego niańką, żeby przyprowadzać go za rękę.

- Ależ oczywiście.

- U pana wszystko w porządku, mecenasie? Jak zdrowie? - Kotecki wychwycił u Woylera drżenie głosu.

- Dziękuję - Woyler spuścił wzrok.

Z fotela poderwał się Zoecke. Poklepał Koteckiego po plecach. - Zobacz, co się stało. Zatopili nam towar. Musiałem zorganizować zebranie u Woylera. Czyżby nas wystawiono?

- Myślisz? O tym pogadamy?

- No, tak. Nawet z Drezna przyjechał pan Zieff, wiesz, żeby to wyjaśnić. Jest w salonie. Chodź, poznacie się.

Łysy mężczyzna uniósł brzuch znad fotela i opadł z powrotem w skórzane czeluści. Sapnął: - Ależ jestem ciekawy tego Reinerta. Dałem mu specjalne zadanie i kupę szmalu. Będzie? Zawiadomiłeś go?

Woylerowi, nalewającemu wino do kieliszków, butelka wysunęła się z ręki i pękła. Odkoczył od barku i roztrzęsiony przysiadł na skraju fotela. - Przepraszam. To nerwy - wykrztusił.

- Ależ panie mecenasie, jakie nerwy? Jesteśmy wśród przyjaciół - uspokajał Zoecke.

- Możemy zaczynać? - Woyler wstał nagle. - Kwadrans akademicki minął.

- Nie ma Reinerta - zauważył niezbyt odkrywczco Zoecke.

Woyler popatrzył na Koteckiego, ale ten wzruszył bezradnie ramionami.

- Proszę panów, jesteśmy spaleni.

- Co pan mówi, mecenasie? Niech się pan uspokoi.

- Albo przystaniemy na żądania polskich służb, albo nie - Woyler wyrzucił z siebie te słowa jednym tchem i rozplakał się.

Zieff wyjął cygaro z ust i kaszlnął. Zoecke klepnął go w plecy i odwrócił się do Woylera z twarzą zaskoczonego dziecka. - Nie rozumiem pana.

- Zostaliśmy rozpracowani. Wszyscy. Jednak polskie służby złożyły mi propozycję współpracy. Albo to, albo kraty. Do panów należy decyzja.

- Czyli nasze spotkanie i ta rozmowa...

- Tak.

Przez dłuższą chwilę nikt nie odezwał się słowem.

- Herbaty możemy się napić? - wystrzelił pełnym głosem Kotecki i zebrani wybuchnęli śmiechem.

- Wrobiłeś nas, mecenasu? - mruknął cierpko Zoecke.

- Mają nas w ręku. Tylko pana Zieffa, wiadomo, tknąć nie śmia.

- A co, poprosił o azyl?

- Bo szefowie Sieci wiedzą o wszystkim. Prawda, panie Zieff? To odbyło się ponad nami. Polskie służby dogadały się z Siecią. Przy pewnych tematach będzie współpraca.

- Coś nieprawdopodobnego - Zoecke aż złapał się za głowę. - Jakich tematach?

- Chodzi o przyblokowanie Azjatów na naszym terenie.

- Stąd taka wspaniałomyślność?

- Jest pewien warunek - Woyler usiadł z powrotem na brzegu fotela. - To Reinert. Chcą Reinerta.

Jakby na zawołanie popatrzyli na Koteckiego.

- Co?

- Tylko pan może spełnić to żądanie.

- Mam go wystawić?

- My go nie znamy.

Zoecke obruszył się. - Ale przecież Reinert to nasz as atutowy. Dostał zadanie, szmalu nie odda, robotę wykona na pewno. Czy możemy poczekać?

Zieff, który nie odezwał się dotąd w ogóle, sapnął filozoficznie: - Skoro tak chce Sieć...

- Teraz rozumiem - Zoecke zaczął chodzić po salonie. - Reinert coś przeczuł, dlatego nie przyszedł.

Woyler skinął ponuro głową i rzekł: - Pan Zoecke wybaczy, że nie wszystko mu powiedziałem. Po wpadce na morzu to polskie służby zainspirowały nasze spotkanie. Rozmawiano ze mną w tej sprawie. Przekonano. Chodziło im o osaczenie Reinerta. Niestety, nie udało się.

- Mecenasu...

- Proszę ujrzyć problem we właściwej perspektywie. Zapewniono mnie, że dotychczasowe interesy prowadzilibyśmy nadal. Do pewnego momentu... Mielibyśmy czas

dostosować się. Panowie, im rzeczywiście chodzi tylko o Reinerta!

Zoecke nie przestawał spacerować od ściany do ściany. - Skoro tak, skoro interesy, skoro Reinert dobry, lecz nie jedyny... Pan Zieff, widzę, podziela moje słowa. A ty, Kotecki?

- Co ja?

- To przecież twój kumpel.

- A wasz nie?

- Zakładając, że Reinert wykona to, czego się podjął, dla mnie nie ma sprawy.

- Uzgodnione! - ucieszył się Woyler. - Damy Reinertowi następne zadanie. Takie, że się nie pozbiera. Prawda, panie Kotecki?

Kotecki uśmiechnął się kwaśno.

Goście Woylera wyszli przed dom. Kotecki zapalił papierosa. Noc zdawała się być głucha. Gdy ruszyli ku swoim samochodom, zawył silnik i zza zakrętu wypadł czarny motocyklista z karabinem w rękę. Ciągła seria z automatu przeszła powietrze i z okien willi posypały się szyby. Zawył kilka trafionych aut. Nim przywarli do ziemi, po motocyklicie pozostała jedynie smuga kurzu.

- Co to było?

- Reinert? On wszystko wie! Zmywajmy się stąd, póki czas.

Kotecki znał prawdę. Wiedział, że to nie Reinert strzelał, lecz Grona, stary kumpel "Ryżego". Grona asekurował go na wszelki wypadek. Po sygnale, danym zapalonym papierosem, zadanie wykonał wzorowo. W ten sposób spłacał dług za dawne przewinienia, za zeznania, którymi wsadził komendanta do pierdła.

W następną noc, po hucznych imieninach Aleksandry, córki Woylera, jej hurtownia cytrusów wyleciała w powietrze. Woyler poprosił policję o ochronę przed Reinertem dla całej rodziny.

Reinert tymczasem zajął miejsce w rejsowym samolocie LOT-u do Pekinu. Porachunki z Siecią i Woylerem odłożył na później. Miał do wykonania ostatnie zlecenie. Był siwym, eleganckim staruszkim z austriackim paszportem. Podawał się za Karstena Frankla, turystę, lecącego zobaczyć Wielki Mur.

Rozdział VII

Delegacji watykańskiej przewodniczył kardynał Giusti, postrzegany jako człowiek bliski Papieżowi. Vicino Giusti był jowialnym, czerstwym mężczyzną, znanym ze swych muzycznych zamiłowań. Grywał na gitarze przy kominku, a młodzież wyłowiła go w tłumie fanów kapeli rockowej "Queen". Przyleciał do Pekinu rano, by w kilka godzin zaakceptować szczegóły pielgrzymki Papieża. Chciał zobaczyć głównie ołtarz, przed którym następca świętego Piotra zamierzał beatyfikować zamordowanego kardynała Chen Li.

Makietę ołtarza usytuowano przy bramie Zhongnanhai, prowadzącej z placu Tienanmen do wydzielonej części Zakazanego Miasta z siedzibami władz partii komunistycznej. Przy Zhongnanhai zaplanowano spotkanie Jana Pawła II z Jiang Zeminem i z przywódcą niezależnego Kościoła chrześcijańskiego Kanga Webim. Szacowano, że na nabożeństwo beatyfikacyjne przybędzie około miliona chińskich katolików. Później papież miał przelecieć helikopterem nad Wielkim Murem i odlecieć na Filipiny.

Od kilku godzin przebywał w Pekinie również Reinert. Zebrał potrzebne informacje, a pod adresem, znanym tylko jemu, zaopatrzył się w najlepsze akcesoria. Dzięki starej znajomości z Fuk Ching dysponował nie tylko plastikami różnej mocy, kilkoma karabinkami na podczerwień z dobieraną amunicją, lecz także nowinkami elektroniki. Jego zegarek był przede wszystkim mikroskopijną stacją radiolokacyjną, służącą do odpalania na odległość broni elektromagnetycznej wszelkiej maści. Cacko to potrafiło wychwycić, rozszyfrować, zlokalizować i uaktywnić nawet najslabsze fale. Posiadał też przy sobie kilka niezwyklej pestek, kumulujących energię elektryczną. Pestki te, rzucone o ziemię, eksplodowały i paraliżowały prądem w promieniu kilkunastu metrów.

Kardynał Giusti zaprosił na obiad do użyczonej mu przez władze rezydencji w okolicy parku Beihai jedną jedyną osobę, Danutę Górecką. Wywołało to konsternację u chińskich gospodarzy. Rozdzwonił się telefon: - Nie planowaliśmy kontaktów z prasą.

- Ależ pułkownikowi Lon, miły opiekunie, dziennikarce z ojczyzny mego szefa należy się wyjątkowe przyzwolenie. Chyba mnie rozumiecie? - kardynał uspokajał żartobliwie.

- Ale inne światowe agencje...

- Niech zazdroszczą.

Giusti przyjął Górecką rozluźniony. Za to ona witała dostojnika Kościoła z marsową miną. Nie znali się wcześniej. Kardynał był szczerze zainteresowany kobietą, której zdania miał wysłuchać na specjalne życzenie tajnych służb watykańskich.

- Księżę kardynale, będę mówić wprost - zaczęła ostro. - Chiny to nie szacowny Rzym. Jeśli tam doszło do zamachu na Placu św. Piotra, to tu nastąpi pięć zamachów na raz. I pudła nie będzie, ani cudu. Według moich informacji nie uda się zapewnić Papieżowi niezbędnego bezpieczeństwa w Chinach. Na razie nie gwarantuje bezpieczeństwa żadne lobby, że się tak wyrażę. Pielgrzymka papieska musi zostać odłożona w czasie. Tym samym i przyjazd księdza kardynała jest bezsensowny. To wielka lekkomyślność, że Watykan zaryzykował przyjazd waszej eminencji. Byłam temu przeciwna i nadal jestem. Po co ta wizytacja? Po kiego licha? Czy ksiądz kardynał nie rozumie, że będzie zagrożone jego życie? Prawdopodobnie w Pekinie zamelinował się słynny terrorysta Reinert, by zrealizować plany zabicia księdza kardynała. Proszę zrezygnować ze swoich zamiarów: spaceru publicznego, nabożeństwa czy czego tam jeszcze. I odlecieć.

- Może kawy... - kardynał Giusti spróbował podjąć Górecką pod rękę.

- Ja nie żartuję - odsunęła się od niego. - Proszę nie lekceważyć słów, jeśli lekceważy się kobietę.

- Ależ skąd znowu!

- Dobrze, już dobrze, tak mi się wyrwało. Rzadko rozmawiam z kardynałami.

- Może kawy? - powtórzył kardynał Giusti.

- Proszę. Z tego, co wiem, moje raporty trafiły do Watykanu. Donosiłam w nich szczegółowo o napięciach w służbach chińskich. Jedne służby drugim służbom mają ochotę zagrać na nosie. Pielgrzymka papieska stałaby się pretekstem do rozgrywek wewnętrznych, a do tego nie wolno dopuścić. Również i wizyta księdza kardynała może być pretekstem, aby dopiąć celu.

Giusti nalał kawę do filiżanki Góreckiej. Podniósł się, by sięgnąć po stojący na drugim końcu stołu biały dzbanuszek ze śmietanką. - Dopiąć jakiego celu?

- Chodzi o wzmocnienie wpływów niektórych ludzi w aparacie władzy poprzez wywołanie chaosu i anarchii. Udany zamach na księdza kardynała świetnie by się czemuś takiemu przysłużył.

Krzyż, dyndający na piersiach kardynała, o mało co nie przewrócił filiżanek, w końcu zanurzył się w kawie.

- Pije pani ze śmietanką? - Giusti zapytał zatroskany, z dzbankiem śmietanki w rękach.

Górecka podparła się za czoło i roześmiała: - Tak. Tylko proszę uważać...

- Uważam - kardynał wyprostował się lekko, unosząc krzyż do góry.

- Tak, teraz dobrze.

- A widzi pani. Nic się nie stało.

- Ależ z księdza niezdara - pesymizm Góreckiej gdzieś uleciał. Przytrzymała krzyż i wytarła go chusteczką. - Brakowałoby tylko, by ktoś wszedł i sfotografował nas tu, w tej kawie i śmietanie.

- A co? To coś złego?

- Nie, oczywiście, że nie. Powiem szczerze i dowcipnie, że wolę kawę szatańską, ale pić takiej nie wypadało z osobą wyświęconą niezmiernie wysoko w hierarchii boskiej.

- Czy i ja mogę się do czegoś przyznać?

- Proszę spróbować.

- Krzyż umoczyłem celowo. By panią rozśmieszyć. Wybacz mi pani ten podstęp?

- Mogłam się tego spodziewać... Ksiądz lubi młodzież, ot, ksiądz kardynał nosi w sobie wesołego duszka.

- Może diabełek?

Machnęła ręką na znak, że zamyka pogaduszkę i powie tylko to, co ważne: - Proszę zapewnić, że ksiądz kardynał dostosuje się do wszelkich moich zaleceń, ograniczy do minimum kontakty publiczne, będzie wykonywać polecenia ochrony.

- Zgoda. Przysięgam - kardynał Giusti uderzył się w piersi kilka razy.

Reinert włożył jasną, lnianą marynarkę z szerokimi klapami, pumpy za kolana i sandały na boscie stopy. Na szyi zawiesił kamerę, by niczym nie odróżniać się od amerykańskich czy europejskich turystów. Do kieszeni schował niewielki zraszacz powietrza z niebieską cieczą. Jedna kropla tej cieczy, po zetknięciu się ze specjalną masą chemiczną Vs4, zapoczątkowywała łańcuchowy ciąg wybuchów. Pośpiesznie naciągnął czarną perukę. Czas naglił. Mógł mieć problemy z przedarciem się przez tłumy gapiów w pobliże Zhongnanhai.

Kardynał spóźnił się. Z lewej strony wydzielonego placu niecierpliwili się ekipy telewizyjne CNN i TV5. Wielu kamerzystów przechodziło z kąta w kąt wierząc, że znajdą miejsce, z którego ustrzelą najlepsze klatki. Dziennikarzy prasowych przewyższał o głowę

Langton. Stał spokojnie, z notesem w ręku. Kiedy dostrzegł O'Briena i Dai w jednym z pierwszych szeregów gapiów, podniósł rękę. Dostrzegli go. - Nie widzieliście Dany? - zawołał. Zaprzeczyli głowami.

Na placu zatrzymał się orszak samochodów z czarnym mercedesem pośrodku. Z limuzyny wysiadł kardynał Giusti, za nim jak cień Górecka. - Widzieliście? - Langton pokazywał przyjacielom na migi. - Dana! - Górecka szła za kardynałem krok w krok z mikrofonem w ręku, rejestrując wszystkie dźwięki. Stłoczeni gapie nacisnęli na zwarty kordon policji, który jednak nie dał się przerwać.

Bramę Zhongnanhai zdobiły kwiaty. Projekt ołtarza, który miał być zbudowany w tym miejscu, wykorzystywał architekturę Bramy jako symbolu "wrót do raj" i dla podkreślenia "troski Pana Boga o Chińskiego Smoka". Zawilosci posłania ołtarza tłumaczył kardynałowi Giusti jego twórca, architekt Wu Zhongchao. Dla chrześcijan smoki to gady przeraźliwe, uosobienie grzechu i pogaństwa, dla Chińczyków to dobroczynne duszki powietrza, morza i ziemi, zatroskane o ludzi, pilnujące, by potężne żywioły pomagały człowiekowi. - Nie ma potrzeby walczyć ze smokami - przekonywał Wu Zhongchao, a kardynał Giusti kiwał głową ze zrozumieniem. Górecka, przysłuchując się rozmowie, przypominała sobie o smoku wawelskim, zgładzonym przez szewczyka Dratewkę. Doszła do jednego pewnego wniosku, że nasz szewczyk nie był Chińczykiem.

Makietę ołtarza widać było najlepiej z pewnej odległości. Giusti przesunął się więc do tyłu. Także Górecka cofnęła się o kilka kroków. Stanęli na płytach betonowych, starannie zamiecionych, jakby specjalnie dla nich, i zadarli głowy. Wiatr przywiał niebieską chmurkę, która spokojnie spłynęła na ziemię. Kardynał sięgnął po chustkę, by wytrzeć oczy z gryzącej wilgoci. Łza spłynęła mu po policzku. Wtedy drgnął. Pod jego nogą coś wystrzeliło. Podskoczył. Wybuchło. Stanął na drugiej nodze. Strzeliło. Przesunął nogę. To samo. Posadzka strzelała niby kapiszonami z chłopięcych korkowców, pryskając iskrami, nie czyniąc jednak szkód. Przerażony kardynał podskakiwał nieustannie, wznecając wybuchy po każdym dotknięciu ziemi.

Górecką zamurowało. Wolno rozejrzała się dookoła. Nie tylko kardynał był przerażony. Otaczający ich tłum zamilkł z przejęcia. Niektórzy ludzie zasłonili usta odruchowo, inni chwycili się za ręce dla równowagi, nie wiedząc, czy pod ich nogami coś również nie wystrzeli.

Tylko jedna twarz w ścieśnionym szeregu gapiów uśmiechała się kpiarsko. Należała do mężczyzny w jasnej marynarce, beztrąsko filmującego wydarzenie. Górecka wyteżyła wzrok. Twarz mężczyzny szpeciły stare blizny, czarne włosy peruki zsunęły się mu na bok. Rozglądał się rozbawiony. Kiedy natrafił na jej spojrzenie, spoważniał natychmiast. Ale było za późno. Irracjonalny instynkt podpowiedział, kto to. Wycelowała w niego dwa palce wyciągniętej ręki, lecz do upolowania zwierzyny było daleko.

Dzieliło ich trzydzieści metrów zatłoczonej przestrzeni. Zrobiła krok w jego stronę, nie zważając na strzelające wciąż iskry. On też cofnął się o krok. Zaczęła biec. Wtedy i on, rozpychając się łokciami, przewracając kilku ludzi, wyrwał się z tłumu. - Reinert! - wrzasnęła Górecka - nie uciekniesz mi! - Wpadła na kilka kobiet i wywróciła się razem z nimi. Podniosła się i biegła dalej. Odległość między nią a uciekającym mężczyzną zmniejszyła się. Wydawało się, że dopadnie go za rogiem domu. Cóż, gdy przydeptała fosforyzujące okruchy szkła czy plastyku. Zauważyła je ponieważ: pękły pod nogami jak pestki śliwy. Stała porażona, przeszyta piekącymi igłami energii. W tym czasie plecy jasnej marynarki mignęły na końcu ciasnej uliczki, aż znikły.

Reinert odsapnął. Gdyby nie pestki... Roześmiał się lekceważąco. Walczyłby z kobietą? Przyznał w duchu, że była szybka. Zebrał myśli. Nie zabił kardynała Giusti. Więc co zrobił? Tylko zabawił się z kardynałem. Po co? By pokrzyżować interesy Zoecke. Bo to Zoecke mu szło. Zoecke zdradził go w Polsce, a tu obiecał Chińczykom zamach na Giusti. Jaki ten świat okrągły. Zoecke zapłacił mu za robotę jak zwykle, lecz dawno, przed zdradą u

mecenasa Woylera.

Zawrócił. Był ciekawy, co działo się pod bramą Zhongnanhai. Sypki proszek wybuchowy Vs4, który podsypał w szpary posadzki, wyiskrzył się do końca i spopielił. Kilka kobiet sprzątało plac. Uśmiechnął się do jednej z nich. Odpowiedziała uśmiechem. Była bystrą, korpulentną dziewczyną z oczami jak sadze.

Przysuwał butem kartony po sokach, pety, patyki po lodach, a Chinka zręcznymi ruchami miotelki zgarniała śmieci do plastikowych worków. Za każdym razem dziękowała mu za pomoc. Bawiło go to, póki nie błysnęło mu coś koło buta. Schylił się i podniósł znalezisko. Było to pióro ze złotą stalówką. Przeczytał na złotej obwódce nakrętki drobną, ledwie widoczną grawiurę: "Kardynałowi od Luisy". - Twoje imię? - zapytał Chinki.

- Su.

- Przyniosłaś mi, Su, szczęście - wskazał na pióro. - Masz czas wieczorem? Zabawimy się?

- Lubię chodzić do "Xia". We wschodniej części alei Changan, wiesz gdzie?

W obskurnym pokoju na peryferiach, który wynajmował za grosze od ślepego ze starości Chińczyka, zdjął perukę, umył się pod kranem, po czym z wielką uwagą zaczął przyglądać się pióru. Rozkręcał go i skręcał wielokrotnie. Taki fart!

Spod łóżka wyjął czarną walizkę i otworzył jej drugie dno. Wśród przeróżnych blaszek, kabli, paczek i butelek odnalazł metalową puszkę z napisem "Po-52". Zawierała ołowiany pojemnik z kroplami radioaktywnego transuranowca. Z najwyższą ostrożnością przeniósł mikrokroplę metalu pod nakrętkę pióra. Odczekał aż wyschnie. Wziął pióro do ręki. Wyglądało jak dawniej..., lecz z jednym wyjątkiem. Wybieracz celu, w który wyposażył swój karabin elektromagnetyczny, potrafił teraz namierzyć pióro z odległości trzech kilometrów, a "inteligentna" minirakieta z rejestratorem nadfioletowym osiągała ofiarę, świecącą Po-52, z dokładnością do pięciu centymetrów.

- Może kawy? - kardynał Giusti jadł śniadanie w jasnej, lnianej marynarce.

- Proszę.

- Wyglądałem zabawnie?

- Jak my wszyscy - po wydarzeniu przy Zhongnanhai Góreckiej nie było do śmiechu.

- Tańczyłem rock'n'rolla, tak że o mało spodni nie zgubiłem ze strachu. A ostrzegęła pani.

- Ostrzegęłam.

- Czy wie pani, co się stało? - zapytał kardynał posepnie, nalawszy wcześniej kawy do filiżanek i to bez uronienia kropli.

- Wiem, kto to zrobił. Nie wiem jeszcze, dlaczego?

- Nie rozumiem. Czytałem pani raporty.

- Nie wiem, dlaczego zamachowiec nie zabił księdza kardynała. Nie rozumiem, po co mu ta błazenada.

- Delikatnością to pani nie grzeszy, że tak powiem.

- Czas na delikatności skończył się. To gra o życie.

Do gabinetu zapukał jeden z ochroniarzy. - Dobra nowina - oznajmił radośnie - znalazło się księdza pióro. To, które ksiądz kardynał wczoraj zgubił.

- Wspaniale. Jak to możliwe? - uradowany Giusti podniósł się na krześle.

- Odniosła go na policję pewna Chinka, sprzątajęca przy bramie. Widziała całe zajście, znalazła pióro, skojarzyła kardynała i oddała.

- Czy ta kobieta dostała nagrodę?

- Nie wiem.

- Znacie choć jej imię?

- Chyba Su. Ale nie jestem pewien. Dowiem się.

- Sprawdzone? - wtrąciła się Górecka.
 - Oczywiście. Nie jesteśmy amatorami - rzekł wyniośle ochroniarz i podał pióro kardynałowi.

- Dedykacja, o, tu, widzi pani, to od mojej drogiej, świętej pamięci siostry - Giusti ucałował pióro z miłością. - Zmarła na raka przed rokiem. - Wzruszony, wsunął pamiątkę do kieszeni za lewą klapą marynarki.

Reinert zszedł po gazetę. W "China Daily" wydrukowano w ramce ogłoszenie, które podał: "Na początek kardynał zatańczył. Zadzwoń pod numer: konto minus piętnaście, a po kresce kolejno dodawać: 5, 9, 2, 0, 5". Spodziewał się telefonu od kogoś, kto znał jego konto w "China Bank".

Nie pomylił się. Telefon komórkowy zadzwonił, kiedy przyglądał się szybie wystawowej luksusowego sklepu dla cudzoziemców "Friendship Store". Matowy głos ledwie wybąkał po angielsku: - Czego sobie pan życzy?

- Z kim rozmawiam?

- Dzwonię w imieniu przyjaciela pana Zoecke.

- W porządku. Trzeba porozmawiać.

Przez dłuższą chwilę słuchawka milczała. - Dobrze. Gdzie?

- W Ogrodzie Nastrojowych Zabaw. Odpowiada panom atmosfera? Za godzinę. Niech pan założy żółty krawat. I bez żadnych kawałów.

Wyrzucił komórkę do kosza, by za rogiem kupić następną. W ten sposób unikał groźby namierzenia i identyfikacji.

Do Góreckiej wpadł podekscytowany O'Brien: - Widziałas "China Daily"? Dai kazała mi popędzić do ciebie - wskazał palcem ogłoszenie w ramce.

- Widziałam. A ty coś taki mokry?

- Biegłem, spociłem się. Przecież to jasne, że chodzi o kardynała Giusti.

- Jasne.

- Coś musi się kryć za tym.

- To nie wiesz? Reinert szuka kontaktu. Machina zacięła się.

- Reinert. Kto to?

- Zawodowy morderca.

- Ten zamachowiec, tak się nazywa? Skąd wiesz? Myślisz, że to on dał ogłoszenie?

- A ty nic nie wiesz i nic nie myślisz? Sporo wypytyujesz, panie biznesmenie.

- Nie rozumiem.

- Dobra, grajmy swoje. Wkurza mnie to, ale dobrze. Powiem ci tak: poznam gębę Reinerta na końcu świata, choćby włożył sto peruk, sto szkieł kontaktowych i raził prądem. Dopadnę gada.

- Jak to, ty?

Górecka popatrzyła matowo na O'Briena, który perorował niczym nie zrażony, że łapaniem zawodowych morderców zajmują się wyspecjalizowane służby policyjne. Przesadna dociekliwość dziennikarska może narazić na prawdziwe niebezpieczeństwo nie tylko ją, ale też jej przyjaciół.

Kiedy skończył, Górecka nie wytrzymała: - Słuchaj, John, czy jak tam się nazywasz. Irytuje mnie to, że robisz ze mnie idiotkę.

Złapała oddech, po czym rzekła spokojnie: - Oboje wiemy, w co gramy, a ty traktujesz mnie jak głupią babę z dalekiej Polski, przed którą możesz odgrywać swą rolę. Nie ja pierwsza wspomnę o Roku Smoka i Żółtej Rzece. Chyba pamiętasz? Grasz akwizytora farmaceutycznego z coltem u boku jak Mały Jo, zasuwanego za mną wieczorami buzerskim

lamborghini. I niby po co? Myślisz, że nie domyśliłam się? Po co te fantasmagorie?

- Przepraszam cię, Danuta, ale nie wiem, co ty do mnie mówisz. Kto za tobą jeździ? Nie ja jeden mam lamborghini. Jakie fantasmagorie? Mija Rok Smoka, wysycha Żółta Rzeka, i co z tego? W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie twoja robota, to Dai pyta ciągle o ciebie, interesuje się, co porabiasz. Przeczytała ogłoszenie o kardynale i kazała mi biec do ciebie od razu.

- I nie wiem, co mówię?

- Jesteś bardzo zdenerwowana, przemęczona wydarzeniami. Przepraszam, wybacz, ale radzę ci jak kumpel, nie mieszaj się w sprawy poważne. Pamiętasz? Raz o mało nie skończyłoby się to dla nas fatalnie. Chyba nie zapomniałaś? Oczywiście zawsze możesz liczyć na moją pomoc. I na pomoc Dai. Jej na pewno. Nawet nie wyobrazasz sobie, jak głęboko zapadłaś jej w serce. Jesteś dla niej jak guru. Bez przerwy ciebie wspomina.

- Jak chcesz, poddam się - powiedziała Górecka i zrezygnowana wyszła z pokoju.

W głębi duszy była zła na siebie. Po cholere pchała się z kopytami w grę O'Briena? Miał przyjść pierwszy z hasłem: "Niebezpieczny będzie ten rok 2000, Rok Smoka"? Nie przyszedł. Z jakiegoś powodu nie zaniechał kamuflażu. Powinna to zrozumieć i uszanować. Przecież już raz ocalił jej skórę bez wykrzykiwania o CIA. Agenci powinni grać po swojemu. Każdy po swojemu. Doszła do wniosku, że O'Brien miał rację. Milczał, albowiem zbędne gadanie nie było potrzebne do działania.

Reinert stawiał się w Ogrodzie Nastrojowych Zabaw przed czasem. Wyglądał jak stary, wynędzniały Chińczyk w łachmaniarskich spodniach i koszuli oraz w wielkim, słomkowym kapeluszu, zasłaniającym połowę twarzy. Rozglądał się dookoła, ale nic nie wzbudziło jego zaniepokojenia. Ogród płakał po niedawnym podlewaniu, rosząc przy wietrze nielicznych spacerowiczów.

Na końcu alejki pojawił się młody człowiek w żółtym krawacie. Reinert pozwolił mu czekać ponad kwadrans, póki nie sprawdził wszystkiego jeszcze raz. Wyłonił się zza wzgórka zieleni wówczas, kiedy młodzian chciał odejść. - Nie bój się, to ja - przytrzymał go za rękę.

- Aha. Czekałem. Tak jak pan chciał.

- Dobrze. Kim jesteś?

- Tran. Przysyła mnie Yang Bing. Szef pyta, co się stało.

- Co się stało? Nie dostałem pieniędzy.

- To niemożliwe.

- Widzisz, bracie, nic nie jest niemożliwe. Powtórz szefowi, że straciłem zaufanie.

- To ja prowadzę księgowość szefa. Pana pieniądze zostały zadysponowane normalnie. Dokładnie tak, jak w przypadku honorarium za wyeliminowanie kardynała Chen Li. Korzystając z pośrednictwa pana Zoecke, kupiliśmy za gotówkę pewną nieruchomość. Nie otrzymaliśmy od pana Zoecke informacji o ewentualnych komplikacjach...

- Nie dziwię się. Powiedz Yang Bingowi, że stało się coś z Zoecke. I że musimy się spotkać. Chyba rozumiesz?

- Nie rozumiem. Pan Zoecke cieszy się pełnym zaufaniem szefa.

- Mamy mało czasu, a trzeba wyjaśnić nieporozumienie. W przeciwnym wypadku...

- Co? Kardynał Giusti przeżyje?

- Właśnie.

Po odejściu Trana Reinert ściągnął z drzewa ukrytą kamerę. Miał teraz wiele do powiedzenia Yang Bingowi. Od tej rozmowy dzieliło go popołudnie, które postanowił poświęcić na zwiedzanie okolic placu Tienanmen.

Służył mu ruch, panujący wokół, i dające się odczuć, lekkie podniecenie ulicy. Służby porządkowe stawiały słupki drogowe i wiązały je linami, wyznaczając teren uroczystości. Msza święta, odprawiana przez kardynała Giusti ku czci zamordowanego kardynała Chen Li,

zgrupować mogła kilka tysięcy ludzi. Jako elegancki turysta z Europy, zafascynowany kulturą Wschodu, rozglądał się wokół, ale głównie po domach. Wieżowce wydały mu się zbyt odległe, supermarkety zbyt niskie i płaskie. Ryzykowny sam w sobie strzał z tłumu nie gwarantował mu ucieczki. Nie szukał długo. Kiedy robotnicy ogrodzili plac linami, uśmiechnął się zadowolony. Skonstatował, że jak zwykle najciemniej bywa pod latarnią.

Nad placem Tienanmen górował trzydziestometrowy balon McDonald'sa. Pomimo wcale nie małego wiatru, który niósł kurz żółtego piasku z pustyni Gobi, stał on niemal nieruchomo. Przypominał jako żywo olbrzymiego smoka, bardziej zielonego niż szarego, strzygącego białymi siekaczami i mrugającego brązowym okiem przy każdym załamaniu światła. Nad nadmuchanym gadem przerzucono czerwoną szarfę z żółtymi gwiazdami, co dodawało smokowi państwowej powagi w chińskim roku pod znakiem Smoka.

Balon przytrzymały trzy stalowe liny, zahaczone na dachach sąsiednich wieżowców. Do wnętrza balonu prowadził otwór pokaźnych rozmiarów, z którego zwisała drabinka. Otwór ten zaprojektowano pod nadmuchanym ogonem smoka, by służył jako wejście do wydzielonej sterowni, regulującej elektronicznie skład ilościowy i ciśnienie gazów w balonie. Dla Reinerta było jasne, że skomplikowana konstrukcja balonu stanowi świetną kryjówkę dla jego broni.

Wieczorem zadzwonił Tran. Poinformował, że Yang Bing czeka na niego w swej posiadłości "Cui Zhen" pod Pekinem. Znalazł to miejsce. Dom Yanga chował się w ogrodzie. Kilka psów bawiło się kamieniem na dziedzińcu. Yang siedział na ganku. Kiedy Reinert wysiadł z samochodu, gospodarz krzyknął na psy, które natychmiast pierzchnęły za rząd krzaków. Gdzie jak gdzie, ale tam były bezpieczne. Dwóch ochroniarzy podeszło do gościa, by go zrewidować. Ten zatrzymał ich wzrokiem. Sam wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki osobistego tokariewa, po czym schował broń z powrotem. Stał nieruchomo i czekał. Yang machnął ręką w kierunku ochroniarzy. Ci rozstąpili się, dając mu przejście.

- Witam pana w moim skromnym domu - Yang skinął głową. - Niewielu ludzi tu zagląda, a i ja nie za często mam na to czas.

- Piękny ogród - pochwalił Reinert.

- Tak. To moja duma. Sam sadiłem drzewa przed wielu laty.

Usiedli przy okrągłym stole, przykrytym obrusem w kwieciste hafty. Za plecami Yanga stanął ochroniarz z ręką, schowaną pod marynarką. Młoda Chinka postawiła na stole dzbanek z zieloną herbatą cui zhen i filiżanki. - To herbata z mojego ogrodu. Musi pan popróbować - poprosił Yang.

- Oczywiście.

Napełnili naczynia.

- Prawda, że świetna? - Yang siorbał napój małymi łydkami, dmuchając na gorące.

- Co za aromat - pochwalił Reinert i popatrzył na Yanga z drwiną w oku. Gospodarz wyłapał to spojrzenie.

- Pan się niecierpliwi?

- A skądże.

- Zdążymy. Rozmowa nie zajac, nie ucieknie. Ale do rzeczy - zdecydował Yang. - Gdzie są pieniądze? Spotkaliśmy się po to, aby to wyjaśnić.

- Więc wyjaśnijmy.

- Zapłaciłem panu Zoecke, a pan Zoecke panu i oczekuję wykonania zlecenia.

- Zgadza się. Wkrótce będzie po sprawie.

- Jak to, nie rozumiem...?

- Reinert popatrzył bezczelnie w oczy Yanga. - Musiałem usłyszeć od pana, panie Yang, osobiście, czego pan ode mnie oczekuje, bo do Zoecke straciłem zaufanie. Powiedziałem więc pana człowiekowi, że mam puste konto.

- To tak? Zoecke mnie uprzedzał. Ale to wasza sprawa. Ja z Zoecke prowadzę interesy. Duże interesy. Pan rozumie? Wasze sprawy mnie nie obchodzą. Czy to pana

zadawała? Między nami jest zaufanie?

- W porządku, właśnie to chciałem wiedzieć. A teraz słucham pana prośby, bo może Zoecke...

- Kardynał Giusti nie może wyjechać stąd żywy. Czy to jasne?

- Zgadza się. Pan płaci, pan żąda. Ja nie pytam o nic więcej...

- Ale to pana ciekawi, co? Powiem panu. My, Chińczycy, mamy dość bałaganu w naszym kraju. Ten kraj trzeba wziąć ostro za pysk!

Po wyjściu Reinerta Yang Bing pstryknął w palce. Ochroniarz otworzył drzwi za werandą. Po paru sekundach pojawił się w nich Hendrik Zoecke. Yang podniósł się i wskazał przybyłemu miejsce przy stole. Na twarzy Zoecke malował się grymas wielkiego zaskoczenia.

- Wszystko słyszałeś, Hendrik. Spróbujcie dogadać się dla dobra interesów.

- Co za niespodzianka - Zoecke rzekł bardziej do siebie niż do Yanga, chwytając się dwiema rękami za głowę. - Nigdy bym nie przypuszczał. Nie mogę jeszcze dojść do siebie.

Dopiero na skraju miasta Reinert zatrzymał taśmę magnetofonową, na której zarejestrował odbyte spotkanie. Zdobył wszystko, czego chciał, by przycisnąć swego zleceniodawcę do muru.

Górecka obudziła się zmęczona i wściekła. Nie były to jej dni, poza tym śniła koszmarami. Reinert zakpił z jej przezorności. Ponura twarz mordercy przesuwała się w tłumie, między ochroniarzami, a oderwana od tułowia głowa kardynała wpadała do dzbanka z kawą. Langton, obserwujący to wszystko z boku, deklamował szarmancko: - Kocham cię, Dana. Jesteś taka rozsądna.

Langton chrapał w najlepsze na skraju łóżka. Wieczorem wrócił po kilku kieliszkach wina i przysnął. Wcześniej prosił ją, błagał o pieszczoty. Co miała zrobić, kiedy tak płakał. Zasnął natychmiast po dotknięciu głową poduszki.

Zadzwoił telefon. Poderwała się nieprzytomna. Musiała zdrzemnąć się nad ranem na chwilę. W słuchawce odezwał się O'Brien. Pytał o Langtona. Langton wymknął się jemu i Dai wieczorem i zniknął. Górecka oprzytomniała. Przekazała półgłosem, że Langton jest bezpieczny.

- Tak?

- Tak.

- A gdzie jest?

- A nie mogliście przysłać go bardziej trzeźwego? Do niczego się nie nadał.

- Jest u ciebie?

- Śpi.

- Aha. To dobrze. A wiesz, co się dzieje? - O'Brien nie kończył rozmowy.

- Co?

- Mnóstwo ludzi ściąga na plac Tienanmen.

- Która godzina?

- Dziewiąta.

- O, Boże! - rzuciła słuchawką. Za godzinę rozpocząć się miała uroczysta msza święta, a ona w pościeli. Musiała być przecież najbliższej kardynała Giusti.

Rzeka ludzi nie przestawała wpływać na Tienanmen. Martwy plac ożył gwarem i kolorami. Godzinę przed uroczystością przejścia zamknięto. Zrobiło się ciszej. Tłum, w niespotykanej w innych częściach świata dyscyplinie, prawie zamilkł. W modlitewnym skupieniu oczekiwał niezwykłego. Przed dziesiątą zajechał pod ołtarz orszak mercedesów. Na ich widok dwudziestu chłopców w komżach targnęło dzwonekami. Rozległy się oklaski.

Zaczęła się msza. Górecka, która zdążyła wybiec z hotelu w dziesięć minut, zostawiając Langtona śpiącego, stanęła za przepierzeniem z dykty, oddzielającym ołtarz od

pomieszczeń zaplecza. Miała stamtąd widok najlepszy na zgromadzonych ludzi, na plac, będąc jednocześnie niewidoczną. Wyjęła lornetkę z torebki i spokojnie, systematycznie zaczęła lustrować twarze zgromadzonych. - Wszystko w normie - odezwała się po dłuższej chwili do towarzyszącego jej oficera Gonganbu, który przedstawił się jej jako Lon.

- Wygląda spokojnie.
- Swoich ludzi widzisz? Są w komplecie?
- Tak - zapewnił Lon.
- Nie wierzę. Jak znam życie, co trzeci to wasz człowiek.

Dała wiarę Lonowi, że otrzymał rozkaz uchwycenia spodziewanego zamachowca bez względu na to, kto to i w czyim imieniu działał.

- Są wszyscy - Chińczyk uśmiechnął się zyczliwie.

W szklach dostrzegła Langtona, który korzystając z przepustki prasowej, dopiero teraz przepychał się do wydzielonego sektora dla dziennikarzy. Spocony, stanął blisko Dai i O'Briena. Dai pokazała mu numer "Guanming Ribao" ze swoim okazjonalnym tekstem, omawiającym rezultaty wizyty kardynała Giusti w Chinach. Wpuszczenie na łamy dysydentki stanowiło wydarzenie polityczne samo w sobie. Dai wywodziła w komentarzu, że obecność watykańskiego notabla za Wielkim Murem oznacza ostateczne zwycięstwo linii reformatorskiej w partii i czyni możliwym przeniesienie nuncjatury papieskiej z Tajpej do Pekinu.

Artykuł Dai, przepowiadający nawiązanie stosunków dyplomatycznych między ChRL a Watykanem, skomentowało CNN. Górecka nie dziwiła się więc zachwytom O'Briena i Langtona, okazywanym jego autorce. Zrobiło się jej tylko trochę kapryśnie, że nie ma jej w gronie przyjaciół i że nie może wtrącić swoich trzech groszy. Jej trzy grosze z pewnością spodobałyby się Langtonowi. Myśląc o tym, wysunęła się ociupinę zza przepierzenia. Pierwszy dostrzegł ją O'Brien. Nieznacznie pomachała mu ręką. O'Brien szturchnął Langtona. Jako jedyna dziennikarka dostała przywileju obserwacji wydarzenia z najbliższej odległości. Było czego zazdrościć. Przyjaciele pomachali do niej czym mieli i przestali rozmawiać o artykule Dai.

- Zrozumiałem, dobra robota - Lon odpowiedział do drucika w klapie marynarki. - Wprowadźcie go poza teren i puśćcie.

- Coś się dzieje?
- Falszywy alarm. Jakiś turysta kupił sobie obiektyw, wyglądający jak działko.
- O to chodzi. Nie wolno nam zlekceważyć niczego.

Lon wyszczerzył w uśmiechu swoje rzadkie zęby: - Nieźle się pani zna na procedurach w służbach bezpieczeństwa. Jak na dziennikarkę, oczywiście.

- Niech pan nie żartuje. Bramy, dachy domów, okna. To wszystko sprawdzone?
- Na każdym dachu są moi ludzie. Każdy budynek monitorujemy. Nie ma siły. Chyba że z powietrza. Ale i nasz helikopter bojowy czeka w pogotowiu.

- Atak z powietrza? Tak, niczego nie można wykluczyć.

Nad placem, w powietrzu, unosił się majestatycznie jedynie balon McDonald'sa.

Kardynał Giusti skierował się ku podwyższeniu z wiązką mikrofonów, skąd miał wygłosić Słowo Boże. Jeden z mikrofonów nie zadziałał. Korzystając z krótkiego zamieszania, O'Brien zdecydowanie przywołał ręką Górecką. Zeskoczyła z podestu w pobliże barierki, wydzielających wolną przestrzeń przed ołtarzem. - Co jest? - szepnęła.

O'Brien pokazał ręką na balon. - Widzisz?

- O co ci chodzi? - wzruszyła ramionami.

O'Brien puknął się palcem w czoło. Złożył ręce jak do strzału i wycelował w gumowego, olbrzymiego smoka. - Paf - powiedział cicho. - Zwróć uwagę ochronie.

Zrozumiała. Zacerwieniła się ze zdenerwowania. Podbiegła do Lona. - Czy sprawdzaliście balon?

- Jaki balon?

- Nie widzisz balonu?

Oczy Lona zrobiły się okrągłe. - Wang, słyszysz mnie? Dobrze, to teraz uważaj. Czy sprawdzałeś balon? Jak to jaki balon? Zróbcie to natychmiast. Otoczyć balon! - Lon grzmiał do drucika w klapie.

Górecka przyłożyła lornetkę do oczu i miarowo, bez pośpiechu penetrowała zakamarki gumowego smoka. Nie opuszczając szkieleł, podchodziła krok za krokiem do niego, aż znalazła się między ludźmi. Przejście było zatłoczone, więc nieustannie przepychała się do przodu. O'Brien ruszył za nią. Za O'Brienem, z zaaferowaną miną, podążył Langton.

Chemiczny, jodowy laser, namierzający radioaktywne cząsteczki tlenu, pulsował w gotowości od dawna. Napromieniowane pióro kardynała Giusti widać było na monitorze niczym ważkę, drgającą atomami tlenu. Za piórem, w piersi duchownego, waliło serce. Reinert uaktywnił czerwony przycisk. Nie wiedzieć czemu, postanowił jednak zaczekać z odpaleniem rakiety i słuchał, co ma do powiedzenia w kazaniu ważny hierarcha z Watykanu.

Kardynał Giusti przemawiał. Walcząc z iskrzącym wciąż mikrofonem, posiłkując się co chwilę cytatami z Pisma świętego, stwierdził na koniec niezbyt odkrywczco, że wizyta Ojca Świętego w Chinach na przełomie wieków stanie się wydarzeniem światowym.

- Dość. Wystarczy. Nie przekonał mnie - prychnął dziko Reinert i odpalił pocisk.

Górecką dzieliło trzydzieści metrów od balonu. Nadmuchany smok ział sztucznymi ogniami, wystawiając paszczę ku słońcu. Nie spuszczała z niego wzroku. Głowę zadzierała coraz wyżej i wyżej, by widzieć konstrukcję w całości. Nagle spod gumowego ogona wyfrunęło coś, co przypominało model rakiety lub samolotu. Niewielki mechanizm leciał wolno, standardowo naprowadzany na cel falami radiowymi, tak wolno, że Góreckiej wystarczyło czasu na sięgnięcie po broń. Wypaliła do modelu dwukrotnie pełnymi seriami.

Przynajmniej jedna z kul trafiła. Latający obiekt zadygotał, a po paru sekundach zwałił się na ziemię. Wybuchu nie było. Ludzie, przestraszeni strzałami, odskoczyli na bok. Obserwowali, jak urządzenie dokonywało samozniszczenia, przemieniając się w garstkę popiołu w temperaturze niebieskiego płomienia.

Reinert zaklął widząc, że pocisk nie doleciał i nie eksplodował w bezpośrednim sąsiedztwie radioaktywnego Po-52. Nie tracąc zimnej krwi, chwycił za krótki karabinek snajperski. Wymierzył i nacisnął spust. Kardynał Giusti, który próbował uspokoić zdezorientowany tłum, zachwiał się bezradnie. Jedną ręką przykrył serce, drugą wskazał na balon. Spadł z drewnianego podestu jak martwy. Z gardeł kilku tysięcy ludzi wydobył się jęk bólu.

Zewsząd pojawili się uzbrojeni cywile. - Za późno! - krzyknęła Górecka. Była tuż-tuż. Z biegu chwyciła za sztywne liny drabinki i zaczęła wspinać się na smoka.

Reinert miał przed sobą jedną drogę ucieczki. Zwinnymi susami przesuwał się szybko ku górze, czepiając się jak haków fałdów dakronu, z którego wykonano balon, i nim Górecka dotarła do sterowni, odskoczył daleko. Uchwycił się dmuchanego ucha. Górecka pięła się w zapamiętaniu na grzbiet. Wyprzedzał ją o kilka metrów. Gapie z dołu pokazywali ich sobie palcami. Kamery filmowały dwie sylwetki, ścigające się ze śmiercią.

O'Brien odbezpieczył dwunastonabojowy browning, swoją dumę. Objął pistolet obiema rękami i wycelował. Reinert na szczycie sięgał stalowej liny, prowadzącej na dach domu. Dobięł Langton. - Co robisz? - wrzasnął. - Przecież tam jest Dana!

- Nie bój się. Ten bandyta nie ucieknie mi.

- Ale Dana...

O'Brien nacisnął spust dwukrotnie. Potem jeszcze raz. - Dość! - prosił Langton.

Jedna z kul musiała świsnąć koło ucha zamachowca, gdyż ten obejrzał się nienawistnie za siebie. Pozostałe kule przepadły. A raczej trafiły w balon. Kiedy Reinert sięgał dachu, a Górecka przeczołgiwała się z grzbietu na głowę smoka, balon sflaczał jak pęknięta dętka. Reinert zawisł na jednej ręce. Górecka runęła w dół z prawie trzydziestometrowej wysokości. Leciała jak kukła w zwojach gumy i plastyku, przeklinając

na czym świat stoi, ciągnąc za sobą szarfę w chińskich barwach narodowych, zaplątaną o jej nogi. Upadła miękko na poduszkę powietrzną, która utworzyła się przy ziemi. Szarfa opadła na nią. W tym samym czasie Reinert wdrapał się na dach i zniknął.

- Co za numer! Zauważyłeś, jak na mnie popatrzył? - odezwał się O'Brien.

- Kto?

- Bandyta.

- Daj spokój. Co ty narobiłeś? - Langton czuł się dezorientowany. - Gdzie Dana? Czy aby nic się jej nie stało?

Górecka wygrzebała się z fałdów balonu, otrzepała jak kura i podeszła do O'Briena, sycząc: - Ty, ty rewolwerowcu jeden! Tobie się wydaje, żeś ósmy wspaniały? Sru! - O'Brien zgasł, jakby dostał w twarz.

Langton objął ją ramieniem i przytulił: - Spokojnie. Kocham cię. Jesteś taka dzielna. Najważniejsze, że nic się nie stało.

- Jak to się nie stało? Przez tego cepa tamten bandzior zwiął - kipiała wciąż wściekłością.

O'Brien zakopałby się najchętniej pod ziemię. Zamiast podziękowania spotkały go obelgi. A przecież to on pierwszy wskazał palcem balon... Nadbiegł Lon. - Pani zdrowa? Dobrze. W ogólnym tumulcie ucierpiał kilku przechodniów, ale zajęli się nimi nasi lekarze.

- Co z Reinertem?

Lon popatrzył smętnie w górę, w miejsce, gdzie bujała się lina po balonie, i powiedział: - Terrorysta zwiął. Na dachu znaleźliśmy naszego człowieka z poderzniętym gardłem.

W niebieskiej sali obrad, przy wielkim, podłużnym stole siedziało w milczeniu kilkunastu dostojników ChRL. Sekretarz prezydenta państwa Jiang Zemina spróbował podsumować naradę: - Uzgodniliśmy potrzebę połączenia sił Guojia Anquanbu i Gonganbu. Tu chodzi o honor Chin. Nadzwyczajne śledztwo w sprawie zamachu na kardynała Giusti poprowadzi siłami obu służb szef wywiadu wojskowego, generał Ji Shengde. Od tej chwili obie służby przechodzą pod jego rozkazy.

Yang Bing, dotychczasowy szef Guojia Anquanbu, schował twarz w ramionach.

Przy łóżku uśmiechniętego kardynała Giusti w pekińskiej klinice rządowej siedziała Górecka. - Obrac eminencji drugą pomarańczkę? - zapytała.

- A obierz, dziecko.

- Takie pyszne?

- Smakują mi. Dziękuję za troskę. I za róże. Tak pięknie złocą się przy łóżku - wychylił się, by je zobaczyć. I jęknął. - Zabolało. Niepotrzebnie poruszyłem barkiem.

- Zawołam lekarza.

- Nie, nie trzeba. Aż strach pomyśleć, co by było, gdybym pani nie posłuchał i nie włożył kamizelki kuloodpornej. Bóg czuwał nade mną. Nie złamane żebro by mnie wtedy bolało.

- Nic by księdza kardynała nie bolało - odpowiedziała poważnie Górecka.

- Ma pani rację. Jest pani jak ta żółta róża przy łóżku: piękna, mądra i kłująca.

Na korytarzu czekał Langton z O'Brienem i Dai. - I co, i co? - przekrzykiwali się, kiedy wyszła ze szpitalnej izolatki.

- Nic mu nie będzie. Jedno pęknięte żebro. Wyjdzie stąd za dwa dni na własnych nogach.

- Ależ miał szczęście - rozemocjonował się Langton.

- Bóg czuwał nad tym szczęściem - zgrzytnęła zębami Górecka, patrząc O'Brienowi

prosto w oczy.

Na zielonej alei przed szpitalem przystanęli, by się pożegnać. - A wiecie, co? - odezwała się jak gdyby nigdy nic Dai. - Wiem, gdzie trzymają Men Ru, tego porwanego wiceministra, dzięki któremu zwiedziłyśmy z Danutą więzienie w Huhehaote.

- Wiesz? To powiedz - zaciekawiał się Langton.

- W Chapchal Su.

- Los Men Ru jest ci bliski, prawda? - domyśliła się Górecka.

- Działa na rzecz Chin demokratycznych. Porwano go i aresztowano po cichu, bezprawnie. Ale my domyślamy się sprawców.

- Kto go porwał? I gdzie to więzienie? - chciał dowiedzieć się O'Brien.

- W Xinjiangu. Aresztowali go ci, którym przeszkadzał - Górecka zamknęła dyskusję.

- Mam pewien pomysł.

Dai popatrzyła na nią z nadzieją.

- To nic pewnego, ale spróbować nie zawadzi. W końcu kardynał Giusti zawdzięcza nie tylko Bogu swoje ocalenie.

W dwa dni później Langton promieniał. Był pierwszym dziennikarzem w Pekinie, który dowiedział się o uwolnieniu Men Ru. Macierzysta "Dayle News" w Melbourne drukowała jego korespondencję z pierwszej kolumny, wyprzedzając o pół doby największe światowe agencje prasowe. Tytuł: "Interwencja kardynała Giusti" bił po oczach. W kilkunastu zdaniach, zasugerowanych przez Górecką, Langton informował, że władze chińskie przychyliły się do prośby kardynała Giusti o uwolnienie dysydenta Men Ru, próbując tym samym zatrzeć niemiłe wrażenia, jakie kardynał mógł wywieźć z ich kraju w związku z zamachem na jego osobę. Langton napisał prawdę, że stało się tak dzięki wstawiennictwu u kardynała polskiej dziennikarki Danuty Góreckiej, lecz redakcja skreśliła akapit o Góreckiej, traktując go jako błahy.

By uczcić sukces, spotkali się w parku Taoranting, w Pawilonie Radości. Miejsce wybrała Dai. Siedemnastowieczny pawilon wznosił się w południowej części miasta, za Murem. Langton zamówił w restauracji renomowane brandy dla wszystkich, lecz wpięć rozlał do kieliszków huangjiu i kazał delektować się nim niczym nektarem. Było to żółte wino, które przywiózł niedawno z wizyty reporterskiej w Shaoxingu. O'Brien wykrzywił się po pierwszym łyku. - To sikacz - zawołał.

- W życiu nie piłem nic lepszego - zachwalał Langton, ignorując O'Briena. - Każdy klimat ma swoje wino. Chiński klimat ma huangjiu.

- Dziękuję, poczekam.

- John, daj spokój - wtrąciła się Dai. - Jeśli Stephen uważa huangjiu za dobre, znaczy że jest dobre. Pije go wielu Chińczyków.

- I nie narzekają jak John, prawda? - obroniła Langtona Górecka. - Wypijmy ze smakiem. Świetne wino. A kiedy podadzą brandy?

Popatrzyli na nią i roześmieli się.

- Poeta dynastii Tang napisał: "Poczekajmy, aż zazłocą się chryzantemy/ a nasze wino dojrzeje,/ aby oddać się pijaństwu i radości" - wyrecytowała Dai. - Pewnie nie wiecie, że pawilon, w którym jesteśmy, wybudowano na cześć poezji, a dokładnie na cześć wersu, który przytoczyłam.

- Pięknie, pięknie, bardzo to poetyckie - Langton zanotował wers na serwetce. W tym czasie kelnerzy zastawili stół talerzami i dzbankami. Dai dostrzegła pierwsza szczupłego mężczyznę i wykrzyknęła radośnie: - Men Ru. Chodź, chodź do nas. Tak długo czekaliśmy na ciebie, przyjacielu.

Przywitali się serdecznie. Langton posadził przybyłegoomalże siłą przy sobie i poczęstował huangjiu. - I jak? Dobre?

Chińczyk pokiwał z uznaniem głową.

- Ale powiedz, jak dobre?

- Dobrze. W obozie podawano nam to wino zbyt rzadko.

Langton przełknął ślinę i przez dłuższy czas nie odezwał się do nikogo.

Men Ru, wymizerowany, z tikiem nerwowym w kąciku ust, wyglądał na wycieńczonego więzieniem. Uśmiechał się jednak nieustannie, pochylając głowę po każdym słowie: - Jestem na wolności. Nie wiem, jak dziękować, wywdziękzyć się. Jestem państwa, szczególnie pani - popatrzył na Górecką - dozgonnym dłużnikiem. Wiele dobrego zrobiła pani dla mnie i dla chińskiej demokracji. To wielki honor zaliczać się do pani znajomych, nie śmiałybym powiedzieć, że przyjaciół.

Górecka, rozochociona huangjiu, zanuciła: "Jeszcze Polska nie zginęła" i pocałowała Men Ru w policzek. - Przyjacielu!

- Za poezję wina w poetyckim miejscu - wznosił toast O'Brien, wyczuwając nastrój chwili.

- "Poczekajmy, aż zazłocą się chryzantemy" - wyrecytował Langton.

Men Ru uciszył go gestem. - Miejsce to kojarzy się nam, Chińczykom, nie tylko z poezją. Chiński naśladowca Dzierżyńskiego Kang Sheng i jego agenci seriami z pistoletów maszynowych zmasakrowali dysydenckich oficerów w tej sali. A potem oddali się pijaństwu i radości, zgodnie z życzeniem poety dynastii Tang. Walczymy z Dai o demokrację, by nigdy więcej nie doszło do podobnych rzezi.

Reinert chodził po mieszkaniu Su niczym lampart w klatce. Dziewczyna za dużo pytała, więc zabił ją. Zwłoki wywiózł za miasto. Dopóki policja nie znalazła ich, nie musiał szukać bezpieczniejszego lokum. Czuł na plecach oddech tajnych służb generała Ji Shengde. Nigdy wcześniej nie widział w okolicy tylu tajniaków, wałęsających się po ulicach nie wiadomo za czym. Chińczycy, u których kupował broń i dokumenty, stracili nagle chęć do robienia z nim interesów. Pewnej nocy, gdy popijał piwo w zakamuflowanej spelunie, zza chmury dymu tytoniowego i oparów ziół narkotycznych, usłyszał dobrą radę: - Spływaj. Szukają ciebie. Wynoś się, bo nie dadzą nam żyć. I nie pojawiaj się tu więcej.

Chciał odpowiedzieć, ale przytrzymało go za rękę. - Zanim wyjdiesz... Na zapleczu czeka ktoś na ciebie.

Był to Tran. Wyglądał na zdenerwowanego. Gdy zobaczył Reinerta, podbiegł do niego i objął za plecy. - Źle, panie, źle. Yang Bing w tarapatkach. Jeśli on, to my. Sprawy wymykają się z rąk.

- A co się dzieje? - zdziwił się nieszczerze Reinert.

- Yang Bingowi odebrano dowodzenie nad Guojia Anquanbu. Jesteś pan skazany na własne siły. Zwolniono dysydenta Men Ru, którego Yang aresztował. Przy Yangu pozostaje wciąż kilku wiernych dowódców, ale to kwestia dni, może godzin, kiedy i oni przyłączą się do zdrajców. Yang musi zachować władzę, by nie sprzedano Chin imperialistom z Zachodu. Chwila jest rewolucyjna. Trzeba się śpieszyć. Dlatego Yang potrzebuje pana.

- Z kardynałem istny pech!

- To już nieważne. Chodzi o nowe zlecenie.

- Nie jestem tani.

- Dysponujemy wystarczającymi środkami, by zabić generała Ji Shengde.

Airbus A319 oderwał się od ziemi. - Żegnaj, kardynale. Bądź zdrow! - Górecka pomachała ręką, lekko wzruszona.

- Odleciał. Będziesz miała więcej czasu - zauważył Langton. - Przecież wiesz, kocham cię, Dana. I każdy dzień w rozłące boli tak...

- ...Jak złamane żebro kardynalskie - wtrącił się O'Brien. - Zamiast gadać, chodźmy się napić.

- Nigdy nie zapomnę kardynała Giusti. Dzięki niemu Chiny są trochę bardziej wolne - orzekła podniosłe Dai i pomachała ręką niebu.

- A ta sprawa z piórem? Celnicy na lotnisku wykazali się czujnością.

- A co się stało? - zapytał Langton, który przyszedł później i o niczym nie wiedział.

- Wyobraź sobie, że czujniki wykryły, że kardynał promieniuje. Niczym święty! - zaśmiała się Górecka.

- Wolne żarty.

- Naprawdę. Promieniowało pióro kardynalskie, które okazało się radioaktywne. Pióro mogło stanowić cel dla samonaprowadzających się pocisków. Pamiętasz ten pocisk, który zestrzeliłam...

- Świetnie strzelasz. Jesteś taka precyzyjna.

- To dzięki Johnowi, który przekonał mnie do noszenia broni.

O'Brien aż zaniemówił. Tak miło nie zrobiło się mu przy Góreckiej od dawna. Ze zrozumieniem obserwował więc Langtona, przytulającego przyjaciółkę i szepczącego do jej ucha: - Dana. Dziś nie masz żadnych obowiązków. Jesteś taka wolna i rześka. Dana, Kocham cię.

Nazajutrz prasa przyniosła doniosłe oświadczenie Watykanu. Papież podtrzymał w nim chęć odwiedzenia Chin pomimo niebezpieczeństw, jakie mogłyby spotkać Jego Osobę. "Wola Kościoła nie może być warunkowana zamiarami terrorysty. Proces normalizacji stosunków między Watykanem a ChRL będzie postępować" - napisano. Ujawniono też, że konsekrowano księdza Damazego Zhang Hana na biskupa Jilin w Mandżurii zgodną wolą Watykanu i ChRL. Publiczną mszę konsekracyjną poprowadzili biskupi Kościoła "patriotycznego", kontrolowanego przez władze chińskie, ale z odczytaniem i uznaniem nominacyjnej bulli papieskiej, spisanej po łacinie. Tajne nominacje papieskie posiadało do tej pory wielu biskupów Kościoła "patriotycznego", a do jawnej konsekracji biskupa Zhanga przyczynił się dramatyzm wizyty kardynała Giusti w Pekinie. Watykan wyrażał też nadzieję, że "władze chińskie okażą siłę i determinację w zwalczaniu złych zjawisk w życiu społecznym, by przypadki terroru nie kreowały w przyszłości stosunków między Watykanem a Chinami". Pekin przyjął to oświadczenie z gorzkim przyzwoleniem.

Reinert siedział za kotarą w złotym salonie ze starożytną porcelaną. Pykał fajkę. - Samosterujący pocisk nie zadziałał. Zapłaciłem za niego ćwierć bańki. Coś mi się więc należy. Choć, przyznaję, od kiedy stanął pan na czele Fuk Ching, nie miałem powodów do reklamacji.

- Robimy dobre interesy. Niewiarygodne, że taki pocisk dał się zestrzelić zwykłą kulą - podrapał się w głowę młody Chińczyk w luksusowym garniturze, z włosami związanymi w kucyk.

- Tak się stało, panie Song.

- Strzelała kobieta.

- Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

- Pan wie, znam ją. Mam raka tarczycy od jej pieścizot. Przed laty przekłuła mi grdykę. Pamiętam jej to.

- Wiem. Zawzięta. Szybka...

- Nie ma co... Niech pan mi powie lepiej, czego potrzebuje pan tym razem.

- L24K. Chyba pan słyszał. To laser, strzelający pojedynczymi atomami potasu, zamiast światłem. Poręczny i niezawodny.

- Trudny do zdobycia. - Song nachylił się do ucha Reinerta: - Generał Ji Shengde dusi pana za gardło?

Reinert wyprostował się, zaskoczony wiedzą Chińczyka.

- Dziwi się pan, skąd o tym wiem - Song zgadywał myśli gościa. - Musi panu wystarczyć, że Fuk Ching wie dużo.

- Mam spotkać się z Yang Bingiem - rzekł Reinert lekko, bardziej do ściany niż do

rozmówcy, ciekawy, czy Song powie mu coś ciekawego o Yangu.

- Dostanie pan to, po co pan przyszedł. Pieniądz u mnie cięższy niż słowo. Zapłaci pan połowę ceny - szef Fuk Ching jakby nie usłyszał zdania o Yang Bingu.

Reinert nie wypytywał dalej. Umówił się, że odbierze towar pod koniec tygodnia. Pożegnał się zadowolony i zniknął w wąskiej ulicy.

Godzinę później Song pukał do drzwi Góreckiej. Nie spała jeszcze. Kończyła pisać korespondencję dla swojej gazety, wyrażając w niej wątpliwość, czy po zamachu na kardynała Giusti wchodzi jeszcze w rachubę pielgrzymka papieska do Chin. "Może w nowym tysiącleciu?" - pytała, nie przeceniając wagi oświadczenia Watykanu w tej sprawie. Ponadto w notce informacyjnej zacytowała słowa generała Ji Shendge, że nie ma on nic wspólnego z wykradzeniem Amerykanom minigłowic atomowych, o czym doniosła amerykańska prasa. I podważyła je z lubością.

- To ty, Song. Stało się coś?

- Odwiedził mnie... - Song zawiesił głos.

- Nie każ mi główkować w środku nocy.

- Był u mnie Reinert.

- Tak? - Górecka zachowała zimną krew.

- Przygotowuje następny zamach.

- Na kogo?

- Nie pytałem.

- Znacie się? Od dawna?

- Owszem. Rozmawialiśmy o pani.

- O, to ciekawe. Jaki mam biust?

- Proszę nie żartować. Proszę uważać. Jest na panią zawzięty, bo pani pokrzyżowała jego plany.

- Wzajemnie...

- Powiedziałem mu, że przez panią mam raka tarczycy. I że chcę się na pani zemścić jak on. Uwierzył.

- Song, szczerze, o co ci chodzi?

- Przecież nie pójde z tym wszystkim do generała Ji, który go ściga. Pani to sobie wyobraża? Mam przyjaciół w świecie generała, ale nie jestem samobójcą. Nigdy nie chciałem mieć nic wspólnego z polityką, z generałem Ji i innymi, zgodnie z wolą Ma Mina. Pamięta pani. A polityka pcha się do mnie jak wesz.

- A może chcesz mnie podsunąć Reinertowi na rozwałkę?

- Pani mnie obraża. Nigdy nie splamiłbym woli Ma Mina. Reinert był moim klientem, bo nie wiedziałem, że to terrorysta na żołdzie polityków. Muszę uwolnić się od niego, nie narażając na szwank interesów Fuk Ching. A pani mi w tym pomoże.

- No, myślę - poklepała go po plecach.

- Reinert przyjdzie do mnie za parę dni, by odebrać pewne zamówienie. Wcześniej wybiera się na spotkanie z Yang Binguem.

- Zdradził ci się z tym?

- Bąknął coś. Ale udałem, że nie obchodzi mnie to.

- Dużo słyszysz, Song. Nie rozumiem tylko jednego. Czemu rozmawiamy? Przecież ze mną nie robisz interesów.

- W tym rachunku nie liczę pieniędzy. Pani myśli, że Ma Min umarł ze starości. Nie, to Reinert zabił Ma Mina. Wiem o tym. Ma odmówił współpracy z Yang Binguem i zginął. Reinert nie wie, że ja wiem. Rozmawiam z panią, bo tak życzyłby sobie Ma Min.

W nocy Górecka nadała zakodowaną depezę do Warszawy: "Jestem blisko R. Zastawiam pułapkę. Czy ja mam partnera z CIA? Do jasnej cholery! Teraz przydałby się. Facet gra ze mną w ciuciubabkę, co przynosi mi same szkody. Niech swoi pouczą go. D-12".

Rozdział VIII

Od popołudnia zaczęło robić się ciasno wokół restauracji "Deja-vu", prosperującej w przeddzień święta Wniebowzięcia NMP w sercu chorzowskiego parku rekreacji i rozrywki. Wpierw z kilku czarnych golfów wysiadło kilkunastu panów w luźnych marynarkach, by przez ponad godzinę przechadzać się wśród zapomnianych przez służby miejskie chaszców. Potem nadjechały mercedesy. Wysiadło z nich znów kilkunastu panów. Ci stanęli kołem wokół budynku restauracji i nie zamierzali ruszyć się stamtąd o krok.

Czas uciekał. Na wieczór zaplanowano w parku występ kapeli rockowej "De Mono", więc coraz to nowe grupki młodzieży, podążające na skróty ku muzyce, wpadały na kordon ochroniarzy. Nie było tłumaczeń. Wszystkie ścieżki wokół lokalu "Deja-vu" zostały zamknięte.

- Długo każą nam tu ślęczyć? - zapytał Rzymek, który razem z majorem Rumińskim przyjechał na miejsce w parę minut po ochroniarzach.

- Nie wiem, panie pułkowniku - odpowiedział ochroniarz, z dłonią schowaną w wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Że też, kurwa, nie raczyli mnie nawet uprzedzić. Po cholere mnie tu ściągają.

Za odległymi drzewami muzycy postanowili rozgrzać instrumenty. W jednej chwili, poprzedzonej piskami i zgrzytami łącz, zrobiło się rockowo. Liście zadrgały dynamicznie za przebojem "Wszystko jest na sprzedaż", gdy dwie rządowe lanie zatrzymały się przed lokalem. Rzymek dostrzegł, że wysiedli z nich panowie, których twarze znał dotąd jedynie z telewizji. Jeden z nich rządził sejmową komisją bezpieczeństwa narodowego, dwóch zajmowało stanowiska wiceministrów. Wśród przybyłych był też generał Brzeski. Brzeski dostrzegł Rzymka, kiwnął do niego głową, rozkazując krótko: - Czekać!

Rzymek zaklął i wsiadł z powrotem do samochodu. Nie lubił tego. - Traktują nas jak mały - rzucił przed siebie. W lusterku przemknęła czarna limuzyna. Wygramolił się z niej gruby mężczyzna w cygarem w ustach, a za nim jego chuderlawy towarzysz, rozglądający się nerwowo na wszystkie strony. Rzymek aż trzepnął się dłonią w czoło. - Kurwa mać! - wykrzyknął siarczyście do kolegi.

- Znasz ich? - zapytał Rumiński.

- A jakże. Mecenas Woyler, kojarzysz? Trzęsidupa. A tego grubego nie miałem przyjemności... Ale to niejaki Zieff, ściśle kierownictwo Sieci, maczający grube paluchy w naszym światku mafijnym.

- Nie raczono poinformować nas o tych atrakcjach.

- Przyjechali ułożyć się z naszym szefostwem - stwierdził poważnie Rzymek.

- Tak tylko mówisz, czy wiesz?

- Nie wiem.

Rzymek nie pomylił się. Zieff skinął głową kierownikowi lokalu i usiadł z cygarem naprzeciwko generała Brzeskiego. - Nie przeszkadza panu generałowi dym? - zapytał, po tym jak Brzeski zachłysnął się i zakaszał.

Generał machnął ręką, jak gdyby nigdy nic. Zieff przygniótł jednak cygaro w popielniczkę. - Pan wybaczy, generale - przeprosił.

- Wiceminister Borowicz uderzył w kieliszek łyżeczką i rozpoczął spotkanie: - Witam w "Deja-vu". Tu i teraz, realnie. Wyrażę nadzieję wszystkich, że wspólne problemy, które nas tu przywiodły, będziemy mogli z powodzeniem rozwiązać.

- Tego oczekujemy - Zieff uśmiechnął się szeroko. - Poza tym zrozumienia.
- Proszę? - Borowicz nie dosłyszał.
- Zrozumienia, panie ministrze. Panowie wytaczacie armaty na nas, kiedy nadszedł czas wspólnych transferów giełdowych. Bijecie pianę, gdy spadł popyt na śmietanę. I podjudzacie, i rozdrapujecie coś, co minęło. Pan chyba wie, o czym mówię.
- Ostro pan zaczyna.
- A ostro. Bo nie przyjechałem tu palić cygaro.
- Chce pan nas przekonywać, że Stasi zapadło się pod ziemię, tak głęboko ukryło się, że samo znikło.
- A co, znaleźliście jakiegoś agenta Stasi? Oprócz mego poczciwego mecenasa, oczywiście - Zieff poklepał Woyleira po plecach. - Nie wywęszyliście niczego, bo żadnej struktury agenturalnej Stasi nie ma.
- Niech pan jeszcze doda: nie ma i nie było.
- Tak nie powiem. Ale po co wam rozgrzebywanie starych historii, szperanie w pożółkłych teczkach w pogoni za współpracownikami dawnych służb? Szukacie wrogów wśród przyjaciół. Od kiedy jesteśmy we wspólnej strukturze północnoatlantyckiej, pracujemy razem.
- A mafie azjatyckie?
- Było, minęło. Żółtków pogoniliśmy. Przestaliśmy robić z nimi interesy. Brzeski zakaszał na widok cygara, tłącego się wciąż w popielniczce.
- Pan, generale, nie wierzy - Zieff zwrócił się bezpośrednio do Brzeskiego. - A kto wystawił wam szypra z Kaliningradu, handlującego z Chińczykami? Kto dał wam szansę uszczelnienia przejścia granicznego w Koroszczynie? Szkoda śliny na przypominanie wszystkiego.
- Skupmy się na jednym problemie.
- Właśnie. Ten problem ma nazwisko.
- Reinert. Chcemy go ustrzelić.
- Dostaliśmy go prawie, ale nie przyszedł - wtrącił mecenas Woyley. Zieff uciszył go jednym spojrzeniem, by powiedzieć samemu: - Daliśmy wam w tej sprawie wolną rękę.
- I co z tego? - sapnął generał Brzeski.
- A to, że teraz my poszukamy tego Reinerta. Na wasz rachunek. My robota, wy zaszczyty w CIA.
- Chciałbym to zobaczyć.
- Rzymek przysłuchiwał się rozmowie spod drzwi.
- Uzgodnijmy pewien drobiazg - kontynuował Zieff. - Kupiliśmy akcje Hipotecznego Banku Hoffa. Napotykamy trudności, by wejść znacząco do jego rady nadzorczej. Wetuje nas minister finansów, badając nasz kapitał wpisowy.
- Wpisowy?
- Wpisowy czy zakładowy, mniejsza z tym. Chyba nie muszę zapewniać na tym forum, że dysponujemy kapitałem, jak by go nie nazywać.
- Oczywiście...
- Mamy związane ręce. Nasi przyjaciele pragną inwestować, dać pracę setkom Polaków. A nie mogą. Nasi koledzy z "999 Pharmaceutical Co." od roku czekają na zgodę ministra przemysłu, aby wejść na polski rynek. Przedstawili projekt budowy filii fabryki w Polsce, jedynej w Europie. Coś to znaczy. Tymczasem bank kredytuje naszą konkurencję, szwajcarskie firmy farmaceutyczne Wandera i Sandoza. Czy tak robi się interesy?
- Nie chcemy słyszeć szczególnie tu, na Śląsku, gdzie mam swój okręg wyborczy, o żadnych szajkach samochodowych, mafiach narkotykowych, wymuszeniach haraczy i prostytucji. Wycofajcie się natychmiast z mego terenu - wyskoczył z dramatycznym apelem poseł z sejmowej komisji bezpieczeństwa narodowego "Benio" Nowak. - Rozumiecie? A ja porozmawiam z moimi kolegami partyjnymi w rządzie.

- Rozumiemy intencje pana posła. Właśnie o taki biznes chodzi.

W uchu brzęczała Rzymkowi nazwa firmy, którą Zieff przeszczepiał na polski rynek: "999 Pharmaceutical Co.". Przez chwilę nie mógł przypomnieć sobie, gdzie o niej słyszał. Aż wreszcie trzepnął się o kolano. W jednym z meldunków Dana informowała, że niejaki O'Brien podał się za akwizytora "999 Pharmaceutical Co.". Zbieg okoliczności?

- I co, sprawdziłeś? - zapytał Brzeski przez telefon następnego dnia.

- Tak. To ta sama firma, co w meldunku "D-12".

- Kółko się zamknęło. A grupa Miedziaka?

- Olali instrukcje Zieffa. Posterunkowemu powiedzieli, że Mysłowice są ich i nikt ich z domu nie wykurzy.

- Zapytam Zieffa.

- Nie warto. Wyłuczemy ich po naszymu. Miedziak nie boi się Zieffa. Ulica gada, że ma z pięćdziesięciu ludzi na swoje rozkazy.

- Mów, jeśli wiesz coś więcej.

- To bandziory z paczki świętej pamięci "Ryżego". Pan generał kojarzy?

- A jakże, kojarzę. Stara historia.

- Mam plan, jak ich dopaść.

- To do dzieła!

W barze przy ulicy Klonowej Rzymek umówił się z Witkiem Groną. Nie widział osiłka od dawna. Od kiedy Grona złożył zeznanie przeciw Koteckiemu, jego pozycja w półświatku chadzała manowcami. Przy piwie słyszał słowa dobre, bo nie zaprzedał "Ryżego", którego gлина zastrzelił z zimną krwią, jednak zza pleców dochodziły do niego wrogie warknięcia. Pytano, niby dla żartu, czy nie został kapusiem, tolerowano go, ale nie ufano mu, zlecano robótki "kucia mordy", ale nie zwierzano się przy nim z przygotowywanych skoków. Miedziak, który objął schedę po "Ryżym", klepał go po plecach albo od czasu do czasu kiwał palcem wymownie. Miało to oznaczać: w porządku i pamiętamy. Lecz co pamiętano, Grona nie wiedział.

Dla Rzymka było jasne, że premie, które wypłacał Gronie komendant myślowicki Wertke, pozwalają pogadać z facetem ostro. Grona nie ociągał się zresztą ze spotkaniem. Sam podał miejsce i czas. Więc kiedy stanął w drzwiach speluny, w której czuł się bezpiecznie, Rzymek natarł na niego bez skrępułów: - Obijasz mordy nieposłusznym.

- Przecież pan wie.

- Miedziak ci ufa?

- Nie.

- Daje ci coś do zrozumienia?

- Nie.

- Ale się domyśla. Czego?

- Że dałem się wam podejść. Pomściłem "Ryżego" i zajechałem w gównno.

- Trzyma cię przy sobie.

- W końcu robię, co trzeba.

- Jaki jest ten Miedziak?

- Mocny. Gada wszędzie, że możecie mu naskoczyć. Gdy będzie trzeba, pójdzie na noże.

- Cwaniak?

- Za mądry to on nie jest. Po "Ryżym" niczego byś pan nie poznał, a u niego każde słowo wypisane na twarzy. Szczególnie, gdy się wkurwia.

- Czyli nerwowy?

- Wnerwia się nie wiadomo, o co. Choleryk. Ludzie boją się go. Omotał chłopaków. No i chłopaki są przekonane, że stoi ktoś za nim bardzo mocny. Mówią: "Miedziak się nie boi, bo Miedziak ma jaja jak berety, a plecy darowane, o, bardzo wysoko". Takie rzeczy chłopaki to wyczuwają.

- A ty co o tym sądzisz?

- Panie pułkowniku. Co mnie sądzić. Już "Ryży" gadał o facecie, którego nazwał "Katze". Z "Katzem" mieliśmy robić duży szmal, zejść w legalny biznes. "Ryży" mówił o "Katze" jak o gościu wysoko postawionym, z kontaktami jak stąd do nieba. A przecież Miedziak przejął kontakty "Ryżego" i chyba nie blefuje.

- Nie?

- Wiem tyle, co mi chłopaki doniosą.

Rzymek pogmerał po kieszeniach i wyjął kilka pogiętych zdjęć. Położył je na stole. - Poznajesz kogoś?

- Tak - odpowiedział Grona po namyśle. - Tego Koteckiego to pan pułkownik wie, że znam. Tego drugiego faceta widziałem. Wsiadał z Miedziakiem do samochodu. Mieli do pogadania. To gość ważny, bo Miedziak kupił sobie nowy garnitur specjalnie na to spotkanie. Ale nie wiem, jak się nazywa.

- A ci?

- Tych nie znam.

Rzymek pyknął palcem w zdjęcie. - Powiem ci, jak się nazywa. Zoecke. Rzeczywiście gruba ryba. Robił interesy z Koteckim.

Wieczorem Rzymek zadzwonił do generała Brzeskiego. - Przestałem się dziwić, że Miedziak nie usłuchał Zieffa.

- Tak? To Zieff tu nie rządzi?

- Nie. Oni działali dla Zoecke, a Zoecke wyjechał z Polski. Miedziak nie zna Zieffa. Nie uwierzył, że Zieff i Zoecke to jedna ferajna.

- Co proponujesz?

- Poczekać.

- Jak długo chcesz czekać? Zastanów się. Zieff się wkurzył i nalega, by Miedziaka rozbić. Boi się, że do Miedziaka spłyną ludzie z band, które powstrzymał. I dopiero wtedy będziemy mieć kłopot.

- My czy Zieff?

- Ciekawe pytanie. Czego ci zatem potrzeba?

- Niech pan generał załatwi mi wgląd do tutejszej kartoteki. Muszę mieć teczki byłych i obecnych agentów, współpracowników wszystkich służb.

- Nie wiem, czy minister na to pójdzie.

- To proszę zrobić tak, żeby poszedł.

Z rana Rzymek stał już wśród rzędów metalowych półek, dźwigających setki skoroszytów i luźno spiętych szpargałów. Wyjął kilkanaście teczek i ułożył je na stole. Teczka z czerwonym napisem: "Miedziak" zawierała kilkanaście gęsto zapisanych arkuszy.

Nosiła numer 2408. W kwestionariuszu osobowym zanotowano: "Antoni Miedziak, ur. 6.12.1944. Kategoria TW, kryptonim "Miedź", nr rej. 2408, data rej. 31.12.1981". "TW" oznaczało tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa. Z doklejonych fotografii spozierała twarz puciołowata, z krótkim, zadartym nosem i dużymi oczami. Teczkę opisano "Miedziak", a nie "Miedź", prawdopodobnie omyłkowo.

Z rozpoznania agenturalnego wynikało, że Miedziak był mężczyzną znanym w miejscu zamieszkania i jego okolicach, skorym zarówno do bitki, jak i wypitki. Potrafił narzucić wolę kolegom z ulicy, stając się ich nieformalnym przywódcą. Swoją podpiętość zobowiązaniem do współpracy z SB agent 2408 wykaligrafował ze starannością ucznia pierwszych klas podstawówki. O dziwo kwitował odbiór wynagrodzeń niczym kura pazurem, nieczytelnie.

Kilka sprawozdań z działalności Rzymek jedynie przejrzał, bo stanowiły one źródło wiedzy raczej dla historyków i relacjonowały nastroje społeczne lat osiemdziesiątych oraz stan bezpieczeństwa na ulicach. Ważny wydał się Rzymkowi dopiero życiorys Miedziaka, spisany pod widoczne dyktando oficera prowadzącego. Rzymek aż przetarł oczy ze

zdumienia i wstał z krzesła, odczytując nazwisko tego oficera. Miedziaka "prowadził" porucznik Bronisław Kotecki.

"Urodziłem się w rodzinie robotniczo - chłopskiej. Ojciec Maciej Miedziak pracował na kolei, a matka Bronisława była w domu i na polu. Miałem pięcioro rodzeństwa. Było biednie, dopiero przemiany socjalistyczne, ustrój sprawiedliwości społecznej, przyniosły do naszego domu dobrobyt i bezpieczeństwo jutra" - pisał Miedziak.

Rzymek kaszlnął. Zatrzymał się dłużej przy fragmentach, które wydały mu się istotne: "Jeszcze będąc uczniem szkoły zawodowej w Jarosławiu, klasa tokarska, nawiązałem kontakt z grupą przestępczą. Wpadłem dopiero w 1981 roku przy włamaniu do monopolu przy ulicy Traugutta. Otrzymałem wtedy propozycję pracy w SB. Odmieniło to moje życie. Zacząłem pracować dla dobra społeczeństwa. Na polecenie oficera prowadzącego wkradłem się w łaski Ruskich i zacząłem ich śledzić. Zaplanowali oni napad na cinkciarza, którego znałem, więc o wszystkim powiadomiłem oficera SB. W ten sposób Ruski wpadli".

Rzymek poprosił o kawę i wypił ją duszkiem. Raporty, które czytał, dotyczyły w równej mierze Miedziaka, co Koteckiego. Wydarzenia 1992 roku stanęły Rzymkowi jak żywe przed oczami: "W 1992 roku dostałem polecenie od oficera prowadzącego przeprowadzenia się na Śląsk, konkretnie do Mysłowic. Tam dołączyłem do grupy przestępczej niejakiego "Ryżego". Grupa ta przemycała kradzione samochody z Niemiec na Wschód. Początkowo kilka sztuk miesięcznie, ale potem coraz więcej. Miałem temu przeszkodzić. Udało się zlikwidować kilka oaz narkotykowych i bimbrowni, a nawet zarekwirować broń".

Dokonania Miedziaka, a przede wszystkim jego oficera prowadzącego, zasługiwały na ordery. Na szczęście dla Rzymka następne raporty Miedziaka, zgromadzone w osobnej teczce, założonej przez innego oficera SB, rzucały odmienne światło na duet Miedziak - Kotecki. Rzymkowi zrobiło się duszno po ich poznaniu.

"Jeszcze w Jarosławiu - raportował Miedziak - wydały mi się dziwne niektóre zadania, jakie otrzymywałem od oficera prowadzącego. Ja się na polityce nie wyznawałem, ale o pewnych rzeczach słyszałem, a potem, jak zacząłem czytać gazety, to zacząłem rozumieć. Na przykład trzeba było zwalczać "Solidarność". A mój oficer prowadzący wprost przeciwnie, przy każdej planowanej akcji służbowej, kiedy rewidowano lokale "Solidarności", polecał mi uprzedzać zainteresowanych o rewizjach, przekonywać ich, że trzeba stawiać opór w imię Ojczyzny, że nie będzie wolności, póki PZPR-owcy nie zawisną na gałęziach drzew. Dostawałem do rozrzucenia po domach ulotki tej treści albo podobnej. Robiłem to. Kiedyś w ulotce były nazwiska wszystkich śledczych Bezpieczeństwa w województwie. Tego to już nie rozumiałem. Po co samemu się niszczyć?".

Rzymek znalazł odpowiedź na postawione pytanie dopiero w resortowym arkuszu MSW. Miedziak został przesłuchany w Warszawie w związku ze swoim raportem:

"Pytanie: Zeznaliście, że jako tajny współpracownik kolportowaliście ulotki z nazwiskami oficerów SB. Czy to prawda?

Miedziak: Tak.

Pytanie: Od kogo otrzymaliście te ulotki?

Miedziak: Od oficera prowadzącego Koteckiego.

Pytanie: Jakie były wtedy wasze odczucia, przemyślenia?

Miedziak: Początkowo żadne. Rozumiałem, że "Solidarność" powinna być ostra, ostra w żądaniach, w działaniach, by ostrzej ją zlikwidować. Ale potem...

Pytanie: Co potem?

Miedziak: Potem zgadałem się z pewnym facetem przy piwie. Niezły mózgowiec, może naukowiec, nie spotkałem go więcej. On mi powiedział, żebym uważał. Bo zasądzą mi czapę. Za zdradę państwa. Bo nie ma takich instrukcji SB, które zalecałyby ośmieszanie SB. Że to robota służb obcych państw.

Pytanie: Co dalej?

Miedziak: Dalej to zacząłem uważać.

Pytanie: Czyli zaczęliście uważać. Na co?

Miedziak: Na wszystko. Co ten oficer każe mi robić.

Pytanie: I robiliście?

Miedziak: Trzeba było, to robiłem. Ale analizowałem. Wszystko się zgadzało. Czułem od razu, że to Stasi.

Pytanie: Skąd to przeczucie?

Miedziak: Kiedy przenosiliśmy się na Śląsk, byłem świadkiem rozmowy Koteckiego z jakimś Niemcem czy Ślązakiem. Rozmawiali po polsku, a tamten zwracał się do niego "Katze". Nie wiedzieli, że ich słyszę.

Pytanie: No i co z tego?

Miedziak: W KGB miałyby kryptonim "Koszka". Tak zwyczajnie pomyślałem. Kotecki, więc "Kot". Skoro "Kot" to "Koszka" w KGB albo "Katze" w Stasi.

Pytanie: Czyli potwierdzacie, że do waszego oficera prowadzącego zwracano się pseudonimem "Katze"?

Miedziak: Właśnie tak".

Teczka, podpisana: "Katze", znajdowała się w drugim rzędzie, na wprost. Rzymek zdziwił się, że nie szukał jej zbyt długo, a tak naprawdę, że w ogóle była. Zawierała jeden arkusz papieru, zapisanego krótkimi informacjami: "Pseudonim "Katze" - agent Stasi, działający w Polsce. Urodzony na Opolszczyźnie około 1950 roku. Brak danych o rodzinie. Rysopis śledczy: postawny, wysoki, oczy niebieskie, włosy jasny blond, twarz szeroka ze śladami po ospie. Fotografii brak. Nie ustalono osoby ani nazwiska".

Nikt nie zaglądał do teczki od chwili jej założenia w 1977 roku. A przecież, by zidentyfikować "Katze", wystarczyło przeczytać akta Miedziaka. Rzymek wychodził z archiwum dumny. Udało się! Od dawna jego wydział operacyjny nie mógł pochwalić się takim sukcesem. Ale na ulicy spokorniał. Przypomniał sobie uliczną ksywę Koteckiego: "Kot". Czy powinien wcześniej skojarzyć "Kota" z "Katzem"? A może z "Koszką"?

Ścieżka, prowadząca do domu Pałki, żółkła w miarę postępującej jesieni i chrzęściła liśćmi. Po wyprowadzeniu się Malaka, mieszkała tu teraz tylko Anna z synem Jasiem.

Rzymek nacisnął guzik domofonu. W środku dnia nie spodziewał się zastać ani Anny, ani Jasia, który powinien być w szkole. Nie pomylił się. Przez uchylone drzwi domu wyjrzał na ganek korpulentny staruszek. Miał całą głowę siwą, a na brzuchu szelki, podtrzymujące spodnie. Przez moment intensywnie wpatrywał się w furtkę. Potem machnął ręką, że poznaje.

- A cóż ciebie do mnie sprowadza? - zapytał, kiedy wpuścił gościa do środka. - Siądźmy w kuchni, bo najwygodniej. Nie pogniewasz się?

- Panie komendancie...

- Przychodzę w dzień, czasem i zanocuję, trochę posprzątam, poprycinam gałęzie w ogrodzie, póki Jaś nie skończy lekcji. Odbieram go ze szkoły i wracamy na obiad. Anna zawsze coś ugotuje wieczorem.

- Przynajmniej się pan nie nudzi.

- Nudzi się? - emerytowany komendant Wilhelm Białko założył ręce na piersi. - Wiesz, ile ja mam roboty? Ledwie zdążam ze wszystkim na czas. Wy, młodzi, nie macie pojęcia, ile jest do zrobienia na emeryturze. Kawy się napijesz czy herbaty?

- Nie chcę pana fatygować.

- Dobra, zrobię kawę. I co, dalej w służbie?

- Tak. W pewnym sensie wstąpiłem w sprawy służbowych.

- Nie inaczej pomyślałem. Przecież nie trudziłbyś się odwiedzić starego komendanta.

- To nie tak...

- Dobra. Słodź kawę, bo cukierniczkę muszę wynieść do salonu. Anna chce, by stała zawsze na swoim miejscu.

- To nie nasza dawna Ania, prawda?

- To prawdziwa bizneswomen. Inne potrzeby, nieustannie w ruchu, ciągle się sprawdza. Dobrze, że choć na nocie wpada do domu. A Malaka, pijaczynę, wywaliła za kołnierz, to wiesz. Nie żałuję gagatka, choć chłop. A ja teraz mam być i dziadkiem, i ojcem, i najukochańszym wujem, i kim jeszcze? Mniejsza nasza, powiedz wreszcie, czego ode mnie chcesz.

- By pan pogrzebał w pamięci. Pan przecież wszystko i o wszystkich wiedział.

- Przyznaję. Tylko, że co było, a nie jest...

- Niech pan przypomni sobie. Czy mówi panu coś kryptonim "Katze"? Czy zetknął się pan z kimś takim w ogóle?

Białce drgnął policzek. Odwrócił się do zlewu, by umyć łyżeczkę.

- Ten "Katze" jest dla mnie bardzo ważny - kontynuował Rzymek. - To kawał drania, agent obcych służb. Namierzyłem go i nie popuszczę. Dlatego chciałbym wiedzieć jak najwięcej.

- Coś słyszałem.

Rzymek z zaciekawieniem popatrzył na Białkę. - Niech pan powie, co pan wie.

- To dawne lata. W 1980 roku to zaczynałeś dopiero robotę w tym smrodzie. Zamordowano mego przyjaciela, Edwarda Pałkę, ojca Andrzejka. Prowadziłem śledztwo i czułem dziwnie wrogą atmosferę wokół. Bo ja tego śledztwa nie chciałem zakończyć. Wreszcie odsunięto mnie od sprawy. Kapujesz.

- Słucham, komendancie.

- Za dużo się dowiedziałem. To był mord na zamówienie. Pokoleniowa wendeta. Po kolei to było tak: dziadek Andrzejka uchodził za twardego komunistę i za Adenauera przeganiał stąd autochtonów. Ci go dopadli i zabili. Gadano o tym dość głośno wtedy. Ojciec Andrzejka ich przyskrzytnął i zawisli na stryczku. Rodziny wynajęły bandytów na mego przyjaciela... Takie to były czasy na tych ziemiach. W każdym razie, kiedy zameldowałem, że wpadłem na trop morderców ojca Andrzejka, podałem nawet ich pseudonimy i rysopisy, wysłano mnie na urlop a śledztwo umorzono. Nie rozumiałem, o co chodzi. Grubo później życzliwy przełożony wyjawiał mi tajemnicę. W raporcie wskazałem na agentów Stasi. Nie można było przecież aresztować Stasi!

- Nie w takiej sprawie.

- Właśnie. I ten "Katze", o którego zapytałeś, był jednym z tych bandytów. Pamiętam mniejsza nasza jak dziś: "Katze", "Hiena" i "Flak".

- A skąd wziął pan pseudonimy, rysopisy?

- Ludzie mi powiedzieli. Niektórzy Ślężacy mieli wtedy oczy dookoła głowy. Spisałem wszystko i przekazałem górze. A oni założyli im swoje teczki.

- Pamięta pan rysopis "Katze"?

- Pewnie. Blondyn, szpetny na mordzie po ospie, kawał bandyty. Tamci dwaj nie byli tacy postawni.

- I nigdy go pan nie spotkał?

- Niechby mi się taki napatoczył... - Białko przerwał, łapiąc długie, przenikliwe spojrzenie Rzymka. - O co chodzi? - zapytał szorstko.

- Coś panu powiem, komendancie. Lepiej, żeby to pan usłyszał ode mnie, bo ta sprawa będzie drążona długo i nie dadzą panu spokoju.

- Ale o co chodzi?

- Pan poznał "Katze", nie zdając sobie z tego sprawy.

- To niemożliwe. Co ty wygadujesz? - ze zdenerwowania Białko zaczął zmywać szklankę po kawie, której Rzymek jeszcze nie dopił.

- A jednak. Zresztą obaj mieliśmy tę wątpliwą przyjemność, że głowa boli.

- Mniejsza nasza, mówże jasno.

- "Katze" to były nadkomisarz Kotecki.

Szklanka, którą Białko trzymał w ręku, upadła na podłogę i rozbiła się w drobny mak.

Białko zasnął dopiero o świcie po zażyciu sporej dawki neospazminy. Obudził się w południe zmęczony, spocony, z jeszcze większym ciężarem na sercu. Ręce trzęsły się mu przy parzeniu herbaty. Zostawił to i upadł na krzesło zdesperowany. Bóg nie zaniechał go doświadczać. Przez ostatnie lata zachodził do kościoła często i przeproszał Boga. Tego jeszcze było mało? Ubzdurał sobie, że Bóg pokarał go śmiercią Andrzejka za pryncypialność, za służbistość, za małe co nieco w pachcie z czerwonym diabłem. Modlił się i pokutował. Tylko raz zrobiło się mu lżej po spowiedzi. Usłyszał od proboszcza, żeby on, komendant socjalizmu, lecz również syn Kościoła, nie przejmował się tak sobą. Ludzie wiedzą, więc i Bóg wie, ile zrobił dobrego dla nich.

Okazało się jednak, że Bóg nie wie. Podłość Koteckiego uderzyła go w samo serce, w które kardiolog wsłuchiwał się obowiązkowo co miesiąc. Więc jeszcze to! Mało mu było zgryzot na stare lata? Sprowadził agenta, hołubił, powierzył wszystkie tajemnice, komendanturę. Powierzył Andrzejka! Pójdzie pod sąd Boży. Starego, głupiego zeżre żółć piekielna!

Anny i Jasia nie było. Zdjął pęk kluczy, wiszący na wieszaku, i zszedł po schodach do piwnicy. Małe okienka, przez które za starego Palki zsypywało się węgiel, zaszyły kurzem i pajęczynami. Dokręcił żarówkę, aby coś widzieć. Niespecjalnie lubił tę piwnicę, z jej wilgocią. Pomieszczenie przedzielała ściana z dykty i przepierzenie z desek. Przy oknach stały wiadra, najprzeróżniejsze sprzęty, zepsute odkurzacze, pralka, którą od biedy można by jeszcze naprawić, narzędzia gospodarcze, gwoździe, balony z winem, pourywane zabawki Jasia. W drugiej części, za tekturą i deskami, leżały pudła kartonowe z rzeczami po ojcu Jasia. Przepierzenie dla nich zbił Malak, który czuł się tu gospodarzem przez parę lat. Anna powiedziała Białce, że tak musi być. Taki porządek spraw ludzkich: Andrzej w ziemi, a jego rzeczy w piwnicy.

Przysunął się z krzesłem do obdrapanego kredensu sprzed stu lat, by poszperać w szufladach. Nie śpieszył się. Grzebał to tu, to tam, wyjmował jakieś druty, bezpieczniki, szklanki, słoiki z zapleśniałą marmoladą, jakby nie wiedział, czego szuka. Anna nie miała ręki do przetworów. Znalazł suszarkę do włosów i ucieszył się, kiedy zadziałała po włączeniu do prądu.

Na drugim dnie szuflady dotknął wreszcie szmatę z ciężką zawartością. Odwinął precjozę. Była to żaroodporna kasetka. Małym kluczykiem otworzył jej wieczko. Na dnie stalowej skrzynki leżała tetetka.

Wziął pistolet do ręki. Nawet bez magazynka wydał mu się ciężki. Pomyślał, że odwykł od jego noszenia. Wsunął magazynek, odbezpieczył i wycelował w ścianę z tektury. Ale nie nacisnął spustu. Nie wiedzieć czemu w pośpiechu rozładował broń i z powrotem ukrył ją w szufladzie.

Piwnica pachniała agrestem i wiśniami od fermentujących balonów z winem. Niczym wytrawny kiper, sięgał po klarowną ciecz szklaną pipetą i cieszył się, że nie przesłodził. Ciepło i aromat przeniknęły jego ciało. A kiedy późnym popołudniem Jaś wrócił do domu, z wielkim trudem musiał przywlec staruszka do łóżka.

Rzymek zaparzył sobie kawę w szklance i rozsiadł się wygodnie na krześle. Pchnął okno, żeby wydychać resztki oparów koniaku po wieczornej kolacji, a potem nocy z Anną, i zapalił papierosa. Co to za kobieta, może coś będzie między nimi? Usłyszał pukanie - Wejść! - rozkazał, krztusząc się dymem.

Do pokoju wszedł Malak, popychając przed sobą skutego Miedziaka. Malak wyprostował się służbiście: - Zgodnie z rozkazem przyprowadziłem zatrzymanego.

- Świetnie. Więc jest nasz gagatek. Kurwa. Bohater ulicy, co to się prośbom władzy

nie kłania - Rzymek czuł się wyraźnie rozluźniony po alkoholu. - I czego my chcemy od skurwiela? Malak, jak myślisz, czy w zakutym łbie zostało trochę rozumu?

- Nie wiem, panie pułkowniku.

- Miedziak. Ty, Miedziak. Daj głos!

Aresztant wykrzywił twarz w głupekowatym uśmiechu i milczał.

- Popatrz, Malak. Nie dał głosu. Może niemowa?

- Nie wiem, panie pułkowniku.

- Malak. Tyś coś taki służbisty. Spocznij, Malak.

- Tak jest!

- Coś ci się nie podoba, Malak? Co? Prędeż, wal.

- Nie...

- Czekam!

- Nie mogę przy zatrzymanym.

- Możesz. Funkcjonariusze prawa nie mają żadnych tajemnic przed obywatelem Miedziakiem. Gadaj!

- Panie pułkowniku, tutaj...

- Prędeż, to rozkaz!

- Pan jesteś chuj!

Rzymka aż zamurowało. Ciszę przerwał cichy rechot Miedziaka. Rzymek nie wytrzymał i pchnął Miedziaka tak mocno, że ten upadł na podłogę. Szybko jednak podźwignął się i przywarł do krzesła.

- Co powiedziałeś? Powtórz! - Rzymek patrzył Malakowi z bliska prosto w oczy.

- Jesteś pan chuj. Nie pozwolę panu skurwić Anny.

- Wyjść! - wycharczał Rzymek.

Malak cofnął się.

- Wróć! Rozkuj obywatela. I czekaj za drzwiami.

Rzymek chodził wokół Miedziaka jak tygrys, gotów w każdej chwili zdzielić go pięścią w twarz. - Milcz. Ani mru-mru, bo przywalę...

Dopiero po chwili usiadł za biurkiem całkiem trzeźwy. - A teraz powiem ci grzecznie, dlaczego zostałeś tu poproszony.

- Wiem. W sprawie kurestwa Anny.

Rzymek poderwał się zza biurka, ale zatrzymał w pół drogi: - Dobra. Lecz zapamiętaj, że to ja zaśmieję się ostatni. Zatem słuchaj. Wręcz zamień się w słuch. Bo powiem do ciebie pięć zdań, których nie powtórzę. Zrozumiałeś?

Miedziak nie odezwał się, ale było jasne, że rozumie.

- Nie usłuchałeś prośby pana Zieffa. To bardzo pana Zieffa zmartwiło. I mnie zmartwiło, i mego szefa też zmartwiło. Masz się stąd wynieść, rozplynać we mgle, żeby nawet smród po tobie nie został przy horyzoncie. Daję ci na to tydzień. A teraz won. I tak powiedziałem o kilka zdań za dużo - Rzymek nacisnął guzik pod biurkiem. W tej samej chwili w drzwiach stanął Malak.

- Sierzancie Malak, wyprowadzić gościa na powietrze. I wrócić tu do mnie.

- Tak jest!

Po paru minutach Malak był z powrotem. Rzymek chodził po pokoju. - Poczuleś się może sprowokowany, więc nie widzę naruszenia regulaminu służby - powiedział.

- Panie pułkowniku, czy mogę?

- No, co jeszcze?

- Przepraszam. Anna jest dorosła. Sama decyduje o swoim życiu.

- Zatem widzisz!

Spokoju nie było. Banda Miedziaka wtargnęła do dwóch restauracji w centrum

miasta, potem przez kilka następnych dni gnębiła drobnych sprzedawców na placu targowym, raz sprowokowała omalże frontalną strzelaninę. Było jasne, że Miedziak "czyścił" teren i rozszerzał strefę wpływów, kładąc łąkę na produkcji i dystrybucji syntetycznych narkotyków na Śląsku. Tytuły gazet wybijały zupełny brak reakcji policji na poczynania bandytów. "Przyzwyczajaliśmy się do policyjnej niemocy, lecz to, z czym mamy do czynienia teraz, przekracza wszelkie dopuszczalne i wyobrażalne granice. Nasi stróże porządku przymykają oko na strzelaniny w mieście. Nawet na Dzikim Zachodzie, za marne pieniądze, kierując się poczuciem godności i wierności ideom, stawano nierzadko w pojedynkę przeciwko siłom zła i zwyciężano" - pisał redaktor "Echa Mysłowickiego".

Zadzwonił generał Brzeski: - Gwidon, nie tak się umawialiśmy.

- Wszystko jest w porządku, generale.

- Nie pieprz, bo mi ten palant z rządu kołki struga nad głową. Po spotkaniu w "Deja-vu" miało być cicho i spokojnie.

- Miedziakowi dałem szansę. Nie skorzystał.

- A może ty potrzebujesz wsparcia?

- Cierpliwości, panie generale.

Z samego rana wparował do Rzymka komendant myślowicki Wertke. Trzymał w ręku gazetę, którą wymachiwał jak wachlarzem. - Co oni tu napisali? Co z tym zrobimy? Jak długo będziemy znosić podobne insynuacje? - gorączkował się.

- Jakie insynuacje?

- Pan sobie wyobraża? Chłystek, pismak kurzasty, i to "na podstawie dobrze poinformowanych źródeł", pan rozumie, napisał te rzygi. Czytam, niech pan słucha: "W policji pracuje wciąż kadra PRL-owska, zaprzyjaźniona z dawną Służbą Bezpieczeństwa. Kadra ta kryje znanego bandytę Miedziaka, bo Miedziak był agentem SB". Słyszysz pan, ręce opadają.

- Z tym kryciem Miedziaka przesadził.

- Idźże, idźże, a z tym agentem?

- Miedziak był agentem.

- Co pan? Jeśli Miedziak esbek, to trzeba coś z tym zrobić.

- Trzeba.

- Więc twierdzi pan, że był?

- Tak. Bo co innego ja robiłbym tutaj?

- I to pan to te "dobrze poinformowane źródło"?

Rzymek wzruszył ramionami.

Po kilku dniach nadzwyczajny dodatek "Super Ekspresu" dla Mysłowic wydrukował odnalezioną cudem teczkę agenta Miedziaka z kwestionariuszami: pozyskania agenta, pracy agenta, wynagrodzeń agenta. Bombą okazała się informacja, że oficerem prowadzącym Miedziaka z ramienia SB był Bronisław Kotecki, onegdaj poważany komendant miejscowej policji.

Wieczorem patrol policyjny dostrzegł w krzakach zmasakrowane zwłoki mężczyzny. Wstępne oględziny wykazały, że ofiarę bito tępym narzędziem, kopano przed śmiercią, a jej usta zacementowano. Po identyfikacji, na tabliczce, przyklepionej do zwłok, napisano: "Miedziak".

"Smutny koniec Miedziaka", "Gangster i esbek z zabetonowanymi ustami", "Miedziak zlustrowany przez koleżków z bandy" - doniosły gazety. Przypomniano sobie również o dawnym komendancie. "Gdzie jest Kotecki?" - pytano.

Pułkownicy: Drobell i Kępski, majorzy: Nowak i Rumiński, zastępujący Rzymka w pracach bieżących Grupy Dalekiego Wschodu Biura Ochrony Państwa, czekali od godziny na generała Brzeskiego. Pili drugą kawę, sekretarka poczęstowała ich nawet kruchymi

ciasteczkami. Generał wszedł. Był zaszepiony, wyraźnie pogiębiony. - Napijcie się panowie czegoś, może kawy? - zaproponował słodko. Odmówili. Mimo to generał poprosił o kawę dla wszystkich.

- Wracam ze spotkania, o którym dowiedziałem się w ostatniej chwili. Na kilka godzin wpadł do nas George Tenet, szef CIA. Chciał pogadać. I pogadał.

Pułkownik Drobell, logistyk, poruszył się niespokojnie: - To nieładnie, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej.

- A tak! - Brzeski wysapał z siebie całą złość. - Od nas oczekuje się tylko jednego. Informacji o Reinercie! No, panowie... To nie nas ma się informować o wizycie Teneta, to my mamy informować Teneta, co z Reinertem. Proszę, może panowie wiecie, co z nim, bo ja nie.

- Po to przyleciał Tenet? - odezwał się spokojnie Rumiński.

- A po to.

- Fatygował się sam?

- A sam.

- Rozumiem. Dla CIA to najważniejsza sprawa.

Jedynym punktem zaczepienia był Kotecki. Po rewelacjach, dokumentujących współpracę Koteckiego ze Stasi, stało się to oczywiste. CIA potwierdziła informacje, że Reinert wyszedł także spod ręki Stasi. Dla obu zatem: Reinerta i Koteckiego Stasi była macierzą i przystanią. Historia zmiotła Stasi z powierzchni ziemi, Reinerta i Koteckiego nie.

Jednakowoż Kotecki zniknął. Nie było go nigdzie. Mieszkanie w Mysłowicach stało puste od paru tygodni. Znajomi nie spotykali go na ulicy. W firmie ochroniarskiej, w której wisiał na ewidencji, powiedziano, że wziął urlop. Kotecki wyparował.

Wilhelm Biało zszedł do piwnicy. Od dawna zamierzał przeprowadzić tam większy remont. Po ostatniej "wpadce" nie popatrzył nawet na balony z winem. Ściany prosiły o farbę od dziesięciu lat, wymiany domagało się okno węglowe, o gniazdkach elektrycznych nie wspominając. Na pozbijanie w całość czekało kilka mebli. Oczywiście, nie miał zamiaru robić wszystkiego naraz. Anna prosiła zresztą, by pracę rozłożył na miesiące.

Obmyślił, że farby, gips, stolarkę poskłada za przegrodą z desek i tektury. Wybił siekierą kilka desek, by w miarę wygodnie przesuwać pudła z rzeczami Andrzeja. Ostatni raz wertowali je oficerowie z dochodzeniówki. Nie znaleźli niczego ciekawego. Po zabiciu "Ryżego" przez Koteckiego, zamknięto śledztwo.

Pudła nie były lekkie. Ciężyły książki szkolne, zeszyty, albumy, biblioteczka wędkarza i samouczki "Zrób to sam". Biało zdziwił się. Nie domyślał się wędkarskich zainteresowań wychowanka.

Do południa przesunął w nowe miejsce: wszystkie kartony, rower, dwa sprężynowe łóżka, należące do rodziców Andrzeja, narty z sankami, kilka szafek, które okazały się tak ciężkie, jakby je ktoś załadował kamieniami. Zmęczył się. Sapiąc, oparł się ręką o ścianę. Zaskoczony, drgnął. Cegła, którą nacisnął dłonią, przesunęła się niemal o pół metra. Kilka sąsiednich cegieł także było ruchomych. Z zaciekawieniem wyjmował cegła po cegle i układał je na podłodze. W odsłoniętej wnęce spoczywała torba turystyczna z ortalionu, z suwakiem. Wyszarpał ją ze ściany i otrzepał z tynku. Jak to się stało, że schowka nie zauważył wcześniej Malak?

W torbie znajdowało się kilkadziesiąt zdjęć z różnych lat. Byli na nich rodzice Andrzeja, jego dziadkowie, Andrzejek jako niemowlak, potem pięcioletek w stroju góralskim z ciupagą. Biało znalazł także siebie, w towarzystwie ojca Andrzeja, przy stole, chyba z okazji andrzejek.

Między zdjęciami leżała duża, szara koperta. Biało otworzył ją i z środka wyjął kilka kartek papieru wraz z dwiema odbitkami tego samego zdjęcia. On, stary komendant, rozpoznał pismo Andrzeja bez okularów: "Zeznanie Sabine Hallmer, złożone przede mną w

dniu 20 lutego 1992 roku, spisane i podpisane po polsku, jako że S. Hallmer pochodzi ze Śląska i zna język polski".

Białko zamrugał oczami. "Oświadczam - czytał - że przekazałam polskiemu policjantowi Andrzejowi Pałce fotografię zabójcy jego ojca, nazywanego "Hiena", nazwisko Renz. Człowiek ten stoi na fotografii w środku, w towarzystwie dwóch innych osób, w tym mego brata Jensa, zwanego "Flak", tego z prawej strony zdjęcia. Wiem na pewno, bo brat opowiedział mi o tym w nocy, bo gryzło go sumienie, że musi kryć Hansa, który wykonał na zamówienie zabójstwo pewnego Polaka, milicjanta, o nazwisku Pałka. Potem brat kazał mi przysiąc na krzyż, że będę milczeć. Ale kiedy likwidowali Stasi, to ten Hans się ujawnił i nic mu nie zrobili. A brat siedzi w więzieniu, choć nic złego nie popełnił. Jeszcze oskarżą go o to morderstwo, a to nie on. Więc kiedy niemiecka policja wypytywała moich rodziców o Jensa, bo wtedy szukano agentów Stasi z NRD, to wiedziałam, o co chodzi. Brat nikogo by nie zabił na zamówienie jak "Hiena". Niedługo potem zjawił się u nas pan Pałka. Rodzice nie chcieli nic powiedzieć, bo boją się wszystkiego, przeszukiwali nawet nasze zdjęcia rodzinne, żeby je ukryć. Ale ja znalazłam pierwsza i teraz przekazuję panu Pałce jako dowód, że to Hans Renz, a nie mój brat Jens, zabił jego ojca. I przysięgam na Boga, że tak było. Sabine Hallmer".

Nim Białko dokończył czytanie, zdążył wielokrotnie zerknąć na zdjęcie. Wpatrywał się szczególnie w młodego mężczyznę z lewej strony fotografii, o którym w zeznaniu Sabine Hallmer nie było mowy. Przyglądał się tak długo, aż fotografia wypadła mu z ręki na podłogę. Podsunął sobie krzesło i usiadł. Było mu ciężko na sercu i przykro, że Andrzej wiedział. Wiedział i mu nie powiedział. Wiedział, że Kotecki to "Katze" i współpracował z nim? Nieprawdopodobne. Może jednak nie przyjrzał się zdjęciu dokładnie? Przecież nawet on, stary, nie uprzedzony przez Rzymka, nie rozpoznałby w blond szczeniaku z lewej strony fotografii nadkomisarza Koteckiego. Musiał to wyjaśnić. Mniejsza nasza, miał do Koteckiego parę pytań!

U generała Brzeskiego zameldował się Rzymek. - Trzeba pojechać do Berlina. Trzeba pójść tropem niemieckich kontaktów "Katze". Może oni, rozumie generał, w tym Urzędzie Gaucka, mają coś ciekawego. W archiwum po Stasi może być coś o "Katze".

Następnego dnia przy Ungelegenstrasse Rzymek kupił sobie lody w waflu, wiedząc, że ciągnie za sobą ogon. Nie obawiał się o własne bezpieczeństwo. Intrygowała go bardziej proweniencja niewidzialnych stróżów.

Obsługa archiwum była uprzedzona o jego wizycie. W osobnym pokoju czekały termosy z kawą i herbatą, zafoliowane kanapki z szynką i serem, a nawet biszkopty. Na wózku, mogącym udźwignąć ze dwieście kilogramów, podjechała cienka, tekturowa teczka z napisem "Katze". Dano mu do zrozumienia, że może studiować ją jak długo zechce.

W środku teczki znalazł kilka formularzy, arkuszy spostrzeżeń oraz parę zdjęć. Odniósł wrażenie, że teczkę wielokrotnie przeglądano i pozostało w niej jedynie to, co nikomu z Sieci nie mogło zaszkodzić. Zapisy zadań "Katze" urywały się w 1975 roku, tak jakby od tego czasu agent przestał pracować dla Stasi. Ponadto zdjęcia kadrowe w bardzo niewielkim stopniu przypominały Koteckiego. Był na nich ulizany chłopaczkiem z dobrotliwym uśmiechem. Tylko te oczy. Bez wyrazu. Szklane. Rzymek nie miał wątpliwości, do kogo należały.

Napił się kawy. Po kilku kwadransach czytania akt doszedł do wniosku, że nie stracił czasu.

Kotecki był półsierotą. Wychowywała go matka, Ukrainka. Ojciec, śląski Niemiec, służył w SS w czasie wojny. Potem nie chciał zostawić rodzinnego domu w Masowie koło Opola, ukrywał się, zmienił papiery i wygląd. Ładnych parę lat przepracował w spółdzielczości wiejskiej. W 1959 roku ktoś go rozpoznał. Został rozstrzelany po krótkim procesie. Kotecki miał wtedy dziesięć lat. Matka wyszła drugi raz za mąż, za Polaka.

Zapałał zemstą. To ona najprawdopodobniej zaciążyła na jego życiu. Kiedy dorósł, poszukał kontaktu ze Stasi przez bliskich kolegów. Potem nie miał problemów z wniknięciem do polskiej Służby Bezpieczeństwa. Dla naiwnych kadrowców z SB, przekonanych, że syn postanowił zmyć winy ojca, był dobrym materiałem do wyszlifowania.

Na marginesach raportów Rzymek znalazł pseudonimy: "Hiena" i "Flak". Urzędnicy Gaucka nie odmówili mu wglądu do teczek tych agentów. Wyposażony w pełną wiedzę, wyjechał do Monachium.

Na jednej z monachijskich budów Holzmann dozorował "Flak". Rzymek zapytał go o "Hienę". Nie napotkał oporu. Wkrótce rozmawiał z obu agentami naraz. Usiedli razem w cichej kafejce przy Konradestrasse. Powiedzieli mu, że są emerytami w branży, osądzonymi i zlustrowanymi. "Flak" odsiedział swój wyrok, "Hienie" udało się. Obaj panowie pragnęli mieć z przeszłością święty spokój.

- Szukam "Katze". Gdzieś wsiąkł. Potrzebny mi jeden z jego kontaktów, bardziej niż on sam.

- Nie spotykaliśmy się z nim przez całe lata.

- A z Reinertem?

- Słyszeliśmy o nim, ale nigdy nie widzieliśmy go na oczy.

Rzymek chciał wstać, lecz przeszkodziło mu w tym dwóch silnych mężczyzn, którzy nie wiadomo kiedy podeszli z tyłu. - Jeszcze nie skończyliśmy - wyjaśnił "Hiena".

- Obserwowaliśmy pana od granicy. Może to pana zdziwi, ale my też poszukujemy "Katze" i Reinerta - rzekł "Flak".

- Czujęm was za plecami. Czemu przedstawiliście się jako emeryci w branży?

- Niech się pan tak nie dziwi. Jesteśmy emerytami w branży tamtej... A w nowej, sojuszniku, chcielibyśmy też dorwać Reinerta i błysnąć przed CIA.

Rzymek parsknął śmiechem. - Czyli gramy dalej razem?

- Oczywiście. Dlatego się spotykamy.

Do pachnącej kawy "Robusta Chery" zamówili jeszcze po lampce koniaku.

- Nie do końca wszystko rozumiem.

- To proste. My i wy musimy patrzeć Amerykanom na ręce. Oni czują się zbyt pewnie w Europie. Zwieramy szeregi, by pewne zadania zaplanować razem, by wymieniać informacje częściej i bezpośrednio.

- To coś nowego. Nasze szefostwa dogadują się w tej sprawie?

- Jeszcze nie. Chcemy najpierw przygotować polski resort na nasze propozycje. Żeby nie był zaskoczony. I mamy nadzieję, że pan nam w tym pomoże.

- W czym?

- Interesuje nas, z kim moglibyśmy u was pogadać szczerze. Bo z wierzchu wydajecie się wszyscy tacy proamerykańscy. Zapominacie o Europie.

- Amerykanie gwarantują nasze interesy.

- Pozornie ma pan rację. Ale w naszym fachu musimy uwzględnić każdą ewentualność. Co pan powie, gdy Ameryce przestanie się coś u nas podobać pewnego dnia? Trzeba wziąć to pod uwagę. Niech pan dowie się, co kto myśli w sztabie, jakie opinie wygłasza, jakimi kieruje się sympatiami. Dla dobra Europy.

- Panowie, o co wam tak naprawdę chodzi?

- Nie owijajmy w bawełnę. Proponujemy współpracę.

Rzymek poderwał się na równe nogi, nie wierząc własnym uszom, lecz dwóch osiłków z obstawy usadziło go z powrotem na krześle.

- Spokojnie, pułkowniku. Nie dopił pan kawy.

- Coś wam się pomyliło.

- Raczej nie. Zechce pan nas wysłuchać do końca.

Rzymek wzruszył ramionami.

- Podejmie pan współpracę z nami albo... Albo wyleci z pracy. Skompromitowany. W

świecie jupiterów. Wprost do pierdła. Z pewnością nie spodoba się to pańskiej rodzinie, synowi...

- Odpierdolcie się od syna.
- Spokojnie, tylko rozmawiamy. Nie ma powodu do zdenerwowania.
- To jakaś bzdura!

- Panie pułkowniku. Pański resort, a szczególnie pan minister Borowicz, jest niezwykle wyczulony na niełojalnych funkcjonariuszy. Jakżeż byłby zasmucony, czytając w gazetach: "Podpułkownik służb specjalnych, były esbek, kryje agenta Stasi" albo "Potajemne spotkania komunistycznych prowokatorów". Kojarzy pan? A może poinformował pan przełożonych o swoich związkach z obywatelem Lipko vel pastorem Linde? Jeśli tak, to odczepimy się. I adieu. Au revoir. Szlus.

Rzymek wlepił wzrok w blat stołu.

- Powie ktoś, że grzech młodości. Prawda, przykre. Grzeszył pan długo. Za komuny sza, po komunie sza. Tego nie wybacza regulamin służby. Chronił pan i prowadził agenta Stasi. Na miejscu ministra Borowicza zamarłbym z przerażenia. W trwodze o własny stołek, oczywiście. W jego resorcie jadało i piło się wśród agentów Stasi. Opozycja powie, że minister też agent. Cała struktura towarzyska, misternie dziergana przez Borowicza, rozsypie się w drobny mak agentów Stasi. Generał Brzeski będzie miał szczęście, jeśli zdąży na emeryturę.

Rzymek objął głowę rękami.

- Pułkowniku, miałeś Linde za głupka? Nas za głupków, że pozostawiliśmy Linde bez opieki? Nie, takie rzeczy się nie zdarzają. Wystarczyło włączyć system rejestrujący i wasze tète á tète z pastorem otrzymaliśmy w darze. W darze opatrności.

Rzymek milczał.

- Milczy pan. To zrozumiałe. Po Lipce spodziewał się pan wdzięczności, prawda? Nie musi pan odpowiadać.

- Kim jesteście? - zapytał Rzymek z wysiłkiem.
- Powiedzmy, że rządową grupą do zadań specjalnych.
- Czego chcecie?
- Na początek szczegółów umowy Borowicza z Zieffem.
- To nie mój szczebel.
- Przecież wiemy. Ale postara się pan.
- Jeśli nie?
- Wykończą pana swoi.

Rozdział IX

- Dotknij. Hm? Nie śpij. Słyszysz?
- Dobrze.
- Ale nie tak.
- Oj, kochana, daj spokój.
- Daj spokój i daj spokój. Wpierw się łąsisz, a potem śpisz. Proszę.
- Pocałuję.
- Dobrze, nie musisz się wysilać.
- Kocham cię, Dana.
- Kocham i Kocham. Gadaj zdrów.
- Gadaj zdrów? Jak to rozumieć? Żartujesz sobie ze mnie. Nie szkodzi. Jesteś boska. Czuję się jak w raju. Trzeba kochać, żeby tak czuć.
- Ja też Kocham. Więc byliśmy w raju?
- Tak.
- Wspaniale. Ale teraz może byś wyszedł spod tego prześcieradła. Wiesz, która godzina?
- A co mnie obchodzi godzina.
- To ja pierwsza.
- Tylko nie bierz mego ręcznika.
- Który to?
- Wisi przy prysznicu, niebieski.
- Górecka puściła wodę w łazience. - Wybierasz się na konferencję w sprawie organizacji Falun Gong?
- Co mówisz? Nie słyszę. Przymknij prysznic, kiedy chcesz coś powiedzieć.
- Pytam, czy idziesz na Falun?
- Chyba tak. A ty?
- Zastanawiam się. W razie czego opowiesz mi, prawda? Czy w tym hotelu przydzielają ciepłą wodę w porcjach? Zrobiła się letnia.
- To uciekaj, bo dla mnie zabraknie.
- No, taki mężczyzna jak ty, może się myć w zimnej wodzie.
- Wiesz, dziękuję za uznanie, lecz wolałbym... Splywaj!
- Już. Możesz wchodzić. Tylko pośpiesz się, jeśli mamy zjeść śniadanie.
- Do stolika, przykrytego białym obrusem, wyhaftowanym po brzegach w smoki, podjechał kelner z kilkunastoma talerzykami. Górecka wybrała tłustą szynkę i twarożek dla siebie, Langtonowi zaś postawiła sałatkę z warzyw i kilku gatunków sera. - Lubisz, prawda?
- zapytała.
- A nie mógłbym popróbować czegoś innego?
- A twoja dieta? Sam mówiłeś, że brzuch ci rośnie. Mnie to nie przeszkadza, tylko przypominam.
- Wiesz, Dana, nie umiałbym bez ciebie żyć. Kocham. Jesteś taka, hm, konsekwentna.
- Dobra, wcinaj. Zdecydowałam się, pojedziemy razem na Falun Gong. To daleko?
- Kawalek.
- Świat tym się interesuje. Organizacja Falun, niezależna, w sporej mierze buddyjska, nie podoba się władcom czerwonych Chin.

Przystanąła przy wielkiej palmie, wyrastającej spod posadzki. Langton pobiegł na parking po samochód. Było to eleganckie czerwone lamborghini. Górecką zamurowało. - Nie wiedziałam, że jeździsz takim wozem.

- Bo to niespodzianka. A co, myślałaś, że tylko O'Briena stać na lamborghini?

- Właśnie.

- Kupiłem na raty. Dla ciebie, Dana. Zauważyłem, jak przyglądałaś się temu samochodowi. Z jakim zachwytem i zainteresowaniem.

- Tak myślisz?

- W tym względzie żadna kobieta mnie nie zmyli. Od razu je wyczuwam.

- Proszę, jaki znawca kobiet.

- Czekałem na specjalną okazję, żeby ci powiedzieć o tym wozie. Pytasz, a co to za okazja?

- O nic nie pytam.

- Dobrze. Chcę, byśmy pojechali lamborghini do ślubu. Kocham ciebie. To mój prezent zaręczynowy. Jesteś dla mnie taka bezcenna.

- Stephen, nie wiem...

- Nic nie mów. Obmyśliłem wszystko ze szczegółami. Urządzimy wielkie przyjęcie, a kardynał Giusti poprosi kardynała Kanga Webi, by dał nam ślub w Pekinie.

- Przecież ty nie masz rozvodu kościelnego.

- Wiesz, tu, w Chinach, kardynał Kanga to zrozumie.

- Ale na to potrzeba zgody papieskiej.

- Komu jak komu, ale tobie papież nie odmówi.

- Mnie? To ty się rozwiodłeś.

- No, wiesz. To wszystko dla twego szczęścia. Papież zrozumie.

Reinert popijał herbatę w ogrodzie Yang Binga. Gospodarz nie nadchodził, więc Tran, bez którego Yang Bing nie mógł się ostatnio obejść w żadnej sprawie, wiercił się na krześle. Napięcie wisiało w powietrzu. Spotkanie odbywało się przecież na kategoryczne życzenie Reinerta.

- Często pan u nas bywa - zagaił Tran.

Reinert pokiwał głową. - Interesy. Mówiłem przez telefon, że interesują mnie wyłącznie interesy.

Yang Bing wszedł ponury. Odsunął swoje krzesło jak najdalej i usiadł samotnie pod ścianą. Wpatrywał się przez chwilę w gościa, aż w końcu wypalił: - Dziwnie pan postępuje. To niesłychane. Czego pan jeszcze chce? Tran, sprawy finansowe z panem załatwiliśmy do końca?

- Tak, panie Yang - Tran uniósł się w ukłonie nad stołem.

- Zdrajca Ji Shengde bezczelnie śmieje mi się wciąż w twarz, a pan co robi, spotyka się ze mną? Ji Shengde i bez tego domyśla się pewnie, że pan pracuje dla mnie. Nie wiem, po co pan nalegał na to spotkanie.

- To temat intrygujący sam w sobie - wolno wycedził Reinert, nic sobie nie robiąc z podenerwowania Yanga.

- Więc słucham, słucham.

- Pan ma kłopoty.

- Po zlikwidowaniu generała Ji moje kłopoty znikną.

- Pan potrzebuje szerszej pomocy. A ja oferuję panu taką pomoc.

- Poradzę sobie.

- Pańscy towarzysze z Guojia Anquanbu poprzehodzili na stronę generała Ji. Niewiele atutów pozostało panu w ręku.

- Przyjdzie jeszcze czas na rozprawę ze zdrajcami.

- Jeśli dowiedzie się panu, że zlecił pan zamach na kardynała Giusti, potem na generała Ji Shengde, czeka pana śmierć bez honoru za zdradę państwa.

- Nie rozumiem - Yang zamrugał oczami.

- To, że jest pan zleceniodawcą zamachów, postarałem się udokumentować najnowocześniejszą techniką, we fiolecie i w podczerwieni. Gramy w lidze profesjonalistów.

Yang poderwał się na równe nogi. Chciał krzyknąć, ale zasłonił usta rękami. Z dłońmi na twarzy wybiegł po schodach do ogrodu. Chodził ścieżkami w tę i w tę, nie zatrzymując się na moment. Tylko raz podbiegł do Trana i poprosił o ogień. Tran podpalił mu papierosa drżącymi rękami. - Teraz też jesteśmy filmowani? - zapytał Yang.

- Teraz nie ma potrzeby.

Uspokoił się. - Ji nie kupił pana. Pan nie pracuje dla Ji. Bo czegoś szukałby pan u mnie dziś? Pan mówił o jakimś interesie na początku. Jaki interes miał pan na myśli?

- Cieszę się, że zaczynamy się rozumieć.

- Więc słucham, słucham.

- Przejmę interesy Zoecke. Kontakty, udziały w firmach, miejsce przy pańskim stole. Pan zapomni o Zoecke.

- Zapomni? Czy Zoecke zginie?

- Tak.

- Co otrzymam w zamian?

- Moją przyjaźń.

- A Ji?

- Zlecenie zostanie wykonane jak każde inne.

Yang Bing podniósł się z krzesła, podszedł do Reinerta i ucałował go w oba policzki.

Po wyjściu gościa Yang jeszcze długo nie mógł dojść do siebie. Dygotał na ciełe. Dopiero napar z kropel tartazine, który przygotował mu Tran, poskutkowało. Yang mógł myśleć normalnie. Wierzył, że po powrocie do biura chwyci sprawy w garść i uporządkuje. Da Chinom nową twarz. Twarz Wielkich Chin. Wtedy Reinert dostanie kolejne zadanie.

- Planuje pan następne zadanie dla Reinerta? - odezwał się Tran.

- Zgadujesz moje myśli. Sam papież rzymski chce zakłócić chińską tradycję. Nigdy nie zgodzę się, by stanął on na naszej ziemi.

Wyśledzenie miejsc pobytu i tras przejazdu generała Ji Shengde stanowiło dla Reinerta niemały problem. Ji otoczył się zaufanymi ludźmi. Ci, podobnie, wzięli pod rozkazy najwierniejszych. Najwierniejsi nie inaczej zaangażowali do współpracy najlepszych. Utworzony w ten sposób kordon bezpieczeństwa tak skutecznie osłaniał generała przed światem, że Reinert nie był w stanie dotrzeć do jakichkolwiek informacji. Świetnie wyszkoleni funkcjonariusze Gonganbu, ubrani w mundury z żółtymi wypustkami, nie tylko nie odpowiedzieliby na żadne pytanie o generała Ji, lecz natychmiast go aresztowali.

Do tego Ji postanowił wykorzystać jedną z sekcji Guojia Anquanbu, która wypowiedziała służbę Yang Bingowi. Sekcja ta wyróżniała się czerwonymi wypustkami na mundurze. Generał wierzył w lojalność jako wartość samą w sobie, lecz bez przesady. Skoro część aparatu bezpieczeństwa Yanga nie okazała się lojalna i zdecydowała się słuchać jego rozkazów, przyklasnął temu. Z "czerwonych" utworzył korpus kontroli wewnętrznej do inwigilacji "żółtych". W ten sposób zbudował strukturę osobliwą, gdzie niewierni kontrolowali wiernych. I wygrał. Stworzył organizację służby nadzwyczaj hermetyczną, nieprzeniknioną i nieprzekupną.

Reinert nie umiał się do niej zbliżyć. Raz o mało nie wpadł. Wykorzystując luan qi ba zao, czyli słynny chaos komunikacyjny na ulicach Pekinu, ruszył starym truckiem ku kolumnie aut z fordem generalskim. Cztery wozy zablokowały go z piskiem opon, że ledwie zdążył wyskoczyć i uciec w tłum, unikając konfrontacji.

Postanowił zmienić taktykę. Skoro nie odniósł sukcesu w polowaniu, wybrał rolę zająca. Rolę myśliwego odstąpił generałowi Ji Shengde. Spodziewał się dojrzeć cel z

najbliższej odległości.

Dom Zoecke obejrzał dokładnie. Był na podsłuchu. Z niewielką walizką zakradł się niepostrzeżenie od strony ogrodu.

Nie czekał długo. Z sieni usłyszał donośny głos Zoecke: - Lili, Lili.

- Ktoś pytał o pana - powiadomiła Zoecke gospodyni.

- Kto?

- Pan Reinert. Tak się przedstawił.

Zoecke zbladł. - I co?

- Poszedł sobie.

- Zamknij dobrze wszystkie drzwi, a ja gdzieś zadzwonię.

Zoecke otworzył drzwi sypialni i zapalił światło. Przerażony, zrobił krok w tył, lecz nie miał gdzie uciekać. - A, to ty - powiedział cicho.

- Więc do kogo zadzwonisz?

- Chciałem do Yanga...

- Dzwoń. Potem porozmawiamy.

Zoecke wykręcił numer. - To ja. Jest u mnie...

Reinert wyjął pistolet i nie wkręcając tłumika, strzelił Zoecke prosto w czoło.

- Jest pan tam jeszcze? Śmierć zdrajcom! Niech pan nie zapomina o naszej umowie - Reinert powiedział do bujającej się w powietrzu słuchawki.

Czekał. Krew Zoecke utworzyła kałużę na środku dywanu. Po paru minutach usłyszał pierwsze piski opon. Otworzył małą walizkę. Wyjął z niej kolbę, lunetę i pozostałe części karabinu, po czym sumiennie skręcił je w całość. Wyrzucił przez okno. Dom obstawiały szczelnie samochody policji i kilka wozów Gongambu. Chrząknął z satysfakcją. Zobaczył limuzynę generała Ji Shengde.

Ji wyprostował plecy i przez dłuższą chwilę lustrował okna domu. W tym czasie policjanci i funkcjonariusze w cywilu zdawali mu raporty. Ji kiwał głową nieustannie, że rozumie. Jego sylwetkę zasłaniało wysokie ogrodzenie.

- Reinert! Słyszysz, Reinert. Wiemy, że tam jesteś. Dom otoczony. Poddaj się, Reinert. Wiemy o tobie wszystko. Dajemy ci gwarancję bezpieczeństwa. Staniesz przed sądem międzynarodowym. Przeżyjesz. Decyduj się. Bo od tej chwili odliczamy pięć minut. Potem zginiesz - krzyczał przez megafon przyboczny oficer generała Ji.

Reinert odbezpieczył karabin i przyłożył lunetę do oka. Głowa Ji mignęła mu w środku celownika. Włożył lufę między żaluzje i przystawił do szyby. Wymierzył w sam środek skroni. Bez zwłoki, spokojnie nacisnął spust. Generał Ji skinął głową. Kula otarła się o kość czaszki i utkwiała w asfalcie. Generał padł na ziemię nieprzytomny. Serie z broni automatycznej posiekały okno, z którego padł strzał, w drobny mak.

Reinert rozłożył karabin i schował go do walizki. Zwinnymi susami przedostał się do pionu zsykowego, wymurowanego od zewnątrz. Ten pion zbudowano na specjalne życzenie Zoecke jako drogę nagłej ewakuacji. Reinert zjechał rurą w dół, do piwnicy, niczym wór ze śmieciami. Stamtąd przepchał się kanałem wentylacyjnym do wjazdu na końcu ogrodu. Podważył kratę. Kiedy policjanci i funkcjonariusze służb bezpieczeństwa szturmowali dom, przeskoczył płot i zniknął z pola widzenia.

Rano włączył radio i telewizję. To, co usłyszał, wprawiło go w furję. Generał Ji Shengde przeżył. Lekko ranny, z bandażem na głowie, pokazał się publicznie. Podano komunikat, że na jego rozkaz aresztowano towarzysza Yang Binga. Oficjalny tekst rządowy, wydany w tej sprawie, głosił, że Yang Bing sprzeniewierzył się w swym postępowaniu linii partii, prowadził wątpliwe, obce partii interesy, wykorzystywał zajmowane stanowisko do lansowania własnej polityki, niezgodnej z wolą partii i narodu chińskiego.

Reinert patrzył w sufit. Płatki śniegu latały mu pod powiekami. Nerwowo przewrócił się na bok. Osaczono go. Jego pole manewru skurczyło się. Yang Binga aresztowano, Tran robił w portki, a Zoecke smażył się w piekle. Był zdany na łaskę i niełaskę Fuk Ching.

Poczuł potrzebę ostatecznego rozmówienia się z Songiem. Bez namysłu podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Przed końcem rozmowy coś zazgrzytało w aparacie. Odrzucił słuchawkę. Podbiegł do okna. Kilka starych kobiet przechodziło z koszami, pełnymi cytryn. Zwlekał, nie wiadomo, dlaczego. Wreszcie chwycił walizkę i plecak. Po kilku krokach ku schodom usłyszał wycie syren wozów policyjnych, obstawiających dom. Mieszkanie, które wynajął dzień wcześniej, okazywało się być pod obserwacją.

Musiał się przebić. Z walizki wyjął automat szybkostrzelny, który nazywał czule "Runia", załadował go i odbezpieczył. Z plecakiem na ramieniu, z walizką i automatem w dłoni wybiegł na ulicę. Krótką serią skosił załogę najbliższego wyjącego i migocącego wozu. Zabitych zepchnął na asfalt i wskoczył za kierownicę. Ruszył z impetem, ostrzeliwując się przez okno. Kilka trafionych samochodów zapaliło się. On też ciągnął za sobą dym. Obejrzał się. Ogień sięgał jego pleców i dobierał się do baku z paliwem. Skręcił w najbliższą ulicę i wyskoczył z pędzącego pojazdu. Sąsiednim pasem nadjeżdżał van. Usłyszał jeszcze pisk opon. Potem poczuł uderzenie. I nic więcej.

- Takie piękne popołudnie. Ruszmy się na spacer, dla zdrowia - zaproponował Langton, gdy Górecka ziewnęła przy filiżance kawy.

- Pójdźmy do Ogrodu Pięknych Widoków. Dobrze to nam zrobi - podchwycili O'Brien i Dai.

Wielki kompleks ogrodowy Pekinu przeczesywały z rzadka grupy turystów. Langton prostował ramiona, a Górecka podskakiwała niczym dziewczynka przy grze w klasy. - Działasz ostro, co? Tylko tego poparcia macie wciąż za mało - powiedziała w stronę Dai.

- Czas pracuje na naszą korzyść. Nie tak prosto zarazić demokracją wszystkich Chińczyków - Dai zachnęła się.

- Ciągłe gdzieś jeździ, angażuje się, przekonuje. Zobaczycie, w końcu aresztują ją. I co ja wtedy zrobię? - O'Brien zmartwił się.

- Pojedziesz wreszcie do Xiamenu, oazy rozpusty, bo marzysz o tej przejażdżce od dawna, tylko ponoć ja cię powstrzymuję - Dai zrobiła słodką minę.

Górecka przeskoczyła na jednej nocy przez kolejną płytę chodnikową. Skrzyżowała nogi i znów przeskoczyła. - Ani jednej skuchy!

Odwróciła głowę. W bocznej alejce stał Bo i uśmiechał się otwarcie. Poznała go od razu. Dygnęła jak dziewczynka. Bo ponowił ukłon. Zrozumiała, że Bo ma sprawę. Przeprosiła na moment przyjaciół.

- Co dobrego? - zapytała, oparta zalotnie o drzewo, takie grube jak Bo.

- Wiadomość od Songa. Mam ją przekazać, a potem prosić panią o przybycie.

- Słucham.

- Mamy Reinerta. Reinert jest w naszych rękach niekoniecznie z własnej woli. Song pyta panią, co ma zrobić.

- Macie Reinerta? Nie rozumiem. Mów dalej.

- Reinert uciekał przed policją, a ja jechałem do niego z wiadomością od Songa. Pani to wie, w sprawie broni. Wyskoczył z samochodu i wpadł akurat pod mój van. Uderzyłem go maską, więc wpakowałem nieprzytomnego do vana i gazu. Teraz pilnują go nasi ludzie. Ma twarde kości i nic mu się nie stało. Kiedy obudzi się, nie będzie wiedział, co się z nim dzieje.

- O co Songowi chodzi?

- Prosi panią o radę. Song nie chce gadać z policją, pani wie. Honor nie pozwala mu zadunecjować klienta.

- Poczekaj, porozmawiam z przyjaciółmi.

Górecka podbiegła do Langtona i przytuliła się do jego ramienia. - Wiecie co, stało się coś ekscytującego i ważnego. Bo, ten Chińczyk z Fuk Ching, przyniósł mi wiadomość, że przyskrzynili Reinerta, tego zamachowca z balonu McDonald'sa. Co ty na to, John? -

zwróciła się bezpośrednio do O'Briena.

- Super. Wtedy o mało go nie trafiłem.

- Ale co robimy?

- My? A co ten Chińczyk proponował?

- Żebyśmy przejęli Reinerta i oddali go policji. Bo Fuk Ching tego nie robi. Mają swoje ale.

- Jestem za. W Chinach dadzą mu czadu. A może oddadzą go trybunałowi międzynarodowemu?

- A czy to nie będzie niebezpieczne? - wtrącił swoje Langton. - Przecież to terrorysta, najwyższej klasy spec od mordowania.

- To co robimy? - Górecka mówiła tylko do O'Briena. - Siedzi pewnie w jakiejś piwnicy i nawet nie wie, w czyich jest rękach. Staniemy przy drzwiach. Wezwiemy policję. I niech nam generał Ji Shengde gratuluje.

- Czy mogę coś powiedzieć? - cicho zapytała Dai.

Górecka nie zwróciła na nią uwagi. - To będzie wydarzenie na czołówki gazet. Stephen, ostrz pióro. Przecież cały świat poszukiwał tego drania.

- Dana, przepraszam - tym razem głośniej odezwała się Dai. - Pozwolisz mi coś powiedzieć?

- Wybacz. Mów. Ja się tak cieszę...

- O Reinercie słyszeliśmy wszyscy. Chiński ruch demokratyczny wielokrotnie ubolewał, że tego typu osobnik znajduje warunki dla swojej działalności w naszym kraju. Mamy pewne przypuszczenia na ten temat - Dai wzięła oddech i zamilkła.

- Ale o co ci chodzi? Mów po ludzku. Mamy faceta!

- Widzisz, i co z tego? Zajmą się nim nasze służby specjalne, policja, CIA. Coś uzgodnią, odeślą, przejmą. Wiesz, jak to jest.

- Czego chcesz? Żebyśmy go sprzątnęli? Co tobie chodzi po głowie.

- Oczywiście z waszego punktu widzenia taki scenariusz wydarzeń może być korzystny - kontynuowała Dai. - Będziecie mieć problem z głowy. Czekają na was nagrody, zaszczyty. Ale dla Chin, dla naszej walki, jest to złe rozwiązanie. Nam chodzi o coś więcej. Wiemy albo domyślamy się, że Reinert działał na zlecenie chińskich mocodawców. Dla nas nie Reinert jest najważniejszy, lecz ci mocodawcy. Chcielibyśmy wskazać na nich. Pokazać ich twarze, plany, intencje, metody działania. I wyeliminować z życia politycznego Chin na zawsze. Zeznania i świadectwo takiego osobnika jak Reinert dałoby naszej demokracji wielką szansę, umocniłoby ludzi demokracji, zmiotłoby z powierzchni polityki ludzi niecných.

- Wypytamy Reinerta. Gdy przyciśniemy go do muru, powie wszystko - odezwał się Langton.

- To spec, agent, fachowiec. Będzie liczył na ekstradycję, szczęśliwy zbieg wydarzeń, ucieczkę. Żadne oficjalne śledztwo nie przestraszy go. Trzymanie języka za zębami będzie jego atutem do końca. Beznadzieja.

- Wiecie co, Bo tam czeka, a my gadamy. Sama mówisz, że to beznadziejne - zdenerwowała się Górecka.

- Wiem, o co chodzi Dai. Mam pomysł! - podskoczył O'Brien. - Po prostu musimy zbajerować faceta!

- Zgadza się - Dai uśmiechnęła się. - Ale jak to zrobić? To diabeł kuty na cztery nogi. Nie przestraszy się ani was, ani generała Ji Shengde.

- Właśnie. Co innego, gdyby uwierzył, że chcą wyeliminować go jego mocodawcy. Rozumiecie?

- Tak. Ale jacy mocodawcy? - Langton dostał wypieków na twarzy.

- Podejrzewamy, że za wszystkim stoi Yang Bing. Generał Ji odsunął go od władzy, czyli zapudłował. Wszystko się zgadza. Gdyby Ji miał wątpliwości, nie ryzykowałby z

Yangiem.

- Będzie to smocza mistyfikacja. Poprzebieramy ludzi Songa za żółte i czerwone smoki - rzekł z dumą O'Brien i przekręcił się na pięcie, aby sprawdzić, jakie zrobił wrażenie.

Górecka nie dała się zbić z pantalyka: - Chyba nie muszę zapewniać, że mam pełne zaufanie do CIA.

Bo nie zaprotestował, kiedy czworo przyjaciół wgramoliło się do jego vana. Po kilkudziesięciu minutach Song powitał ich herbatą z żółtej róży.

Reinert obudził się. Chciał dźwignąć się z lodowatego betonu, lecz nie mógł. Bolały go plecy i ramiona, kłuły piersi. Drżał na całym ciele. Wyprostował zdrętwiałe nogi. Pod językiem czuł krew i zęby, dziwnie ruchome. Przewrócił się na bok. Obdrapane, wilgotne ściany wprawiły go w przygnębienie. Z wysiłkiem wsparł się plecami o beton i wyjrzał przez zakratowane okienko. Po podwórzu, które zobaczył, biegały szczury.

Zapamiętał, że wpadł pod samochód. Dopadli go, skoro leżał w piwnicy, a nie w szpitalu. Tylko kto? Dotknął ręką twarzy. Wyczuł co najwyżej dwudniowy zarost. Pomyślał, że skoro go nie zabili, to ktoś doniesie żarcie. Wtedy dowie się, w czyich jest rękach.

Zasuwa w drzwiach poruszyła się bezszelestnie. Do środka weszło kilku ludzi z pistoletami i latarkami. Dwaj umundurowani Chińczycy wykręcili mu ręce do tyłu i skuli kajdankami. Był zbyt zaskoczony, by zareagować. Nim zorientował się, co z nim robią, wepchnięto go na krzesło i razem z meblem przywiązano do okna grubymi sznurami. - Z tym facetem żartów nie ma. Pamiętajcie! - ostrzegła jakaś kobieta.

Popatrzył na nią pod światło latarek. Początkowo nie był pewien, czy ją poznał. Ale kiedy syknęła do niego: - Cześć, Reinert - przypomniał ją sobie w całej okazałości. To była ona. To ona gonila go po balonie McDonald'sa, przeklinając "Sru!" we wszystkich językach świata.

- Baranek nie wymknie się nam teraz - oznajmił O'Brien.

Cmoknął na widok czarnego faceta z dwunastonabojowym browningiem w dłoni. Ten czarnuch strzelał do niego, strzelał, ale trafił w balon. - Czarny bracie, mieliśmy okazję poznać się wcześniej - odezwał się beztrasko. - Brawo, bracie. Trafiałeś w balon za każdym razem niczym w dziesiątkę na tarczy.

- Nie opuszcza cię dobry humor, Reinert. Ale wszystko do czasu, wierz mi - Górecka mówiła zdecydowanie, bez wrogości. - Przyszliśmy pogadać.

- To wy tu mnie przywlekliście czy żółtki?

- A co cię to obchodzi? - wypalił O'Brien. - To my zadajemy pytania.

- Niech pan zrozumie swoją sytuację - rzekł mediacyjnie Langton. - To koniec pańskiej działalności. Teraz od pana zależy, co będzie dalej. Czy porozmawia pan z nami grzecznie, a my porozmawiamy z władzami chińskimi w duchu porozumienia, by zezwoliły na pana wyjazd z nami, czy pójdzie pan pod sąd miejscowy. A pan dobrze wie, jak Chińczycy sądzą takich jak pan.

Nie czekając, aż Reinert odpowie, Górecka burknęła: - Słuchaj, mamy krótkie pytanie. Powiesz nam, kto cię wynajął i jakie przyjąłeś zlecenie. To proste. Powiesz, uratujesz życie. Sru! Przecież Chińczycy cię rozwalą.

Reinert zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią. Kręcił szyją pokazując, jak mu ona drętwieje. Próbował wyprostować nogi. Jednak więzy, które trzymały go w pozycji siedzącej, nie puszczały. - Ciężko rozmawiać - odezwał się z wysiłkiem.

- Więc jak będzie?

- Spierdalajcie!

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Nie mógł zasnąć, mimo iż strażnicy ułożyli go na grubym sienniku i popuścili liny. Analizował poirytowany, dlaczego ludzie, którzy go przetrzymywali, dali się odprawić jednym mocnym słowem. Spodziewał się gróźb, szantażu,

propozycji współpracy naprzemian z przystawianiem pistoletu do skroni. Miał do czynienia z agentami CIA przecież, więc jak to możliwe?

Nad ranem strażnicy przywiązali go znów do krzesła i podali kubek gorącego wywaru z warzyw i liści. Poczul się jeszcze głodniejszy. Aby nie zdrętwieć, prostował się w sobie, wciskając plecy w oparcie siedzenia. Usłyszał pojedyncze słowa. Chińczycy rozmawiali ze sobą. Wytężył słuch. Mimo iż mówili cicho, wtrącając jedynie z rzadka angielskie słowa, rozumiał ich. Musieli kontaktować się wcześniej z kimś z CIA, bo teraz przekazywali sobie wieści ze śmiertelną powagą.

- Broń w pogotowiu. Żadnych spacerów, rozmów z więźniem. To zalecenie CIA. Po trzech godzinach nas zmienią.

- To dostajemy wzmocnienie?

- Tak. Kompanię wartowniczą Gonganbu.

- Czy coś się stało?

- Generał Ji Shengde ogłosił alarm. Ponoć Yang Bing dał nogę z aresztu, a wierni mu ludzie z Guojia Anquanbu zdobyli broń i weszli do starych koszar. Prawdopodobnie zaatakują nas. Chcą zlikwidować tego więźnia, bo za dużo wie.

- A my co? Mamy go bronić, by zeznawał przed sądem?

Korytarz zadudnił wpierw pojedynczymi, a potem coraz liczniejszymi krokami. Reinert zeszytniał jak słup soli. Jeden ze strażników zawołał: - Stój! - Kroki zbliżały się natarczywie. - Kto wy? Nie widzę naszywek. "Żółci" czy "czerwoni"?

Przez długą, ciężką chwilę nie słyszał nic. Dopiero po dobrej minucie zaczęły dochodzić do jego uszu głosy i śmiechy strażników. Odetchnął, że przybyli jednak "żółci".

Drzwi otworzyły się. Do piwnicy weszło trzech "żółtych" funkcjonariuszy Gonganbu i dwie kobiety. Przechylił ku nim głowę z ciekawością.

- To formalne przesłuchanie. Pani oficer będzie tłumaczyć - poinformowała go Górecka, przedstawiając Dai. - Proszę - zwróciła się do funkcjonariuszy.

Jeden z "żółtych" zapytał: - Jak się pan nazywa? - Dai przetłumaczyła.

- Przecież wiecie. A jeśli nie wiecie, to ta pani wie - Reinert wskazał na Górecką.

Dai przetłumaczyła. Drugi z funkcjonariuszy zanotował jego słowa.

- Co pan robi w Chinach?

- Zwiedzam. Jestem turystą.

- Według naszych informacji jest pan płatnym zabójcą. Kto pana wynajął?

- Zwiedzałem Chiński Mur.

- Jakie zlecenia pan otrzymał?

- Mówię grzecznie, puśćcie mnie, bo to nieporozumienie. Tej pani - popatrzył znowu na Górecką - coś się pomełdało. Bierze mnie za kogoś innego. Rozumiecie, biały podobny do białego.

- Czy zna pan towarzysza Yang Binga?

- Towarzysza? Nie znam żadnych towarzyszy.

- Będzie pan oskarżony o dwa zabójstwa i dwie próby zabójstwa. Sąd Ludowy Chin orzeknie o pańskiej winie.

- Jakie zabójstwa? Nie macie prawa mnie sądzić.

- To się okaże. Zeznając prawdę, może pan tylko pomóc sobie. Osiem lat temu zabił pan kardynała Chen Li, niedawno obywatelkę Su Zhihong. Zamierzał pan zabić kardynała Giusti i generała Ji Shengde. Na czyje zlecenie?

- To jakieś brednie. Koniec rozmowy - Reinert odwrócił głowę ostentacyjnie do okna.

Po trzech godzinach dostał kubek tego samego wywaru z liści konopi, co poprzednio. Przed oczami zamajaczyły mu obłoki niebiesko - pomarańczowe. Zdrzemnął się.

Nad ranem przebudziły go hałasy. Poderwał się nieprzytomny i spocony. Powietrze drgało od kanonady wystrzałów. Serie z broni maszynowej oświetlały podwórze niczym robaczki świętojańskie.

Uchwycił się krat okiennych i wspiał do góry. Na widok rozgorzałej walki ciarki przeszły mu po krzyżu. "Czerwoni" atakowali "żółtych". Zrozumiał, że chodzi o niego. Zsunął się na podłogę i kopnął parę razy w drzwi. Krzyknął, by dano mu broń, ale nikt go nie usłyszał.

Strzelano coraz bliżej. W pewnej chwili drzwi ustąpiły po mocnym pchnięciu. Dwie głowy "żółtych" zajrzały do środka: - Jest tutaj. Co robić?

- Wycofujemy się.

- Co z nim?

- A co nas to obchodzi.

Reinert zdrętwiał. Ryknął jak tylko mógł donośnie: - Nie zostawiajcie mnie!

- My tu nie dowodzimy.

- Gdzie ci z CIA? Poszukajcie ich.

- Chcesz z nimi gadać?

- Tak.

Górecka weszła jako pierwsza. - Chciałeś rozmawiać?

- Weźcie mnie stąd.

- Na czyje zlecenie działałeś?

- No, dobra. Yang Binga. Zapłacił mi za...

- Chwileczkę.

Zawołała na korytarz: - Przyjdźcie tu z kamerą. - Potem zwróciła się do Reinerta: - Chyba rozumiesz, o co chodzi.

Rozumiał. Czekał cierpliwie aż Dai, z pomocą Langtona i O'Briena z browningiem, wepchniętym zawiadaczko za pasek spodni, ustawi kamerę i zapali reflektor. Bez oporu dał się posadzić prosto na krześle.

- Mam siedzieć z kajdankami? - zapytał.

- Rozwiążcie go i rozkujcie. Niech wygląda, jakby mówił z własnej woli.

Kamera ruszyła.

- Jak się pan nazywa?

- Reinert. Jakub.

- Narodowość?

- Nie wiem.

- Jak to pan nie wie?

- Po ojcu jestem Niemcem, po matce...

- Zresztą nieważne. Czy przyznaje się pan do zabójstw na zlecenie?

- Tak.

- Na czyje zlecenie pan zabijał?

- Yang Binga. Mam na to dowody. Dlatego Yang Bing chce mnie sprzątnąć.

- Gdzie te dowody?

- Ukryłem. Mam wszystko nagrane. Yang Bing nie wywinie się mi.

- Gdzie pan ukrył dowody?

- W skrytce bankowej. Klucz i kartę magnetyczną zabraliście przecież.

Słychać było jak Dai, stojąca przy kamerze, westchnęła. O'Brien wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Tylko Langton stał spokojnie. Skrzyżował ręce na piersi i zapytał: - Co pana łączyło z jakimś Zoeckem?

Górecka popatrzyła na Langtona z niedowierzaniem. Wiedział on o Zoeckem chyba od O'Briena?

- Mieliśmy wspólne interesy tu i w Europie, które przejąłem.

- Zabił go pan. Zabił, by przejąć jego interesy?

- Zdradził mnie.

- Nie było to więc zabójstwo na zlecenie? - zaciekała się Górecka.

- Nie. To sprawa honorowa.

- Odpowie pan za trzy zabójstwa. Czy przyznaje się pan do zabójstwa kardynała Chen Li, sprzątaczkę Su Zhihong, biznesmena Hendrika Zoecke?

- Tak. Możecie mnie stąd zabrać?

- Czy wiedział pan, do czego zmierzał Yang Bing? - odezwała się Dai.

- Tak. Mówił o tym otwarciu. Wszystko nagrałem. Chodziło o przejście władzy. Generał Ji miał szczęście. Spudłowałem - Reinert skrzywił się kwaśno.

- Czy zlecenie zabicia generała Ji Shengde było ostatnie?

- Tak. Ale facetowi chodziło o coś jeszcze. Wspominał o wizycie papieża.

- Chciał zlecić zamach na Papieża?

- Tak. Wiem to od jego współpracownika, Trana.

Dai wyłączyła kamerę i zgasiła reflektor. - To chyba wystarczy.

- Aż zanadto - zgodziła się Górecka.

Za murami słychać było wciąż pojedyncze strzały.

- Co za ulga - O'Brien przeciągnął się. Wyciągnął ręce do góry, odsłaniając browning za paskiem.

- To co, kończmy - zdecydowała Górecka. Odwróciła się do dwóch Chińczyków przy drzwiach: - Przekażcie waszym, by przestali strzelać. Jeden niech zostanie na straży.

Chińczycy wyszli. Wkrótce strzały umilkły. Zdziwiło to Reinerta. Siedział na krześle i nadśluchiwał. Nie strzelano, za to rozmawiano i śmiano się. Podniósł się lekko, by wyjrzeć na podwórze. Zobaczył "żółtych" i "czerwonych" Chińczyków, poklepujących się po plecach. Poznał Bo, goryla Songa. Odwrócił głowę. Dai złożyła kamerę i wyszła na korytarz. O'Brien triumfował, poruszając nieznacznie ramionami w takt rumbi. Langton chrząknął coś niewyraźnie.

Szrama na twarzy Reinerta zaróżowiła się i zapiekła. - To wszystko to była mistyfikacja? - zapytał, patrząc na Górecką.

- I kto to wymyślił? Ja! - odezwał się nie pytany O'Brien. - Inaczej niczego byśmy nie wydobyli z pana. Ha!

Reinert pokiwał głową z uznaniem: - To byli ludzie Songa, a Yang Bing nie uciekł z więzienia. Tylko pogratulować! Szczerze uznanie. Fachowiec to panu mówi, znam się na tym. Niech pan przybiję piątkę!

Zrobił krok z otwartą dłonią, podniesioną do klepnięcia.

- Ostrożnie! - krzyknął Langton. Ale nie zdążył powstrzymać przyjaciela. O'Brien odruchowo podniósł rękę. W ułamku sekundy Reinert wyszarpnął pistolet zza jego paska i wypalił mu prosto w serce.

Zabójca spokojnie przeładował broń, wycelował w Langtona i nacisnął spust powtórnie. Dopiero w tym momencie zaatakowała Górecka. Uderzyła z furią. Reinert poczuł piekielny ból łamanego przedramienia. Browning, który jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni, poleciał w górę jak z procy i wypadł przez okno piwniczne. Był bez broni, z prawdopodobnie złamaną ręką.

Nogą przesunął ciało O'Briena. Sprawdził. Było martwe. Drugi mężczyzna, do którego strzelił, wsparty o ścianę, osuwał się na podłogę, pozostawiając za sobą szeroką plamę krwi na białym tynku. W drzwiach, na drodze do wyjścia, stała kobieta.

- Jak się nazywasz? - zapytał pojednawczo.

- Górecka.

- Zejdź mi z drogi, a nic ci nie zrobię.

Górecka, po wyskoku, w pełnym obrocie trafiła go w skroń butem. Zachwiał się i upadł. Na wpół zamroczony poderwał się jednak jak automat i rzucił na nią. Przed upadkiem na głowę uratowała się saltem w tył. Znowu zasłaniała sobą drzwi. Krzyczała: - Strażnik! Strażnik! - a gdy zorientowała się, że nikogo nie ma: - Dai, broń! Broń! - Z oddali dolatywały przeciągłe sygnały wozów policyjnych, zbliżających się z różnych kierunków, zwabionych odgłosami wcześniejszej strzelaniny.

Reinert też to słyszał. Wepchnął obolałą rękę za koszulę i skoczył zdeterminowany przed siebie. Zamarkował cios nogą, w rzeczywistości wyprowadzając lewy prosty w brzuch. Górecka ugięła się w pół, stękając z bólu. Chciał kopnąć ją z rozmachu, powalić i zabić, lecz spóźnił cios. Zdążyła uchylić się i dzielić go kolanem w nos. Krew spłynęła mu do ust, na brodę, zalała koszulę. Machnął sierpowym, lecz przeszył tylko powietrze. Zachwiał się. W tym momencie otrzymał cios w kroczę tak potężny, że zdołał jedynie klęknąć bezsilnie. Drogę do wyjścia wciąż blokowała mu kobieta.

Nie miał czasu. Zebrał się w sobie i wyrwał naprzód, na oślep. Celne uderzenie wybiło mu ząb, mimo to dosięgnął Górecką. Wypchnął ją na korytarz i upadł na nią. Był cięższy. Przycisnął jej krtań pięścią. Jeszcze chwilę szamotała się, walcząc o życie. Wreszcie wyrzuciła go w obolałe ramię. Zwinął się w kłębek z grymasem nienawiści na twarzy, zwolnił uścisk i pozwolił wyrwać się z kleszczy.

Przez chwilę pożerali się wzrokiem. Ale to ona zaatakowała pierwsza, by wybić mu z głowy myśl o odwrocie. Celowała w podbrzusze. Jakimś cudem udało mu się łokciem odbić cios. Cofnął się o krok, o dwa. Za plecami miał wolną drogę. Dłużej nie zwlekał. Odwrócił się i zaczął uciekać co tchu. Kilkomna susami pokonał schody i wbiegł na podwórze.

Nikt go już nie gonił. Chińczycy, przebrani za funkcjonariuszy Gonganbu i Guojia Anquanbu, czmychnęli na dźwięk syren policyjnych. Wyzyskał sytuację. Kiedy pierwsze samochody na sygnale zatrzymały się przed posesją, obejrzał się jeszcze za siebie i zniknął między zaułkami murów.

Oficer policji Ling Chengzhi wszedł do piwnicy z bronią gotową do strzału. Zaskoczył go widok, jaki zastał. Dai szlochała na piersiach nie żyjącego O'Briena. Obok zwłok leżał browning, którego odszukanie zabrało jej zbyt wiele czasu. Górecka podtrzymywała omdlałego, trupiobladego Langtona i tamowała jego krew koszulą. - Co tutaj się stało? - zapytał oficer.

Górecka spojrzała na niego błędnie i spuściła głowę.

- Co się stało? Ktoś was napadł?

Górecka pokazała wzrokiem spazmującą Dai i rozmazaną na ścianie krew Langtona.

- Wszędzie ślady walki. Słychać było wiele karabinów, ale są tylko oni. Chyba w szoku - powiedział oficer Ling Chengzhi do telefonu.

Górecka spędziła cały dzień w szpitalu, przy łóżku Langtona. Gładziła jego twarz, czekając aż odzyska przytomność. Miał więcej szczęścia niż rozumu. Kula przeszła obok serca, naruszając płuco. Przebyta operacja dobrze rokowała. Lekarze zapewnili, że nic nie zagraża życiu pacjenta, byle się obudził. Siedziała więc przy łóżku kamieniem, poprawiając pościel, gadając do siebie jak katarynka trzy po trzy, nie starając się powstrzymać łez ulgi i rozpacz. Separatkę obstawiła wazonami ulubionych róż papieskich, nazywanych tak z racji odcienia żółci. Co jakiś czas zapadała w półsen. Wtedy stawał przed nią mistrz Chan z Tybetu. Mistrz pytał: - Co czujesz? - Ona odpowiadała: - Czuję wdzięczność dla twojej sztuki. Nie powstrzymała zła, ale uratowała moje życie.

Budziła się i wołała: - Stephen, Stephen. - Był taki blady i bezradny. - Słyszysz mnie? Kocham ciebie. A teraz obudź się. Kocham, kocham. Masz się obudzić!

Lekarze poprosili ją, by wróciła na noc do hotelu. Posłuchała. Była wyczerpana i roztrzęsiona. - Kocham cię, Stephen - pocałowała Langtona w usta na dobranoc.

W pokoju opanowała emocje. Zmusiła się, by pomyśleć konstruktywnie. Włączyła komputer i wysłała kodem krótki tekst do Warszawy: "Podjęta przez nas akcja ujęcia Reinerta zakończyła się fiaskiem. Informuję, że mój partner z CIA John O'Brien nie żyje. Zginął jak bohater w czasie akcji. Złóżcie kondolencje Amerykanom. Bardziej szczegółowy raport przekażę w późniejszym terminie. Rozważcie tryb i warunki dalszej misji bez wsparcia CIA. Pozdrawiam w smutku. D-12".

Rano zadzwoniono ze szpitala. Dyżurna pielęgniarka wołała do słuchawki głosem pełnym radości, że pan Langton oprzytomniał, spożył nawet pierwszy posiłek, a mianowicie witaminy w płynie, które bardzo mu smakowały, i był bardzo uprzejmy. Pytał o nią i dziękował za kwiaty.

Po trzech minutach ubierania się na łapu-capu sięgała już po klucz w drzwiach, gdy dostrzegła pulsującą plamkę na ekranie komputera. Śpieszyła się bardzo, lecz pierwsze przykazanie służby: "wiedzieć wszystko" przytrzymało ją na miejscu. Wyświetliła zaszyfrowany tekst na ekranie, zmiksowała i otrzymała to, co podrasowany przez wywiad laptop potrafił jej przekazać. Przeczytała. I zamiast wybiec z pokoju jak planowała, padła na kanapę. Sufit wirował jej przed oczami, a skroń pulsowała gorączką.

Na ekranie migotał tekst: "D-12, nasze kondolencje. Kontynuuj misję. Jej cel i warunki bez zmian. Dzięki kardynałowi Giusti otrzymałaś przydomek operacyjny "Papieska Róża". Informujemy po zapewnieniach CIA, że zmarły John O'Brien nie pracował dla nich. Według posiadanych danych J. O'Brien był zdolnym akwizytorem firmy "999 Pharmaceutical Co." w Australii. CIA nic nie wiadomo też, by był on agentem innych służb specjalnych, np. rosyjskich czy chińskich. Uważaj na siebie i prowadź misję, "Papieska Różo". Szef".

Langton, choć blady, wyglądał zupełnie nieźle. Uśmiechał się. - Wyglądasz na zmęczoną - powiedział cicho i z trudem.

- Drobne komplikacje zawodowe. Najważniejsze, że tobie się udało. Za parę tygodni ożyjesz na nowo - Górecka usiadła na skraju łóżka i popatrzyła na niego z wysiłkiem.

- Wiesz, Dana, dziękuję ci za życie. Uratowałaś mnie. Gdyby nie ty, byłbym teraz tam, gdzie i John. Jesteś taka twarda. Kocham ciebie. Wiesz. Jesteś taka niezwykła. A jak się czuje Dai?

- Spotkałam ją na korytarzu. W bieli, biel to tu żałoba, z woalką. Miała cię odwiedzić, ale wołała nie pokazywać się z opuchniętymi oczami. Postanowiła pochować Johna w chińskiej ziemi, bo tak się zgodali kiedyś. Pozdrowia ciebie i przeprosza za to, co się stało.

- Mogłaby sobie darować.

- To samo usłyszała ode mnie.

- Wielka rewolucjonistka.

- Powiedziała, że w osobie Johna sprawa chińska straciła wielkiego przyjaciela. Ale demokracji nic nie zatrzyma, żaden morderca.

- To wielka tragedia. Dana, teraz, na tym łóżu szpitalnym, muszę ci coś wyznać. To ostatnia chwila, potem będzie za późno. Kocham ciebie. Chcę się z tobą ożenić. Dla mnie to najważniejsze. I dlatego, że cię tak kocham, nie powiedziałem ci czegoś wcześniej. Nie było okazji. Bałem się, że to coś stanie na drodze naszej miłości.

- Wolne żarty. Pracujesz dla CIA?

- Tak. To między nami miały paść słowa: "Niebezpieczny będzie ten rok 2000, Rok Smoka" i dalej...

- Wiem.

- Domyślałaś się?

- Chyba kpisz sobie. Te twoje amorki latały do mnie w ramach akcji?

- Dana, nie. Kocham ciebie. Kocham! Jesteś taka wielka, niezniszczalna...

- Ot, dali mi agenta do pomocy. Możesz kochać sobie kogo chcesz. To już teraz wyłącznie twoja sprawa. Swoją drogą, kogo oni zatrudniają w tym CIA. Mazgajów, plastusiów? - Górecka wstała i wyrzuciła w złości jeden z wazonów z różami. W drzwiach dodała: - Zdrowiej, zdrowiej, panie "Kocham ciebie". Masz zapewnioną dobrą opiekę, pielęgniarki są super, mówię ci, niczego ci nie zabraknie. A potem wracaj do swoich. Niedojdów nie potrzeba mi w robocie. - I wyszła.

Przez kilka dni dowiadywała się o stanie zdrowia rannego. Kiedy usłyszała, że pacjent poczuł się na tyle dobrze, że wstał sam z łóżka, przestała dzwonić.

Pewnego wieczoru wpadła do niej Dai. W bieli, i z oczami iskrzącymi znowu od

pracy politycznej, było Chince do twarzy. - Pełne zwycięstwo generała Ji. Nie ma powrotu do skrytobójczych form polityki - zawołała od progu.

- Wstąpiłaś na kawkę, optymistko?

- Poniekąd.

- Wiem. Tobie chodzi o Chiny, a nie o kawę.

- Przedrzeźniasz mnie. Choć w pewnym sensie masz rację. Generał Ji zaprasza nas na rozmowę. Mnie w charakterze bliskiej tobie tłumaczki.

- Pewnie chce nam podziękować. Bo ma za co. Ale my mamy gdzieś jego akty wdzięczności, prawda?

- Właśnie... - Dai zawahała się.

- Masz coś jeszcze, to wal!

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć delikatnie. Nie ma nic boleśniejszego niż zranione uczucia.

- Śmiało, śmiało.

- Zrozum, ja wpadam od czasu do czasu do szpitala.

- O, to tak. Co ty nie powiesz.

- Aż żal patrzeć. Stephen jest przybity, zrozpaczony. Nie chce mu się żyć.

- Tak cię podebrał?

- Tak. Opowiedział mi wszystko o was.

- To normalne. To w jego stylu. Stylu łgarza, kłamcy i fujary. Co wyjawiał?

- Zaufał mi. Bardziej niż ty.

- Co ma do tego zaufanie?

- Uważam, że za ostro go oceniłaś.

- A to dlaczego?

- Bo sama postąpiłaś podobnie.

- Ja? Chyba coś ci się pomieszało.

- Posłuchaj, domyśliłam się, co robisz w Chinach. Nie było to wcale takie trudne. Organizowałam ci kontakty wywiadowcze, nie prasowe przecież. A ty korzystałaś z tego i milczałaś. Czujesz się w porządku w stosunku do mnie?

- Wiedziałam, że wiesz, a on wiedział, że ja nie wiem. Chyba widzisz różnicę?

- Stephen jest w porządku.

- To weź go sobie!

- Przesadziłaś teraz...

- Nie mogę znieść ludzi nielojalnych. Nie mogę patrzeć na człowieka, grającego przede mną kogoś innego, niż jest. Stephen miał dość czasu, i przed laty, i teraz, by powiedzieć mi prawdę. Przyznał się, gdy wszystko wiedziałam. Przyznając się wiedział, że rozszyfrowałam go.

- Nieważne, co kto wiedział.

- Nieważne? Ja nie udawałam przed tobą niczego. A on adorował mnie, robił za ciapę, jeździł za mną lamborghini, wykorzystał mnie - Górecka rozplakała się.

- Uwierz mi, on nie udawał. Jest ciapą. Zwerbowali go na siłę, choć on się do CIA zupełnie nie nadawał.

- Ciekawe rzeczy opowiadasz.

- A tak. Wyjawiał mi w tajemnicy, że pokutuje za grzechy ojca. Jego ojciec był politykiem w Australii i agentem chińskiego wywiadu. Uciekł przed aresztowaniem. Grudniowego dnia 1967 roku wypłynął w morze w pław na oczach przyjaciół i nie wrócił. CIA wyniuchwała po czasie, że wcale nie utonął, że przejął go z morza chiński okręt podwodny.

- Nieprawdopodobne.

- A widzisz. Stephena obserwowano w szkole, a potem dano do wyboru: albo kariera i praca dla CIA, albo infamia dla rodziny.

- Normalka. Trzeba mieć trochę charakteru, by nie iść na łatwiznę. Potrzebowano akurat jego, takiego ciapciaka?

- Być może, w każdym razie nie widział nic złego w pracy dla CIA. Poza tym chodziło mu o rodzinę.

- Mazgajstwem zmylił nawet mnie... To Stephen nie pochodzi z arystokratycznej rodziny Langtonów?

- A skąd.

- Widzisz. Nawet w tym mnie okłamał. Od początku fałszywa glista. Do tego ze zdradzieckiej rodziny! A może tobie podoba się, że jego ojciec szpiegował dla komunistów z Chin?

- Daj spokój. Z tobą nie da się normalnie rozmawiać.

- Nie chcę widzieć faceta na oczy.

- Idę. Pamiętaj o spotkaniu z generałem.

Generał Ji Shengde przyjął Górecką z rezerwą, grzecznie acz chłodno zaproponował herbatę. Potem przez długie minuty opiniował wytyczne chińskiej partii komunistycznej. Dai tłumaczyła w skupieniu, utozsamiając się z wizjami generała. Nie były to idee specjalnie rewolucyjne: pluralizm systemowy, wolny rynek, zjednoczone Chiny, czyli Tajwan z Macierzą. Górecka ripostowała. Generał rozprężył się i uśmiechnął: - Ja wiem, wiem. Sprawy Tajwanu nie rozumiecie na Zachodzie.

Górecka podniosła filiżankę z chińskiej porcelany, udała, że wyslizguje się jej ona z ręki, i odwracając uwagę, zmieniła temat: - Przede wszystkim dziękuję, że pan odstąpił od śledztwa w sprawie wiadomej strzelaniny i tragicznej śmierci Johna O'Briena.

- A ja dziękuję za pomoc w rozbiciu spisku Yang Binga. Zeznania poszukiwanego przestępcy mają dla porządku w państwie bez wątpienia ważkie znaczenie. Jestem pani dłużnikiem.

- Miło mi to słyszeć...

- W czym mogę pomóc?

- Proszę zaprzestać politycznej nagonki na Fuk Ching. Oni nie zagrażają władzy partii i nie zajmują się polityką. Bez nich nie zdobylibyśmy wyznań Reinerta ani dokumentacji jego rozmów z Yang Bingiem.

- Rozumiem. Przemyślę pani sugestię. A czy i ja mogę mieć prośbę do pani?

- Oczywiście.

- Napracowała się pani sumiennie na chińskiej ziemi. I koniec, i dość, i wystarczy. W imieniu naszych władz dziękuję. Proszę pozostawić nam trochę pracy. Apeluję i ostrzegam. Byłoby mi przykro, gdyby musiała pani opuścić nasz kraj na zawsze.

- To ultimatum?

- Proszę zrozumieć i nie obrażać się. Demokrację musimy budować sami. Inaczej nasi wrogowie zarzucą nam słusznie, że nowe porządki wprowadzili w Chinach agenci służb specjalnych zachodniego świata.

Z Dai pożegnała się na ulicy, nie umawiając się na następne spotkanie. - A więc po wszystkim - westchnęła, gdy została sama. - Misja "Papieskiej Róży" dobiegła końca. - Wsiadła do pierwszej z brzegu taksówki i kazała się wieźć przed siebie. Doszła do wniosku, że czas wracać do domu. Prawdziwego domu. Do syna, do redakcji, do służby państwowej.

Z kolan zsunął się jej najnowszy numer hongkońskiego dziennika "South China Morning Post" z dużym tytułem: "Mimo daleko posuniętych przygotowań Pekin nie zgodził się na wizytę papieża w 2000 roku". Dziennik informował za Reutersem: "Chińskie MSZ oświadczyło, że przeszkodę dla pielgrzymki papieża stanowi utrzymywanie przez Watykan stosunków dyplomatycznych z Tajwanem i brak takich stosunków z Pekinem od 1957 roku. Papieski sekretarz stanu Angelo Sodano nie wykluczył przeniesienia nuncjatury z Tajpej do Pekinu, licząc w zamian na połączenie kościoła "patriotycznego" i "podziemnego" w Chinach. Pekin nie zgodził się jednak na zwierzchnictwo Watykanu nad chińskimi

katolikami. Nie wyklucza się, że poważnym powodem odsunięcia w czasie wizyty papieża były ostatnie rozgrywki między częścią służb bezpieczeństwa i realna możliwość zamachu na Ojca Kościoła". Czy Pekin brał pod uwagę fakt, że Reinert urwał się jej znowu? A czy w Watykanie analizowano opinie i raporty, które wysyłała?

Song czekał na Reinerta podenerwowany. Potasowy laser T24K, który Reinert miał odebrać lada moment, mieścił się w pudle po altówce i leżał na podłodze. - Na pewno powiedział, że przyjdzie? - Song upewnił się po raz kolejny.

- Zapłacił, więc weźmie co jego. Tyle usłyszałem w słuchawce - odpowiedział Bo.

- W każdym razie uważaj.

Reinert podjechał granatową mazdą, którą ukradł z sąsiedniej ulicy. Nie był zdziwiony, że bramę, prowadzącą do posesji Songa, obstawiało kilkunastu mężczyzn z bronią automatyczną. Uśmiechnął się kwaśno na ich widok. Przejechał koło nich i wysiadł. Bez gestu sprzeciwu dał się zrewidować od stóp do głowy.

- Nie ma broni - meldowali ochroniarze Songowi.

- Zupełnie nic?

- Tylko komórkowca.

- Weźcie, potem oddacie.

Reinert nie oponował. - A z zegarkiem mogę wejść? - zażartował.

- Proszę iść za Qianem. Qian zaprowadzi pana na miejsce.

Bo czekał w drzwiach. Na widok gościa pośpiesznie wycofał się do środka. Qian zaprosił Reinerta do wejścia.

- Witam, witam - ukłonił się Song. - Oczywiście zrealizowałem pańskie zamówienie - zakomunikował.

Reinert usiadł na najbliższym krześle. I milczał, patrząc na Songa. Ten pod ciężarem jego wzroku wiercił się i dygotał na przemian. Postanowił wytłumaczyć się: - Pan rozumie, interesy. W interesach nie wszystko idzie po naszej myśli.

Qian nachylił się do ucha Songa: - Jest tu Tran. Chciał widzieć się z panem Reinertem.

- Proś.

Tran wszedł wyprostowany i ponury. Wyjął z kieszeni dwie białe kulki i podał je Qianowi. - Włóż je do uszu. Ja i pan Reinert zrobiliśmy to wcześniej.

- Musimy zakończyć nasze interesy, Song - oznajmił oschle Reinert. - Zdrady nie mogę ci darować.

Song skrzywił się i pokazał na laser: - Proszę to zabrać i wyjść.

- A do tego ośmieszyles... - Reinert roześmiał się dziko. - Musiałem uciekać przed kobietą. Rozumiesz?! A teraz zdychaj.

Nim Bo zrobił krok w ich kierunku, Reinert wcisnął jeden z przycisków na swoim zegarku. Bo i Song chwycili się za uszy. Porażeni upadli. Z ich uszu, ust, nosów wypłynęły strużki krwi.

Reinert wyjął ekrany ochronne z uszu i poczekał, aż zrobią to samo Tran i Qian. - Tak działają ultrafale - oznajmił. - Cicho i skutecznie.

- Na pewno nie żyją? - upewniał się Qian.

- Sprawdź.

Qian sprawdził. - Fuk Ching jest mój! - wykrzyknął. - Song nie nadawał się do tej roboty.

- T24K zostawiam w depozycie. Spodziewam się dobrych interesów z Fuk Ching w przyszłości. Czy wiecie może, co się dzieje z Yang Bingiem?

Qian i Tran zgodnie zaprzeczyli głowami.

- Wyjeżdżam na jakiś czas.

Ucharakteryzowany, Reinert opuszczał Chiny jako austriacki turysta Karsten Frankl. -
Jakie wrażenia z Wielkiego Muru? - dopytywał się chiński celnik.

- Mur wspaniały.

- To pan nie wraca do Wiednia?

- Lecę do Warszawy, bo mam tam coś do załatwienia. Interesy, rozumie się.

Rozdział X

W głośnikach odezwał się głos kapitana. Ponieważ Okęcie spowijała gruba warstwa chmur, samolot lądował w Krakowie.

Górecka oderwała wzrok od okna. Gdzieś tam, na drugim krańcu świata, pozostawiła zaułki Pekinu, aromat zielonej herbaty, pierożki jiaozi w Święto Wiosny, losy ludzi, z którymi związała się tak bardzo. Zachowała w pamięci grób O'Briena, na którym złożyła kwiaty, Dai, machającą jej na pożegnanie białą chustą. I Langtona na szpitalnym korytarzu. Stał obandażowany, w szlafroku, nie ogolony. Patrzył na nią blady i powtarzał tylko: - Dana, Dana... - Powiedziała: - Cześć. - Nie odwróciła się, wychodząc.

Serce biło jej do Mareczka. Syn obiecał przyjść na lotnisko z narzeczoną. Chciał się zenić... W prezencie kupiła młodemu sprzęt hi-fi, najlepszy według pisma "Stereophile".

Zapowiedział się też Gwidon. Obiecał przyprowadzić przyszłego teścia Marka, czyli ojca Agieszki. Co miała im powiedzieć? Nie była z dziećmi, kiedy zaręczyły się ani kiedy świętowały Milenium. Nie zdążyła. Chiński Nowy Rok, czyli Święto Wiosny, witała w lutym. Potem śpieszyła się bardzo. Redakcja zamówiła dodatkowy wywiad, kolejny temat. Wreszcie wróciła. I pech. Wylądowała w podkrakowskich Balicach.

Wciągnęła powietrze w płuca. Smakowało mgłą. Mgłą, dymem i kapustą. Któryś z celników wcinał domowy bigos? Poszukała go wzrokiem, ale uklonił się jej szczupły, niewielki mężczyzna. Pod kapeluszem uchowało mu się jedno pasemko włosów. - Jestem Kolski - powiedział. - Artur.

- A to pan?

- Sporo lat minęło.

- Ale pan nie leciał ze mną?

- Nie. Przyjechałem na lotnisko po panią.

- To miło z pańskiej strony. A pan...

- Nadal w MSZ. Zajmuję się handlem ze Wschodem.

- Od dawna w kraju?

- Od pół roku. Pół roku tu, pół roku tam. Dziś jestem w delegacji. Przejeżdżałem...

Ponoć sam minister miał po panią wyjść z kwiatami, ale mgła pokrzyżowała szyki.

- Pamiętam, był pan moim pierwszym przewodnikiem po Pekinie.

- Teraz to pani mogłaby uczyć mnie Chin. Czytałem wszystko, co pani drukowała. Z pełnym szacunkiem. Zgadzałem się z pani osądami, ale z wieloma się też nie zgadzałem.

- Co pan nie powie. Na przykład?

- Że rok 2000, Rok Smoka według chińskiego zodiaku, historia oceni jako gorszy dla Chin niż poprzedni Rok Zająca.

- W Roku Zająca Chiny przejęły Hongkong i Macao. A Rok Smoka obfitował w dramatyczne chwile, wypełniając treścią chińskie powiedzenie: "Obyś żył w ciekawych czasach". Takie są te lata Smoka. W Roku Smoka 1976 miały miejsce trzęsienia ziemi i zgony przywódców: Mao Tse-tunga, Czou En-laja i Czu Te. Smok roku 2000 nie wpuścił Ojca Świętego.

Kolski pomógł Góreckiej wepchnąć walizki do bagażnika lancii. - Jedziemy - rzucił słowo kierowcy.

Marek i Agnieszka czekali w domu. Uściskała się z nimi serdecznie. - Ojca nie ma? - upewniła się.

- Tata nie mógł czekać dłużej. Jutro przyjedzie.
- Mój tata też chciałby się z panią spotkać - powiedziała Agnieszka.
- Mów mi chyba "mamo", co? Najważniejsze, że zdążyłam na ślub.
- O, tak. Masz dwa tygodnie, by się do niego przygotować.
- Jak to? Dostałam depezę, że bierzecie ślub w sobotę.
- Zgadza się. Ale za dwa tygodnie.
- Oszukaliście mnie?
- Mamo. Najważniejsze, że zdążyłaś!

Rzymek i Rumiński dali Góreckiej wyspać się do syta i wpadli dopiero w południe. - Jestem ojcem Agnieszki - przedstawił się Rumiński. - Pracuję razem z Gwidonem w Grupie Dalekiego Wschodu.

- Miło mi. Czyli byliśmy rodziną od dawna...
- Opiekuję się Agą sam, od kiedy żona nie żyje.
- Córka opowiadała mi kiedyś.
- Ach, tak.

Górecka zajęła się Markiem i Agnieszką całym sercem. Byli tacy młodzi. Gdzie szkoła, gdzie studia? Marka interesowały komputery, Agnieszka przebąkiwała o prawie. Powinni uczyć się, a nie zakładać rodzinę. Zadzwoniła do Agnieszki i zapytała wprost, czy tym razem spodziewa się dziecka na pewno. Usłyszała, że nie, że nie w tym rzecz. Chcą z Markiem być razem, żyć razem, mieszkać razem, uczyć się razem. Przecież kochają się.

Przemyślała sprawę. Zaprosiła do kawiarni Rzymka i Rumińskiego, na five o'clock. Nim usiedli na plecionych krzeselkach, fuknęła na nich bez ceregieli: - Wyście chyba pogłupieli na stare lata. Co wy nosicie zamiast głów? Odbiło wam, żeby dzieci żenić? Ten tu - wskazała na Rzymka, gdy zaskoczeni, przysiedli potulnie - nie zdumiał mnie, ale pan, panie Rumiński? Po panu spodziewałam się czegoś więcej. Jaką przyszłość zamarzył pan dla córki? Czy pan zastanowił się nad tym?

- Właśnie, że... - odezwał się Rzymek.

- Milcz! My porozmawiamy sobie potem. Interesuje mnie, co powie mi pan Rumiński.

- Ale oni powiedzieli nam, że chcą się pobrać - Rumiński sprawiał wrażenie sponiewieranego pudła. - Prawda, Gwidon? Z drugiej strony nie mieliśmy okazji się i pogadać z nimi o tym.

- Oj, wy, ojcowie! Gdzie tym dzieciakom do małżeństwa? To prawda, że chcą być razem. Czują się samotni, bo tacy z nas rodzice. Co, może źle mówię?

- No, właśnie, kurwa - Rzymek spróbował odezwać się ponownie.

- Milcz lepiej. Żeby ci nie wyrębała. Nie mogę na chwilę zostawić dziecka w domu. Może nie? A teraz słuchajcie. Nie ma mowy o ślubie! Na razie trzeba kupić im mieszkanie, by poczuli się szczęśliwi. Na spółkę znajdziemy coś małego.

- Zgoda - orzekli radośnie Rzymek i Rumiński.

Agnieszka, a głównie Marek patrzył na matkę okrągłymi oczami. Nie mógł zrozumieć w pierwszej chwili, co do nich mówi. Gdy zażądała, by ślub przesunęli o rok, a przez ten czas pomieszkali na własnych śmieciach, zdali maturę, dostali się na studia, zgodnie pokiwali głowami. - Zarezerwowaliśmy "Adrię". Przepadnie zadatek - tak naprawdę byli zmartwieni tym jednym. Górecka zaproponowała: - Dobrze. Pójdziemy tam i zrobimy huczne zaręczyny. - Oboje ucałowali ją w oba policzki.

Czuła się znakomicie, zajęta porządkami w domu, rozmowami z synem i jego narzeczoną, wypadami do miasta po zakupy. Nie szukała wieści ze świata, ale świat dopadł ją u kosmetyczki. Hans Zimmer z "Frankfurter Allgemeine Zeitung", którego znała od lat i nie lubiła za bufonadę, spekulował w radiu na temat śmierci szefa chińskich służb specjalnych Yang Binga. - A więc Yang Bing nie żyje? Od kiedy?

W umówiony dzień zaręczyn popędziła do redakcyjnego archiwum i w ciągu kilku

godzin przeczytała wszystko, co napisano o Chinach po jej wyjeździe. Yang Bing zmarł w więzieniu na zapalenie płuc, bez udziału osób trzecich. Według hongkońskiej prasy, deklarującej wolność słowa i nie uleganie wpływom Pekinu, na czele z cytowanym wszędzie dziennikiem "South China Morning Post", śmierć Yang Binga nastąpiła w momencie najkorzystniejszym dla ekipy rządzącej Chinami.

Zdymisjonowano szefa wywiadu wojskowego, generała Ji Shengde. Gazeta "Los Angeles Times" odkryła, że w 1996 roku generał Ji przekazał trzysta tysięcy dolarów na kampanię prezydencką Billa Clintona, oświadczając współpracownikowi Clintona: "Podoba się nam wasz prezydent. Daję panu pieniądze dla prezydenta i Partii Demokratycznej. Mam nadzieję, że prezydent zostanie znów wybrany". Nie pomogły zasługi generała w wykradzeniu tajników nuklearnych z amerykańskich laboratoriów wojskowych w Lawrence Livermore i Los Alamos. - Nie poradził sobie z Reinertem! Oto rzeczywisty powód zwolnienia generała Ji - domyśliła się.

We francuskich przedrukach z "China Daily" natrafiła na spory reportaż o rozbiciu Fuk Ching, zabiciu przywódcy bandy Qiana i aresztowaniu wielu jej członków. Ze sposobu potraktowania tematu wynikało, że Fuk Ching odzyskał miano gangu kryminalnego, mającego na sumieniu przemyt imigrantów chińskich do USA, gry hazardowe i prostytutkę. "Nie kryminaliści z Fuk Ching zatruwali umysły naszej młodzieży - napisano - ale sekty Cibej, Quo, Puti, Chanmi, Jiugongbagua, Xiang, nie wspominając już o Falun".

Przetłumaczyła sobie nazwy stowarzyszeń jako kolejno: Współczucia, Narodowe, Świętego Drzewa Bodhi, Zen, Ośmiu Diagramów, Pachnące i Sztuka Koła Prawości. Powiedziała do archiwistki, która zaparzyła herbatę: - Generał Ji to równy gość. Dotrzymał słowa w sprawie Fuk Ching.

- ...?

- Nie słyszała pani?

- Nie.

- To co tu pani robi?

W poważnym australijskim dzienniku "Sydney Morning Herald" znalazła wywiad S. Langtona z czołową działaczką chińskiego ruchu demokratycznego Dai Fei, poświęcony stosunkowi chińskiej partii komunistycznej do Kościoła rzymsko - katolickiego. Dai zacytowała zdanie Bao Tonga, wracającego do czynnej polityki działacza Komunistycznej Partii Chin: "Pielgrzymka Jana Pawła II do Chin jest możliwa w najbliższej przyszłości, czyli w pierwszych latach XXI wieku. Stać się ona może znamieniem czasu: dla Chin - zbliżeniem się do Zachodu, dla Kościoła - przystankiem współistnienia z cywilizacjami naszych bogów, postrzeganych jako smoki, bożki i demony". - Stephen, nigdy ci nie wybaczę! - jęknęła i rozplakała się.

Przez chwilę padało. Górecka wzięła pod swój parasol Marka z jednej strony, Agnieszkę z drugiej. Czuła bicie ich serc, przytulonych do niej. Marek kupił Adze pierścionek z brylancikiem, wcale nie taki drogi. Aga sama wybierała... Agnieszka traktowała ją jak matkę, bez oporów, skrzepowania i szczerze. Obie czuły się jak w siódmym niebie. Szli wolno, nie przyśpieszając kroku, by cieszyć się długo zaręczynami w "Adrii". Wiatr niósł mgłę i kropelki deszczu. - Ach, młodzi! - westchnęła Górecka. Z zazdrością przyglądała się ich nadziei. Tęskniła do swojej nadziei, którą odrzuciła.

Rzymka spodziewali się lada moment, natomiast Rumiński zapowiedział swoje spóźnienie. Mieli czas na rozmowę, spacerując po alejkach parku wokół kawiarni. - Tata wyjawiał, że w Chinach zginął twój bliski znajomy. Opowiedz nam o nim - poprosił Marek.

- O Johnie?

- Tak. Ponoć był niezłym agregatem.

- Kim? Był świetnym facetem, ciekawym życia, ludzi, świata. Dużo jeździł jako akwizytor, zwiedzał. Do ostatniej chwili marzył o podróży do Xiamenu... Czynił to tak sugestywnie, że plany zwykłej wycieczki zamieniały się w baśń z tysiąca i jednej nocy. Nie

będę mówić dalej, bo będziecie bać się tej baśni.

- Nie będziemy - zawołali chórem Marek z Agnieszką. - W razie czego zatkamy uszy.

- John lubił, gdy pisaliśmy ciekawe korespondencje z Chin. Pewnego dnia dowiedział się, że sławny przemysłowiec, wielki bogacz Lai Changxing wybudował w prowincji Fujian, pod miastem Xiamen, wierną replikę cesarskiego Zakazanego Miasta.

- Coś podobnego.

- To nie wszystko. W tym nowym Zakazanym Mieście uprawiał zakazane praktyki. Nie wolno mi tego rozgłaszać. Ale rozumiecie, dzieci: narkotyki, prostytutka, hazard, spożywanie zakazanych dań z dzikich, chronionych przez prawo zwierząt. Coś okropnego.

- Zakazane dania w Zakazanym Mieście. Co to za jedzenie?

- Tygrysie udka, rosółek z żywego żółwia, stek z wieloryba, udka z żaby tygrysię, małpi mózdzek wraz z napojem zdrowotnym, będącym mieszaniną koniaku z ciepłą krwią kobry, żmii lub małego pytona, rozcinanego na oczach pijących.

Agnieszka odwróciła się za siebie: - Nic dziś nie przelknę.

- John opowiadał tak barwnie, że chciałam koniecznie to wszystko zobaczyć.

- Ale nie jadłaś małpiego mózdzku?

- John zginął i jego pomysły razem z nim.

Rzymek siedział za stolikiem i popijał piwo. - Jestem pierwszy - zawołał na widok wchodzącej do "Adrii" Góreckiej i dzieci.

- Taty nie ma? - zapytała Agnieszka.

- Nie. Wiesz, Agnieszko, tata powinien właśnie dolatywać do Okęcia. Pewnie zadzwoni.

- A skąd wraca? - zaciekała się Górecka.

- Z Berlina. Szef go wysłał, by pogrzebał w aktach Urzędu Gaucka. Mamy tu taki swój wrzód na dupie. Dzieci, przepraszam... Byłem w Berlinie jakiś czas temu, ale mogłem przeoczyć coś w pośpiechu. Chciał to wszystko posprawdzać sam.

- Obiecywał przylecieć rano - Agnieszka czuła się zawiedziona.

- Nie martw się. Godzina czy dwie nie grają roli - pogładziła ją po głowie Górecka.

Na stół wjechał łosoś a kelnerzy rozlali wino. Marek wsunął pierścionek na palec Agnieszki. - Chwileczkę, chwileczkę - Rzymek zaczął szperać po kieszeniach - mam coś dla was. Niespodzianka. Zaraz. Tylko gdzie ja to wsadziłem?

- A co, a co? - cieszyła się Agnieszka.

- Moi drodzy, to nie byle co - Rzymek grzebał w kolejnej kieszeni bez skutku. - Powiniennem mieć tutaj..., ale nie mam. Może tu?

- Ale powiedz, tato.

Rzymek nie przestawał szukać. - No, dobrze, bo zaraz się wkurzę. Wpłaciłem wam na mieszkanie. Tylko gdzie ja mam ten kwitek...

Agnieszka rzuciła się Rzymkowi na szyję, a Marek ścisnął go za rękę. - Co za miłe dzieci - Rzymkowi świeciły oczy z zadowolenia. Przy wertowaniu ostatniej kieszeni odetchnął z ulgą: - Mam!

Spod kamizelki wyciągnął pogniecione zwitki papierów. Wyślizgnęły mu się one spod palców i spadły między talerze. Zielony kwit bankowy znalazł się na widelcu Marka, stara, pognieciona koperta sfrunęła pod stół, a portret mężczyzny z nagłówkiem "Groźny przestępca" wylądował na talerzu Góreckiej. - Przepraszam - Rzymek pozbierał karteluski. - To kwit bankowy. Pierwsza rata w deweloperskiej firmie mieszkaniowej "Merkury". Resztę dorzuci mama Marka i twój tata, Agnieszko. Cieszyć się?

Młodzi uściskali go raz jeszcze, a potem Górecką: - Dobra, dobra. Orkiestra gra, idźcie potańczyć.

Kiedy szczęśliwi wywijali na parkiecie, Górecka poklepała Rzymka po dłoni: - Marek ma jednak ojca.

- Hm, a jak sądziłaś?

- Wiem, że to nie takie proste. Podła profesja. Nawet na uroczystości rodzinne przynosisz portrety bandytów.

- Masz rację. Od tego wrzodu na dupie nie mogę się uwolnić.

- Swoją drogą nie przypuszczałam, że będziecie ścigać drania tutaj. Ale zaraz..., mówiłeś jeszcze o kimś, o kimś, kogo Rumiński szuka w Berlinie, że jest twoim wrzodem na dupie.

- Jeszcze o kimś? Tylko o Koteckim! To agent Stasi "Katze", były gliniarz, co do którego mam coraz szersze podejrzenia.

- Co ty mówisz? Skup się i uspokój. Na moim talerzu wylądował portret faceta. Tak?

- No, tak.

- I kto to jest według ciebie?

- Agent Stasi "Katze" o nazwisku Kotecki.

- Pokaż go.

Rzymek wyjął portret "Katze".

- Gdyby dodać mu trochę włosów, rozumiesz, perukę...

- To co?

- Słuchaj, Gwidon - Górecka była skupiona i wyraźnie akcentowała każde słowo - słuchaj mnie. Siedzisz spokojnie? To zrozum teraz. I nie wrzeszcz. Dobrze?

- Tak.

- Ten facet to Reinert!

Rzymek stanął na równe nogi, wywracając butelkę z piwem na stole. Zakrył dłonią twarz, by nie przekląć, i skulił się w sobie. W jednej z jego kieszeni zapiszczał telefon. Machinalnie nacisnął przycisk aparatu.

Dzwonił Rumiński. Meldował podekscytowany, że zmienił plany. Wracał autem i prawie że dojeżdżał: - Po drodze wstąpiłem do Masowa, tam, gdzie urodził się Kotecki. I wiesz, czego się dowiedziałem?

- Czego?

- Lepiej stań na równe nogi.

- Wyobraź sobie, że stoję.

- Więc słuchaj. Ten Kotecki, nie uwierzysz... Wiedzieliśmy, że miał matkę i ojczyma. Jego ojciec, Niemiec, zginął. A zgadnij, jak nazywał się jego ojciec?

- No, jak? Reinert?

- Reinert! A ty skąd wiedziałeś?

Orkiestra przestała grać. Marek z Agnieszką podeszli do stolika: - Coście tacy podenerwowani? Stało się coś?

- Nie, nic. Wszystko w porządku. Acha, Agnieszko. Telefonował twój tata. Za godzinę będzie z nami.

Na ławeczce, w dwunastej kwaterze cmentarza parafialnego pod wezwaniem Ciała i Krwi Pańskiej w Mysłowicach, usiadł starszy mężczyzna. - Dzień dobry, panie Białko - zawołała do niego kobiecina w berecie, z grabkami w ręku.

- Pani robi porządki? - zaciekał się staruszek.

- Wiosna, wiosna, panie komendancie.

Białkę zaskoczyła ta wiadomość. Przez ostatnie tygodnie błędził daleko w zakamarkach pamięci i przestał zwracać uwagę na codzienność. Wspominał dzieciństwo z wiecznie dziurawymi butami, przeładowywanie wagonów w okresie okupacji, a potem pracę w milicji. Chyba nie żył źle z ludźmi, skoro odczuwał ich życzliwość.

- Panie Wilhelmie, a pan długo zamierza tak siedzieć? Wilka pan złapie.

- Podłożyłem koc.

Przychodził na grób Pałków porozmyślać, ogarnąć doświadczenia, cierpienia i śmierć.

- Panie Boże - modlił się - uchronń najmłodszego Jasia od dokonań. Niech wystarczy mu duma z pradziada, z dziada, z ojca. Niech on jeden da sobie spokój z naprawianiem świata.

Przebaczył Andrzejowi. Że nie posłuchał. Że wybrał nienawiść.

- Pomóc coś, panie Wilhelmie?

- Nie, nie trzeba. A nie za wcześnie na świeże kwiaty?

Człowiekowi trudno wymigać się od przeznaczenia. Andrzejowi nie udało się. Przeznaczenie zdecydowało za niego. A Jaś, kiedy dorośnie, też nie wygra z tym draństwem. Białko poderwał się z ławki: - O, nie. Nie! Tym razem muszę temu przeszkodzić.

Robił porządki na alejce i porządkował życie Andrzeja. Od kiedy "Ryży" przeniósł się w zaświaty, nie wypowiadał żądań do Boga. Wszystko wyglądało prosto: "Ryży" gorzał w piekle na wieki, Andrzej doznawał szczęśliwości w niebie. Bóg sprawiedliwy. Ale odwiedził go Rzymek i zburzył porządek świata i nieba.

- Mam w termosie herbatkę, taką z prądem, panie komendancie. Może pan się poczęstuje?

- Dziękuję. Nie teraz.

Gdzie usłyszał o Koteckim? Na operatywce u Rybarczyka. Kotecki chciał przenieść się na Śląsk i Rybarczyk szukał dla niego miejsca. Taki jeden Romuś z komendy przemyskiej, którego znał od lat chyba sześćdziesiątych, wydał Koteckiemu opinię z paskiem.

Kiedyś Andrzej przychodził i gadali. Potem zjawił się Kotecki i brakowało czasu. Wystawił, oddał chłopaka w łapy obcego. "Katze" zmylił wszystkich. Pojawił się łaskawie w Mysłowicach, by penetrować Śląsk.

Malak bąknął coś, że Andrzej skrewił w konwoju. Jakby nie chciał przeszkadzać w ucieczce. Czemu nie zrozumiał od razu, że tę ucieczkę nadał Kotecki? Kotecki działał wcześniej w ten sposób: puszczał mniejszych łachmytów, by dorwać większych. Tak musiało być z "Ryżym".

Czy "Ryży" wyprowadził ich w pole? Grypsy wysyłał, broń podkładał, chciał rozmawiać. I cholernie się bał. Opowiadał wszystkim, że to nie on zabił Andrzeja. Kto uwierzyłby "Ryżemu"? Miał układ z Koteckim. A potem Kotecki zastrzelił go. Boże, może to nie "Ryży"... Przecież "Katze" pomógł zamordować ojca Andrzeja. Andrzej rozpoznał go na zdjęciu, zdekonspirował... Białko spocił się na plecach mimo chłodu. Każdy szczegół był ważny.

- Może jednak łyczek, panie komendancie? Co pan się tak modli. Niech pan nam słońeczko wymodli. Łyczek? Rozgrzeje się pan.

- Nic, nic. Muszę coś zrobić. Zdrowia życzę.

- Wzajemnie.

- Z Bogiem. Nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy.

Nowa pajęczyna zawisła w kącie piwnicy. Białko zgarnął ją ręką. Ciężko oddychając, pochylił się nad szufladą starego kredensu. Po chwili trzymał w ręku pistolet. Przetarł broń szmatą i schował ją do kieszeni marynarki. Gdy wychodził na ulicę, dużejacy księżyc błysnął między chmurami.

Mieszkanie Koteckiego znajdowało się w czteropiętrowej kamienicy z podwórkiem. W suterenie, niewidocznej od frontu, mieścił się sklep spożywczy, otwarty z powodzeniem przez okrągłą dobę. Białko obszedł dom kilkakrotnie otaczającymi uliczkami. Nie zbliżał się. Wiedział od Malaka, że dom jest pod obserwacją. I że spodziewają się ptaszka! Pod sklepem popijało piwo dwóch albo za chwilę trzech facetów, co pół godziny innych. W jednym z piwoszków rozpoznał chłopaka, którego sam, przed laty, zatrudnił do pracy w policji. Ucharakteryzowany na pijaczka, spokojnie wykonywał zadanie.

Ale musiał tam wejść. Pchała go siła, której nie umiał zdefiniować, a tym bardziej okiełznać. Wmawiał sobie, że to po prostu obowiązek, zwyczajna powinność wobec Pałków. Chciał zadać kilka pytań. Chciał popatrzeć Koteckiemu prosto w oczy. Chciał dowiedzieć się

pierwszy, czy to on... Był dziwnie pewny, że spotka się z Koteckim, szcwanym lisem, umiejącym wyprowadzić obstawę w pole. Przecież musiało do tego dojść! Kotecki musiał sprawdzić, co zostało po rewizjach, wpaść, by zabrać coś ważnego tylko dla niego. A wtedy padnie to jedno proste pytanie o Andrzeja... On, stary, odda "Katze" w ręce policji i zamknie tym uczynkiem swoje życie.

Kłódkę od żelaznych drzwi, oddzielających zaplecze sklepu od klatki schodowej, otworzył wytrychem. W ciemności zbliżył się do ściany z oszklonym przyciskiem alarmu. Podważył szybkę tak, by móc ją zamknąć nie naruszoną, i nacisnął czerwony guzik. Wycie syreny postawiło na nogi pół ulicy, a tajniacy sprzed kamienicy pobiegli na zaplecze sklepu.

Bez pośpiechu pokonał korytarzyk, prowadzący do klatki schodowej. Nie zauważony przez nikogo, wszedł na piętro. Kiedy zatrzymał się, by odpocząć, alarm ucichł. - Co to? - usłyszał głosy z dołu. - Nic takiego, może jakie zwarcie - padła odpowiedź. - Nie pierwszy raz. Te instalacje są zbyt czułe.

Drzwi do mieszkania, z wyłamanymi przez policję zamkami, oblepione były taśmami i opieczętowane. Wystarczyło szarpnąć, by puściły. Zrobił to. Nie sądził, by zerwane plomby zaniepokoiły Koteckiego. Wszystkich, lecz nie Białki, "Katze" powinien spodziewać się u siebie.

Nie wywietrzone mieszkanie odurzało stęchlizną. Brudne okna ledwie przepuszczały światło lamp ulicznych i księżyc. Białko zdjął buty. Po cichu obszedł dwa pokoje, zajrzał do kuchni i łazienki. Gaz odcięto, lecz wody nie. Zadowolony ze zwiadu, umył twarz i usiadł w fotelu na wprost drzwi. Czuwał. Do świtu żaden dźwięk nie zakłócił ciszy.

Dzień zastał go przy kanapce. Jadł i przyglądał się mieszkaniu w świetle słonecznym. Po podłodze wałały się broszury z reklamami, gazety, książki. Wyrzucona z szaf bielizna i odzież zagradzała dojście do okien. Ślady rewizji nosiły też kominy wentylacyjne, puszki elektryczne, a nawet boazeria w przedpokoju, podziurawiona wiertłem w kilku miejscach. Komputer stał na stole, bez kabli. Było jasne, że przetrząsnięto mieszkanie łącznie z sufitem i nie miał w nim czego szukać.

Dla zabicia czasu zaczął porządkować stare gazety na podłodze. Po kilku minutach spostrzegł, że wszystkie one zawierały artykuły o "Ryżym" i zabójstwie Andrzeja Pałki. Kotecki zbierał peany na własną cześć: "Nieustraszony komendant Kotecki", "Kotecki robi porządek!", "Kiedy nasz Komendant ujmie zabójcę policjanta?". Białko czytał i dziwił się sobie, że przed laty brał dyrdymały z gazet za dobrą monetę. Wówczas nie dręczyły go wątpliwości. Bagatelizował niejasności śledcze. Wszystko było przecież tak oczywiste, tak proste.

Pod wieczór zdrzemnął się. Spał lekko i budził się na każdy odgłos kroków na schodach. Drzwi zabezpieczył metalowym wieszakiem. Po ruszeniu klamki wieszak spadał na podłogę.

Koło północy zawyła syrena. Pod dom podjechał wóz straży pożarnej. Akcja trwała chwilę, a dym z gaszonych śmietników przeniknął przez ściany. Białko zrozumiał i ucieszył się, że tak szybko nadeszła jego pora. Zdjął wieszak z klamki.

Drzwi drgnęły, dając przejście barczystemu mężczyźnie. Kotecki stapał bezszelestnie. Przyświecał sobie latarką. Kiedy zobaczył wybebeszone szafy, pozdzierane tapety i rozprutą wersalkę, mruknął coś pod nosem. Podeszedł do komputera. Z kieszeni wyjął cienki nóż i kilkoma wprawnymi ruchami rozkręcił obudowę. Z jej środka wyjął dwie niepozorne blaszki, oświetlił je i przyglądał się im z nieklamana satysfakcją.

Białko odezwał się. W ciszy nocnej jego głos rozległ się jak grzmot: - To takie ważne?

Kotecki drgnął. - To pan... Przestraszył mnie pan - próbował zachować zimną krew. - Co ważne?

- Te części z komputera.

- Ważne. Niewiarygodne, ileż impulsów informatycznych mieszczą takie precjoza.

- Nasi to pominęli?
- Szukali, ale nie wiedzieli, gdzie, a może i czego szukać?
- Powinni wiedzieć? - Białko pytał ze szczególną natarczywością.
- Panie Wilhelmie. Co pan tu robi? I z bronią w ręku? - Kotecki nie stracił pewności siebie. - Przecież pan już w stanie spoczynku.
- Czekam.
- Pan czeka? Ci, na dole, wpuścili pana?
- Nie.
- Nie?
- Co jest na tych blaszkach? Tajne kody, instrukcje dla "Katze"? - Białko nie zamierzał ustąpić.
- Hm. Ależ pan uparty. Chciał pan pogadać, tak? Powinienem założyć coś takiego, że staremu Białce ujawnią, co odkryli. A stary Białko, wyga przecież, będzie chciał pogadać. Wiem, dogrzebaliście się do moich papierów. Koledzy zza Odry uprzedzili mnie. A ten pistolet to może pan odłożyć. Chce pan trafić do pudła na stare lata za postrzelenie albo za morderstwo? Widzi pan, że jestem bez broni.
- Obejdzie się bez rad.
- Pańska sprawa.
- W nocnej poświacie, pod oknami przejechała polewaczka.
- To co, szyfry?
- Stary, wyluzuj. Jeśli nawet masz rację.
- Ciekawy jestem.
- Panie Wilhelmie, wystarczy. Po co to panu? Pogadaliśmy, w porządku, a teraz niech pan idzie stąd, póki czas.
- Jeszcze nie czas.
- Niech pan stąd pójdzie.
- Białko wybuchnął: - Wiem wszystko o tobie, podły zdrajco! I o twoich sprawkach. Pamiętasz Pałkę, ojca Andrzeja? Czy ty się Boga nie boisz?
- Pałkę... - Kotecki udał, że musi przypomnieć sobie, o kogo chodzi.
- Zamordowaliście go.
- Nie miałem z tym nic wspólnego.
- Nie? To może pokazać ci coś o "Hienie" i "Flaku"? Wszystko, mniejsza nasza, czarne na białym. Wszystkich was dosięgnie kara boska.
- Nie wiem, co tam macie. Ale niech pan posłucha, nawet nie byłem przy tym, pan uwierzy?
- Przy czym?
- Przy tej akcji, wyroku, zabójstwie, gadaj pan, co pan chce. Stałem tylko w obstawie. Młody byłem, głupi. Potem tamci, wie pan, o kim mówię, nie dawali mi spokoju. Mieli mnie w garści i musiałem robić, czego żądali. Przecież pan, stary, rozumie, że nie mogłem się ujawnić. Zlikwidowałiby mnie albo jedni, albo drudzy.
- Nie rozumiem.
- Gryzłbym piach, bracie, albo nie wyszedłbym z pierdła przez pięćdziesiąt lat.
- Przekiblowałby pan trochę i wyszedł jako czysty człowiek.
- Gdyby nie pańskie lata, pomyślałbym, że rozmawiam z dzieckiem.
- Ludzie może pamiętaliby, ale Bóg łaskawy, odpuściłby.
- Ty, bracie, nawet nie wiesz, ile razy chciałem wyjawić wszystko. Wypowiadać się, żeby ulżyło. Ale nie mogłem. Gdy się raz wdepnie w gówno, śmierdzi się przez całe życie. Kapujesz?
- Nie mówię nie.
- Rzygać mi się chciało później tą agenturą. Nie pamiętam, czy chodziło mi o pieniądze? Ale wtedy nie było koło mnie nikogo, kto chwyciłby za rękę i powiedział: stój,

przemyśl to, bo przesrasz życie. Za to inni podpuszczali, że to zaszczyt służyć na pierwszej linii frontu, tylko najlepszym, najinteligentniejszym składa się taką propozycję. A ja języki wyniosłem z domu, taki inteligentny, taki wykształcony... Nie domyślałem się, że to pułapka. Kres człowieka. Służba w Sieci do końca życia. W przeciwnym razie czapa. Raz, dwa, z uśmiechem. Rozumiesz? To teraz idź już. Dowiedziałeś się, czego chciałeś. Idź, proszę.

- Nie. Widzisz, "Katze", chciałem zapytać cię o Andrzeja - głos Białki drgnął nienaturalnie.

- Andrzeja?

- Chyba pamiętasz młodego Pałkę.

- Czego pan chce?

- To proste. Powiedz, jak to było.

- Co było? Przecież pan wie.

- W tym rzecz, że nie wiem. Powiedz prawdę. Daję ci szansę. Może ci ulży.

- Nie wiem, co ci, stary, chodzi po głowie.

- Mówiłeś, że nie zabiłeś ojca Andrzeja, że nie masz nic na sumieniu. Ludzi się bałeś, że ci nie uwierzą. Więc powiedz, ja ci uwierzę.

- Co mam powiedzieć?

- Jak to było z Andrzejem.

- "Ryży" go zabił.

- Kłamiesz - Białko uniósł lufę pistoletu. - Czy Andrzej opowiadał ci o ojcu?

- Ostatni raz, stary, mówię ci, idź stąd.

- Powiedz tylko, czy Andrzej pokazywał ci to zdjęcie, na którym rozpoznał cię wśród morderców ojca?

- Stary i głupi. Po co ci to było?

- Powiedz.

- I co, zastrzelisz mnie? Myślisz, że tak łatwo pociągnąć za spust? Chcesz mnie zamordować z zimną krwią? A gdzie twój Bóg?

- Powiedz.

- Co mam powiedzieć? Że ten głupek mnie rozpoznał? Już chciałem zerwać z "Katzem", czasy się zmieniły. Miałem większe szanse urwać się z tej smyczy. A ten chłystek mnie przydusił. Zrozum, nie miałem wyboru - wycedził Kotecki.

- Zabiłeś chłopaka. Poderżnąłeś mu gardło, czemu?

- Żeby było na "Ryżego". I co teraz?

- Nic. Pójdziemy. Powiesz to wszystko na komendzie. I módl się do Boga, żeby ci wybaczył, bo ja nie mogę.

- Jak chcesz, bracie. Wezmę tylko te części z komputera.

- Nie...

Białko nie dokończył. Kotecki nachylił się nad stołem, chwycił nóż, którym wcześniej rozkręcał komputer, i rzucił nim mocno. Nóż przebił serce Białki. Stary komendant klęknął. Umierając, nacisnął bezwiednie spust pistoletu. Kula, niesiona przez samego Pana Boga, trafiła w skroń Koteckiego i utkwiała w jego mózgu.

O świcie, niemal jednocześnie z dwóch różnych kierunków podjechały dwa samochody. Z jednego z nich wysiadł podpułkownik Gwidon Rzymek i poczekał, aż z drugiego wyskoczy Górecka. Przywitali się.

Czekał na nich Wertke. Komendant zameldował się, odwrócił na pięcie i bez słowa poprowadził na piętro. Laboranci z dochodzeniówki skończyli właśnie pracę i wyszli z mieszkania. Rzymek i Górecka zostali z Wertke sami.

Na dywanie leżały dwa ciała, przykryte białymi prześcieradłami. Wertke odsonił pierwsze z nich. Rzymek westchnął, aż powietrze świsnęło mu między zębami: - Co on tu robił? Kto go tu wpuścił? Jak to się w ogóle mogło stać? Dowiem się tego?

Wertke milczał.

- Kto to? - zapytała Górecka.

- Nasz stary komendant - odpowiedział Rzymek. - Wilhelm Białko. Wielu ludzi z tego terenu miało mu wiele do zawdzięczenia.

Wertke pociągnął nosem i odezwał się przez łyżę: - To był prawdziwy komendant. Takich już nie będzie.

Podeszli do drugiego ciała. Wertke ściągnął prześcieradło. Górecka popatrzyła na twarz dobrze zapamiętaną. - Tak, to Reinert! Nie ma najmniejszej wątpliwości - stwierdziła.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Ejże, nie rozumiem - odezwał się Wertke. - Przecież to Kotecki.

- Tak, Kotecki - potwierdził Rzymek.

- Ale pani powiedziała co innego.

- To prawda. Pani rozpoznała kogoś innego. Ale to Bronisław Jakub Kotecki. Czy to dla pana, komendancie, jasne?

- Tak jest!

- I niech tak zostanie.

Spotkanie Grupy Dalekiego Wschodu zaplanowano na dwunastą, ale generał Brzeski chciał widzieć Rzymka wcześniej. Ze wszech miar wydawało się to uzasadnione. Wyeliminowanie Reinerta pozwalało śmiało spojrzeć na plany wywiadowcze polskich służb specjalnych. Było czym zabłysnąć przed Amerykanami, a władzom zależało na tym bardzo. Dobra robota agenturalna wzmacniała pozycję Polaków w NATO, gwarantowała nowe kontakty, zadania i płynące za nimi fundusze.

Rzymek, pełen wigoru, zameldował się w sekretariacie. Od dawna nie czuł się równie rozprężony i rozpromieniony. Miał ochotę pogawędzić z sekretarką, lecz ta niezwłocznie wpuściła go do gabinetu.

- Siadaj - Brzeski wskazał miejsce, nie podnosząc oczu znad biurka. Był wyraźnie nieswój. - I co słyhać? - odezwał się zaszępiły, nie oczekując odpowiedzi.

- Pełna rewelacja, panie generale.

- Tak, słyszałem. Ja, panie, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Poprosiłem cię wcześniej, byś nie był zaskoczony. Ale tu dziwne rzeczy się dzieją. Nie rozumiem, będę cię bronił w razie potrzeby.

- Szefie, o co chodzi?

- Przyjdą koledzy, to powiedzą. Trzymaj się na wodzy. Powiedz nam prawdę. Może to da się jeszcze odkręcić.

- Ale co?

- O, chyba przyszli - Brzeski otworzył drzwi. - Proszę, proszę, panowie.

Rzeczywiście, w sekretariacie przestępowało z nogi na nogę kilku oficerów. Ich zdenerwowanie widać było na milę. Usiedli pośpiesznie i w milczeniu. Patrzyli gdzieś pod nogi, unikając spojrzeń Rzymka. Jedynie major Rumiński kiwnął Rzymkowi ręką na przywitanie, ale też nie miał wesołej miny. Jednego z obecnych Rzymek nie znał.

- Przedstawiam majora Wójcika z prokuratury wojskowej - poinformował Brzeski, odczytując pytanie z oczu Rzymka. - Major Wójcik, na prośbę ministra, nadzoruje proces lustracyjny w naszych strukturach.

- Na prośbę ministra - powtórzył Rzymek.

- Spokojnie, Gwidon. Ja też mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni - odezwał się pułkownik Drobell.

- Mnie, panie, nie chce się wierzyć w te bzdury, ale musimy przebrnąć przez bagno lustracji razem.

- Pan pozwoli, generale, zapytać? - odezwał się pułkownik Kępski.

- Proszę.
- Jak to się stało, że Reinert nie żyje?
- I co ja mam na to odpowiedzieć? - Rzymek wzruszył ramionami.
- Martwy Reinert to dla nas mniejszy sukces niż żywy.
- Nikt nie zakładał zabicia Reinerta.
- Właśnie. O to chodzi - uniósł się nad stołem major Wójcik. - Czy aby na pewno?
- Nie rozumiem.
- Reinert vel Kotecki nie działał sam. Prowadzimy śledztwo w celu wykrycia innych agentów Stasi w strukturach MSW.
- Chce pan powiedzieć, że dałem zabić Reinerta, by nie mógł gadać?
- Chwila. Teraz, panie, ja - przerwał generał Brzeski. - Przyszło kilka donosów, że mamy agentów. Kurwa, Rzymek, że to ty jesteś tym agentem. To jakaś, panie, bzdura, kurwa, paranoja. Lecz wybaczone. Musimy ciebie zapytać. Znasz takie nazwisko Lipko...?
- Rzymek spłoszył. Przetarł ręką czoło i wstał. - Przepraszam - szepnął cicho. - I nie oglądając się na nikogo, wyszedł.
- Następnego dnia, wbrew radom generała Brzeskiego i majora Rumińskiego, po godzinnej rozmowie przy kawie z Górecką, złożył podanie o zwolnienie ze służby.

Do Góreckiej zadzwonił Pudysz. Jak na człowieka ugodowego, że do rany przyłożył, zachowywał się niczym bulterier. Wykrzykiwał coś do słuchawki, przerywał w pół słowa, uważał się, ile to obowiązków spoczywa na jego ramionach, w końcu przeprosił, zmuszony iść do ubikacji. Zrozumiała, że wzywano go do MSZ. Chłop drżał na całym ciele ze strachu, ponieważ ostatnia ocena, dokonana przez sejmową komisję do spraw mediów, nie pozostawiała na gazecie suchej nitki. Szczególnie arbitralni posłowie domagali się zlustrowania dziennikarzy, ponadto wycofania ogłoszeń rządowych z łamów, co oznaczałoby klęskę finansową i zamknięcie pisma.

Spodziewał się najgorszego. Od Góreckiej żądał pomocy. Zebrała się w sobie i w południe była w redakcji. Pudysza nie zastała. - Gdzie redaktor?

- Wyszedł do MSZ - przywitała ją oschle sekretarka.
- Miętołił i nie poczekał?
- Może trzeba było prędeej.
- A idź...

Zadzwoniła do Zenona Borka w MSZ. Nie kontaktowała się z nim od paru lat, lecz przecież to on był łącznikiem MSZ z Grupą Dalekiego Wschodu UOP. Borek ucieszył się, gdy usłyszał jej głos. Po pytaniu o Pudysza i redakcję wstrzymał oddech. Nie wiedziała, czy rozśmieszyła go czy zeżliła. Usłyszała, że redaktor powinien uważać, by nie zgubić spodni ze strachu.

Pudysz wrócił z hot-dogiem w ustach. Żuł bułę i przekonywał, że Góreckiej coś się pomyliło. Z redakcją wszystko w porządku, chciał jedynie porozmawiać z nią o następnych artykułach. - Dobra, jutro - powiedziała na odczepnego.

- Jutro masz się ubrać wizytowo. Zaprosili nas na jubel w MSZ, będą adorować.

Przed MSZ zauważyła limuzynę ambasadora Chin. Przyśpieszyła kroku. W holu czekał Pudysz. - Jesteś wreszcie. Myślisz, że impreza może odbyć się bez ciebie? - zapytał z drwiną w głosie. - Ale wyglądasz ślicznie.

Weszli do sali konferencyjnej, pełnej ludzi, którzy na ich widok przestali szemrać. Górecka szukała oczami skrawka podłogi, gdzie można by notować bez przeszkód, lecz Pudysz parł ku środkowi. Trzymał ją za łokieć tak zdecydowanie, że ani myślała opierać się. - Nie ruszaj się stąd i bądź dzielna - usłyszała, gdy puścił ją i wycofał się. Została sama na środku sali.

- W imieniu resortu składam pani szczerze gratulacje - zagrzemiał do mikrofonu

minister Borowicz. - Chińczycy przyznali pani medal i powiadomili nas o tym. Może trochę nawet zaskoczyli - Borowicz próbował nadać słowom ton żartobliwy. - Nie pozostało nam nic innego, jak przyznać pani też medal. Szczególnie, że z Watykanu nadeszły na pani ręce wyrazy uznania i medal za wkład w przygotowanie medialne pielgrzymki papieskiej do Chin, planowanej na początek nowego tysiąclecia. Pani artykuły czytał cały świat. Niech pani będzie łaskawa dla nas w dalszej pracy dziennikarskiej - minister wpiął odznaczenie w żakiet Góreckiej i wręczył jej kwiaty.

Stała oszołomiona. Wolno odszukała wzrokiem Pudysza. Uśmiechał się do niej rozbrajająco. Pomyślała, że jeszcze się z nim policzy. Sekretarz ambasady chińskiej wpiął jej jakąś blaszkę w drugą klapę żakietu i wyszeptał: - To z inicjatywy towarzysza Bao Tonga, który pozostaje pani przyjacielem. Ponadto mam panią ucałować od towarzyszki Dai Fei... Czy wolno? - I ucałował Górecką w policzek.

- Co z nią?

- Po linii partyjnej traktujemy ją jak przedstawicielkę wrogiej opozycji, z którą jednak można rozmawiać. Partia uzyskała zapewnienie od Dai i Ah Longa, zna go pani, że opozycja wesprze władze przy organizacji letniej olimpiady w Beijingu w 2008 roku.

- Rozumiem. A to, co to za odznaczenie?

- Order Smoka. W dowód zasług i przyjaźni.

Dwie aspiryny, gimnastyka, kilka ćwiczeń mistrza Chana miało postawić Górecką na nogi po wieczornym szampanie. Za oknem mżyło, a jej naprawdę nie chciało się ruszać z domu.

O dziewiątej zadzwonił telefon. Panią z Domu Książki interesowało to, czy weźmie udział w spotkaniu popołudniowym ze znanymi sinologami. O dziesiątej asystentka stomatologiczna przełożyła termin jej wizyty. Po jedenastej zadzwoniła Marysia z sekretariatu, bo redaktor Pudysz pytał o nią. Nie, nie wybierała się dziś do redakcji. O pierwszej zadzwonił Marek. Wrócili z Agnieszką z gór i są w domu. Całe szczęście, że wprowadzili się w swoje cztery kąty.

Niby nic się nie działo, a przebierała palcami ze zdenerwowania. Jak długo miała tak żyć? Śniadanko, dwie góra trzy godziny w redakcji, telewizor, łóżko. A noce samotne. Powinni wiedzieć w służbach, że kiedy raz podskoczy poziom adrenaliny u człowieka, trudno ograniczyć emocje do poziomu fotela. Rozumiała, że misja "Papieskiej Róży" dobiegła końca. Powstały warunki do wizyty papieża w Chinach, termin tuż-tuż, szlak dla demokracji przetarty i zbadany, rozpoznany przez nią w boju. W porządku, laury przyjęła. A co to, nie ma dla niej innych misji?

Była usatysfakcjonowana etatem komentatora międzynarodowego. Lecz wszędzie młodzi: przy komputerach, w korytarzach, na zebraniach. Milkli, kiedy się zbliżała, omijali ją z daleka, mając gdzieś zarówno jej medale, jak i doświadczenie. Podjęła się wykładów w Studium Dziennikarskim pod hasłem: "Etyka a praktyka". Nie miała wątpliwości: etyka i koniec dyskusji. W tych sprawach była bardziej papieska niż papież. Zresztą nie tylko w tych. Na pierwszych zajęciach spięła się z blond dryblasem z prasy studenckiej, na którego wołali Marcik. Chłopak powiedział, że w tym fachu nie chodzi o etykę, lecz o sensację: - Ten zawód jest zwierciadłem życia i taki jak życie. A życie nie jest dobre albo złe, białe albo czarne, udane albo zaprzepaszczone. Życie jest szare, poskręcane, pokiełbaszone, pełne morderstw, nadziei, zdrad i miłości, wymykające się normom, ocenom, klasyfikacjom i glosom. Życie nie jest etyczne, lecz sensacyjne.

- Zwierciadłem to może być lustro po przetarciu. A ten fach jest po to, by życie ująć w normy i oceniać.

Ona pryncypialnie oceniała ludzi, zewnątrz kolczasta, w środku bezradna.

Zadzwoniła Marysia. - Redaktor Pudysz pytał o panią trzy razy - zakomunikowała. -

Co mam mu odpowiedzieć?

- Powiedz, że będę.

W dziale międzynarodowym wszyscy aż wstali na jej widok. - Pani tutaj?

- A gdzie mam być? - odburknęła. Ostentacyjnie wrzuciła do kosza zjadliwą polemikę z jej cyklem artykułów z Chin jakiegoś KŁ.: "Z uwagą przeczytałem wywody red. D. Góreckiej nad szansami chińskiej demokracji. Panią redaktor najwidoczniej uwiodły Chiny i zapomniała, że komuniści chińscy przez ostatnie pięćdziesiąt lat rządów zabili dwieście milionów ludzi, w tym trzydzieści pięć milionów w okresie reform niby demokratycznych: piętnaście milionów dzieci nowonarodzonych w ramach "polityki demograficznej", dwadzieścia milionów osób w obozach pracy". Wsadziła gazety pod pachę i z burzą na twarzy wtargnęła do Pudysza. - Cześć. Wydzwaniasz i wydzwaniasz. O co ci chodzi?

- Jesteś. To dobrze - Pudysz zaczął wertować jakieś kartki. - A jak tam twój nowy artykuł?

- Piszę się. Mam jeszcze czas, by go dać.

- Tak, tak. Wiem.

- Więc czego chciałeś?

- Papież jedzie do Chin! To informacja dnia.

- Taaak...?

- I mam tu coś jeszcze. To listy z antypodów. Chyba znowu od tego Stephena... - podał jej kilka kolorowych kopert.

- Niemożliwe... - ożywiona, rozerwała jedną z nich. Na kolana posypały się jedwabiste płatki żółtych róż, zaścielając pieszczotliwie spódnicę. Zdało się jej, że płatki wołały do niej z miłością: "Jesteś taka... papieska".

KONIEC



Wyd. „Mamiko”, 2002 r.

Selfie - fot. Autor

Za błędy korektorskie w książce - przepraszam. Janusz L. Sobolewski

Notka o Autorze w Wikipedii (z dodanymi linkami rozszerzającymi):

https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_L._Sobolewski